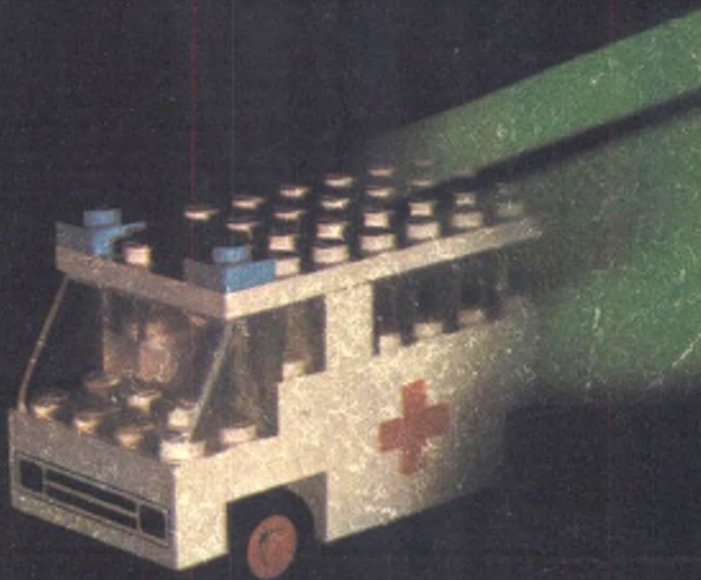
Leniwa zemsta

Norman Leliwa



Norman Leliwa

Leniwa zemsta

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

ISBN 83-03-00062-4

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;

(Adam Mickiewicz, *Pani Twardowska*)

Rozdział pierwszy

Wszedłem do pokoju wściekły mniej więcej tak, jak bywa mój szef, gdy ma do mnie „zastrzeżenia". Dowiaduję się zwykle wtedy, że szef jest po to, aby kierować moją pracą, a nie by przyjmować do wiadomości fakty dokonane, że co prawda rodzaj mojej pracy wymaga operatywności, ale moje niekonwencjonalne metody są nie do przyjęcia, że... I tę potworną burzę wymówek mój szef – choleryk nazywa łagodnie „zastrzeżeniami".

Ja teraz też miałem zastrzeżenia do Nicka. Spóźniłem się co prawda piętnaście minut, ale potem czekałem na niego prawie godzinę, a Nick w ogóle się nie pokazał. Miałem więc przed sobą niemiłą perspektywę wydzwaniania do ludzi, szukania go, umawiania się, i to być może z takim rezultatem jak dzisiaj. Nick zawsze się trochę spóźniał na spotkania, ale tym razem pobił rekord.

Rzuciłem płaszcz na łóżko wyciągając z kieszeni kupioną po drodze butelkę. Byłem przemoczony do suchej nitki (angielskie lato – pożal się Boże!) i świadomość, że za chwilę nawiążę bliższą znajomość z Jasiem Wędrowniczkiem, złagodziła nieco złość na niesłowność Nicka.

Nie tęskniłem jednak za tym szlachetnym trunkiem aż do tego stopnia, aby pić prosto z butelki; poszedłem do łazienki po szklankę do mycia zębów. Otworzyłem drzwi i zatrzymałem się w nich raptownie.

Przez chwilę czułem tylko bezmyślne wirowanie w głowie. Potem oparłem się o framugę drzwi i trwałem tak dalej w bezruchu.

A jednak niesłusznie posądzałem Nicka o niesłowność. A jednak spotkaliśmy się dzisiaj. Tyle że nie mógł mi już powiedzieć, dlaczego tak gwałtownie domagał się widzenia ze mną i cóż to były za rewelacje, których tajemnicza a nagląca zapowiedź skłoniła mnie do przyjazdu tutaj przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła.

Nick... Mój wieloletni przyjaciel. Udzielał mi fachowych porad, kiedy miałem kłopoty ze swoją pracą naukową. Pomagał mi na odległość opiekować się Adamem. Słał mi przyjazne, podtrzymujące na duchu listy przez wiele lat od tamtego strasznego dnia, o którym chciałem właśnie dziś z nim porozmawiać...

Patrzyłem na wąską strużkę krwi sączącą się po jego skroni, na zapadniętą i zniekształconą nieco pośmiertnym sztywnieniem twarz. Ogarniały mnie gniew i bezsilność. Nick zginął i nie miałem nawet żadnej wskazówki, dlaczego stał się dla kogoś aż tak niewygodny, że jedynym rozwiązaniem był kawałek ołowiu.

Nick został trafiony w tył głowy – szczegół, który wykluczał samobójstwo czy nieszczęśliwy wypadek. Ponadto na jego twarzy było kilka mocno napuchniętych miejsc – najpewniej ślady uderzeń. A więc przed śmiercią walczył z kimś. Mimo swoich pięćdziesięciu lat był bardzo wysportowany i zręczny; mógłby nawet zwyciężyć w walce wręcz. Ale jego przeciwnik miał śmiertelną przewagę – otwór, jaki pozostawiła kula, świadczył o tym, że użyto dużego, niezawodnego nawet na sporą odległość rewolweru.

Rozejrzałem się wokół, ale broni nie było nigdzie widać. Pochyliłem się więc nad kieszeniami ubrania Nicka. Zrobiłem to bez większej nadziei, znalazłem coś jednak. Oprócz kluczy, chusteczki i paru innych drobiazgów był tam nieduży kalendarzyk. Musiałem odłożyć przejrzenie go na później. Dawno już zaczęła się pora lunchu i jeżeli miałem dokonać „odkrycia" tej zbrodni w moim pokoju w obecności świadków, to najlepszą okazję do ich znalezienia miałem właśnie teraz. Nickowi i tak nie zdołałbym już pomóc, a samotne odkrycie morderstwa zawsze może wywołać jakieś kretyńskie przypuszczenia zbyt dociekliwych, że autorem zbrodni jest jej odkrywca. Tylko tego mi w tym wszystkim brakowało!

Spojrzenie, jakie rzuciłem zamykając drzwi, było moim ostatnim prywatnym pożegnaniem przyjaciela. Od tej chwili wszystko miało się odbywać tak oficjalnie, jak tylko to będzie możliwe.

Na szczęście byłem bardzo krótko w pokoju (choć mnie te chwile spędzone nad ciałem Nicka wydawały się wręcz wiecznością) i nie zdążyłem zostawić śladów przemoczonego obuwia na podłodze. Płaszcz zabrałem ze sobą.

Deszcz, który mnie tak przemoczył, teraz okazał się sprzymierzeńcem. Ludzie w hotelowej restauracji byli raczej zajęci faktem, że jest tam ciepło i sucho niż moim spóźnieniem. Nie byłem zresztą sam. Razem ze mną do sali weszła hałaśliwa para. On wyglądał na dość rubasznego pięćdziesięciolatka, taki brat-łata, co to z każdym wypije i po pierwszym kieliszku każdego nazwie dozgonnym przyjacielem, a paniom ma zwyczaj mówić komplementy na odwrót – chudej, że bardzo zeszczuplała, a naturalnej blondynce, że świetnie jej w tlenionych włosach.

Ta, która się wspierała na jego ramieniu, była niestety tleniona. Poza tym ani przesadny maquillaqe, ani różnorodne złote wyroby jubilerskie, które swą ilością i wagą

wydatnie ją obciążały, nie mogły zatuszować jej wieku ani figury. A raczej braku tej ostatniej.

Niestety, owa pani nie miała aż tak ujemnego zdania o mnie, jak ja o niej, i z okrzykiem „To pan też jest spóźnialski? Siadajmy więc razem!" zmusiła mnie do zajęcia miejsc przy wspólnym stoliku. Towarzyszący jej pan okazał się być Tadeuszem Żurkiem – „...handlowiec jestem, panie, od ćwierć wieku, panie...", a pani Sabina Żurek pozostawała przy mężu, bo „mogła sobie na to pozwolić". W dalszym toku dość jednostronnej konwersacji dowiedziałem się, że pan Żurek jeździ co prawda za granicę na okrągło, i to prywatnie, lecz raz Sabinka uparła się, że chce jechać tutaj i dlatego musieli z tą wycieczką. Ale tutejsze towarzystwo było, jak na potrzeby pana Żurka, zbyt małomówne i cieszył się właśnie ogromnie, że spotkał nareszcie kogoś sympatycznego. Byłem na pewno jeszcze bardziej milczący niż inni i zupełnie nie mogłem zrozumieć tej nieoczekiwanej sympatii mojego nowego znajomego. Szybko jednak pojąłem, że to nie na brak konwersacji cierpi pan Żurek, lecz na brak jakiegoś płynnego stymulatora do powyższej.

Lepszego świadka nie mogłem znaleźć. Zaproponowałem wpadnięcie do mnie na coś „rozgrzewającego w taki deszcz" i serdeczność pana Żurka osiągnęła szczyty.

– Wiedziałem, że pan jest swój chłop! Ja, wie pan, żadnych zapasów nie zabrałem, a tutaj dogadać się... – skrzywił się. – Nie dość, że ja, panie, po angielsku... no... tego... nie lubię gadać, to jeszcze tutaj nie możesz pan pokazać na palcach, że chcesz pół litra, bo nie na litry liczą, tylko jakieś pinty cholerne. Ale za to wieczorem użyjemy! Zapraszam pana do jakiejś dobrej knajpki. Znajomy mówił, że taka, co się „Marty's" nazywa, jest niezła. Nie, nie – powstrzymał mój protestujący gest – ja stawiam, ja mam z czego żyć nawet i za granicą.

Szliśmy już po schodach na górę.

– Panie kierowniku, można wieczorem gdzieś wyskoczyć, nie? Nie ma niczego w planie? – zaczepił Żurek schodzącego właśnie kierownika naszej wycieczki.

– Czas jest wolny, tylko nie zgubcie się państwo! – odkrzyknął kierownik przeciskając się przez tłum wchodzący na górę.

– Zna pan Londyn? – zagadnął mnie Żurek.

– Znam – odpowiedziałem i w tym momencie ugryzłem się w język. Tym potwierdzeniem zaakceptowałem niejako swój udział w wypadzie do knajpy. Teraz już trudno będzie się wywinąć, a ja przecież mógłbym mieć ochotę na wiele rzeczy, ale na pewno nie na huczną zabawę w dniu śmierci przyjaciela.

„Może to, co znajdzie u mnie zamiast drinka, ostudzi jego zapał" – myślałem otwierając drzwi pokoju.

To, co nastąpiło potem, było niewątpliwym powtórzeniem pewnego historycznego momentu z dziejów Sodomy i Gomory. Pan Żurek z rykiem sprawnej syreny alarmowej zawiadomił cały hotel o znalezisku w mojej łazience i tylko dzięki szybkiej akcji kierownika wycieczki zdołaliśmy opanować nerwową reakcję mojego towarzysza. Histeryzował tak przesadnie, że wręcz zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście jest taki wrażliwy...

Zwabieni wrzaskami wstrząśniętego Żurka wybiegli na korytarz pozostali uczestnicy wycieczki, usiłując się dowiedzieć, co się dzieje. Kierownik dzielnie bronił dostępu do mojego pokoju i wbrew Żurkowym rewelacjom tłumaczył, że nic się w ogóle nie stało. Wreszcie zamknęliśmy drzwi na klucz i kierownik po konsultacji z managerem hotelu zadzwonił do komisariatu.

Angielska policja zjawiła się w postaci dwóch inspektorów – Trevora McIntosha i Johna Robsona, tłumacza oraz całej chmary fotografów, techników i czegoś tam jeszcze. Wyraźnie nie mogli uskarżać się na brak etatów.

Tłumacz okazał się być dopustem Bożym, bo język polski opanował chyba kując nocami przy słabym świetle latarki, kiedy to nie wszystkie literki było widać wyraźnie. Nie chciałem jednak zbytnio odróżniać się od reszty wycieczkowiczów i nie ujawniłem swojej znajomości angielskiego. Wszelkie porozumienie z władzami odbywało się zatem poprzez owego tłumacza, któremu trzeba było powtarzać wszystko dobitnie i z aktorską dykcją.

Przesłuchania zaczęto od kierownika naszej wycieczki. Oświadczył, że nazywa się Stefan Kurowski, jest kierownikiem dwudziestoosobowej wycieczki turystycznej z Polski, denata nie zna, a zawezwał policję zawiadomiony przez tych dwóch panów obok. Ci dwaj panowie obok to byliśmy Żurek i ja.

Zaczęli od Żurka.

– Pańskie nazwisko?

– Żurek Tadeusz jestem. Ja nie rozumiem, czemu mnie panowie wypytują. Przyszedłem z tym panem na jednego, wchodzimy do pokoju i pan Marcin mówi: „Przynieś pan szklanki z łazienki". No więc ja idę, otwieram drzwi... no i masz babo placek! To jest, chciałem powiedzieć, że nieboszczyk tam leżał. Całkiem trup. Więc ja na korytarz i po kierownika, żeby coś z tym zrobił. Z nieboszczykiem, znaczy się. No, niech pan sam powie! Co ja mam z tym wspólnego?! – przerywany oburzonymi wykrzyknikami lał się potok wymowy z ust zdenerwowanego Żurka.

– Czy znał pan zabitego?

– A broń Boże, w życiu nie widziałem faceta. Zresztą my w hotelu jesteśmy dopiero parę godzin, to i skąd miałbym znać tego Anglika?

– A skąd pan wie, że to Anglik? – podchwycił czujnie inspektor Robson.

– Przecież nikt z naszej wycieczki ani innych gości hotelowych nie zginął, więc kto – Eskimos? Ja tam, panie,

poznam każdego Anglika na kilometr. A co to, mało ich znam?

– Zna pan wielu Anglików? Ma pan częste kontakty z Anglią? – sondował dalej inspektor.

– Ależ nie... tego... nie to chciałem powiedzieć. Ja wprost przeciwnie. Ja tu pierwszy raz. – Pan Żurek zaczerwienił się i znać było po nim wysiłek, z jakim wypierał się wszelkich kontaktów z mglistym Albionem. Robson zauważył to, ale widać nie chciał naciskać zbyt mocno przy wstępnym przesłuchaniu, bo podziękował Żurkowi i zwrócił się do mnie.

– Nazwisko pana?

– Marcin Skolimowski.

Gadanina Żurka i jego histeryczny atak zmęczyły mnie wyraźnie, a poza tym wciąż rozmyślałem o tym, co właściwie miał mi do powiedzenia Nick i jak mam teraz szukać jego zabójcy. Ten zamęt w głowie nie wyszedł mi na dobre.

– Znał pan zabitego?

– Nie.

No tak, takie kłamstwa niespecjalnie mi tutaj pomogą. Nie tak trudno będzie przecież znaleźć dowody, że go znałem, i to dobrze. Ale trudno, jeśli odwołam teraz swoje zaprzeczenie, to będę mógł wyjść stąd tylko w kajdankach.

– Co pan może powiedzieć o tej sprawie?

Mogłem powiedzieć, jak to właśnie poszliśmy z panem Żurkiem do mnie na drinka, no i wtedy...

Inspektor słuchał mnie uważnie, ale moja relacja nie wnosiła nic nowego do tego, co powiedział przed chwilą Żurek.

– A jak pan wytłumaczy fakt – pytał Robson – że znaleziono tego człowieka w pańskim pokoju?

– Nie wiem.

To było może zbyt lakoniczne, ale byłem już zmęczony

tą zabawą w policjantów i złodziei, czekało mnie poza tym wiele pracowitych godzin, a powodzenie moich planów zależało między innymi od tego, jak mało powiem Robsonowi.

Kilka następnych pytań przyniosło równie skąpe odpowiedzi i z pokoju wyszedłem prawdopodobnie jako główny podejrzany. Następne pół godziny spędziłem na korytarzu pilnowanym przez policjanta, kontemplując cały korowód uczestników wycieczki, których Robson kolejno sprowadzał, usiłując wykryć znajomych zabitego. Następnie inspektor wezwał pozostałych gości hotelowych.

„Upór godny lepszej sprawy – myślałem. – Wiem najlepiej, że Nick nie znał nikogo spośród tej przypadkowej zbieraniny turystów".

Ale myliłem się chyba, bo nagle z pokoju wyszła zapłakana i wyraźnie wstrząśnięta dziewczyna. Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, jasnobrązowe włosy i zielone oczy. Ubrana była w dżinsy i czarny sweter i niczym specjalnym nie odróżniała się od reszty uczestników wycieczki. Zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, co mogłoby ją łączyć z Nickiem.

Zagadnąłem kierownika wycieczki. Podał mi jej nazwisko: Monika Rawska. Nic mi to nie mówiło. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, kiedy usłyszałem po chwili Robsona mówiącego do kierownika: „Nikt z pańskiej wycieczki nie znał tego człowieka, widać przyszedł do kogoś innego". Czyżby ten płacz dziewczyny wynikał tylko z jej wrażliwości? Czyżby po prostu tak silnie reagowała na czyjąś śmierć? A może ukrywała znajomość z Nickiem? Jeśli tak, to dlaczego?

Kiedy zakończono przesłuchania, myślałem, że to już koniec aktywnej działalności policji w tym hotelu, ale inspektor Robson znał się na swojej robocie i nie zaniedbywał niczego.

– Proszę państwa o pozostanie w pokojach – powiedział do zgromadzonego na korytarzu tłumu wycieczkowiczów. – Za chwilę przeprowadzimy rewizję. Państwo rozumieją, nie znaleziono dotąd broni...

Rozległ się na nowo gwar, większość gości nie była zachwycona perspektywą grzebania w ich rzeczach tylko dlatego, że kogoś zastrzelono. Ludzie niechętnie rozchodzili się do pokojów. Kilka osób głośno komentowało fatalny początek tak mile zapowiadającej się wycieczki, ktoś kwestionował prawo angielskiej policji do robienia rewizji w pokojach zagranicznych gości. Wszędzie panował hałas i rozgardiasz.

W pewnym momencie dostrzegłem Żurka idącego pospiesznie korytarzem w stronę schodów. W ręce niósł jakąś paczkę. Być może wynosił w niej puste puszki po piwie. Być może po prostu nie znosił nieporządku w pokoju i wolał wyrzucić puste puszki do pojemnika na korytarzu, a nie do pokojowego kosza. Być może w paczce była jego brudna koszula. Być może pani Sabina kazała mu to oddać do prania w hotelowej pralni, której usługi niedawno nam polecano.

Być może jednak w tej paczce znajdował się rewolwer, z którego zabito mojego przyjaciela. Chciałem te wątpliwości wyjaśnić osobiście. Zwłaszcza że Żurek spóźnił się na lunch...

Niestety, zostałem zmuszony do zrewidowania swojego poglądu na ilość etatów w policji angielskiej. Wszyscy tam byli użyteczni. Aż dwóch policjantów zatrzymało mnie, gdy podążałem w ślad za Żurkiem i każdy z nich niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, że niewskazane są dla mnie teraz jakiekolwiek spacery, nawet krótkie. Wzruszony ich troską o stan moich mięśni pozwoliłem się zatrzymać i nawet zrewidować. Nie miałem pistoletu maszynowego dogodnie ukrytego w kieszeni spodni, więc nie znaleźli według nich nic ciekawego, mnie natomiast

ta rewizja przypomniała o czymś bardzo ważnym, znajdującym się w tejże kieszeni. Był to notes Nicka.

Po godzinie znalazłem się nareszcie sam w pokoju, innym zresztą, zaofiarowanym mi przez uprzejmego zarządcę hotelu. Oświadczył, że ten nowy pokój jest wygodniejszy, a poza tym szanowny pan nie będzie miał przykrych snów o tym zabitym, co go... hm... znaleźli u pana...

Przykre sny o Nicku! Też coś! Tak, jakby Nick był zbrodniarzem, który może się przyśnić w nocy! Mógłbym zdobyć zaświadczenia u wszystkich okolicznych psów i kotów, nie mówiąc już o ludziach, że Nick był najłagodniejszym i najprzyzwoitszym facetem pod słońcem. Był, niestety...

Zabrałem się do przeglądania tego, co po nim zostało. Notes Nicka zawierał dwie interesujące mnie notatki. Pierwszą była zapisana pod jutrzejszą datą nazwa „Hornby Inn" i godzina: 11 P. M.

Drugim zapiskiem był adres zanotowany pod słowami: „napisać Marcinowi". A więc to było dla mnie. Jedyny adres, jaki mógł mnie interesować, to adres właściciela obrazu. Pasowałoby to zresztą do treści ostatniego listu, jaki Nick do mnie napisał. Wziąłem go ze sobą na nasze niedoszłe spotkanie i wciąż tkwił u mnie w kieszeni. Przeczytałem go raz jeszcze:

Mój drogi przyjacielu,

wybacz, że nie pisałem dość długo do Ciebie, ale zbierałem pewne informacje, które, jak sądzę, zainteresują Cię. Być może będę mógł podać Ci ten adres nabywcy obrazu, o który prosisz. Jest to dość skomplikowane, bo w biurze aukcji nie podano żadnych nazwisk, ale nawiązałem kontakt z moim dawnym znajomym, panem Saltem. Jest konserwatorem w Tate Gallery i obiecał mi pomóc. Udało mi się także zdobyć kilka innych, niezwykłych informacji, ale są one jeszcze nie sprawdzone, a poza

tym wolałbym Ci o nich opowiedzieć osobiście. Pisałeś niedawno, że mógłbyś w najbliższym czasie wybrać się znów do Anglii, więc jeśli tylko jesteś w stanie – przyjeżdżaj natychmiast. To, czego się tutaj dowiaduję, jest zbyt nieprawdopodobne i przerażające, bym mógł to powierzać listom.

Widziałem się z Adamem kilka razy i on także wspominał, że trochę za Tobą tęskni. W każdym razie staram się mu Ciebie zastępować i opiekuję się nim, jak mogę. Zdołałem już załatwić przyjęcie go na wydział historii sztuki. Oczywiście, będzie musiał zdać kilka egzaminów, ale myślę, że sobie na pewno poradzi. Adam to zdolny chłopak.

Zadzwoń do mnie lub napisz, kiedy będziesz mógł przyjechać. Pozdrowienia dla małżonki.

Twój Nick.

Adam to mój bratanek, którego wychowałem i ostatnio wysłałem do Anglii, by kontynuował studia. Natomiast moja małżonka w ogóle nie istnieje. Te pozdrowienia w liście to stały żart Nicka, który myślał, że kiedyś zdoła mnie nakłonić do zrezygnowania z samotnictwa.

Mój bratanek jednak istniał, więc sięgnąłem ręką do telefonu. Po kilku wstępnych okrzykach powitalnej radości (które u Adama brzmiały tak, jakbym przybył z bezludnej wyspy po dwudziestu latach robinsonowania, a nie z Polski opuszczonej przez niego dwa miesiące temu) udało mi się już spokojniej zaprosić go do siebie na wieczór.

– Jeśli nie będzie mnie jeszcze w hotelu, to weź sobie klucz od pokoju i poczekaj na mnie. Uprzedzę w recepcji, żeby ci go dali.

– A co, będziesz szalał po Londynie by night? – zapytał mnie ze śmiechem Adam.

– Żebyś wiedział.

Nie powiedziałem mu jednak, że pójdę do lokalu tylko po to, by wybadać tego typa – Żurka. Nie powiedziałem mu też o Nicku. Na złe wiadomości jest zawsze czas.

Rozdział drugi

Na wysokości moich oczu szczerzył zęby duży pies. Miał wybałuszone ślepia i czerwony, śmiesznie zawinięty język. Wyciągnąłem w jego kierunku rękę. Na ogół nie przepadam za wkładaniem ręki do psiego pyska, ale ten był zupełnie niegroźny. Kamienne oczy nawet nie drgnęły, kiedy pociągnąłem za metalowy język. Ta zabawna kołatka była jedynym barwnym elementem na szarej płaszczyźnie wysokiego kamiennego muru. Czekałem chwilę, zanim brama się uchyliła. Spodziewałem się zobaczyć stereotypowego staruszka odźwiernego, ujrzałem natomiast rosłego blondyna lat trzydziestu, który przypuszczalnie większość swoich lat spędził w jakimś ambitnym klubie kulturystycznym. W szkole dobrych manier nie spędził za to chyba ani chwili, bo warknął do mnie opryskliwie: „czego?"

Podałem mu w milczeniu wizytówkę, licząc na to, że mimo lakonicznego „Marcin Skolimowski – historyk sztuki" ktoś jednak w tym domu zainteresuje się mną. Przeczekując w portierce długotrwałą wędrówkę mojej wizytówki, mogłem się dość dokładnie przyjrzeć domowi.

Portierka znajdowała się dokładnie na wprost wejścia do domu. Te dwa budynki były jednak oddzielone dwustumetrową przestrzenią. Przez okno widziałem doskonale frontową część budynku. Został zbudowany w amerykańskim stylu kolonialnym. Na samym froncie wznosi-

ły się trzy kolumny podtrzymujące balkon znajdujący się nad drzwiami wejściowymi. Drzwi były wysokie, dwuskrzydłowe, wykonane z ciemnego drzewa. Centralnym punktem budynku był balkon, połączony z obu stron łukowato biegnącymi schodami bezpośrednio z dziedzińcem. Po obu stronach balkonu wznosiły się symetryczne skrzydła boczne budowli. W każdym tkwił rząd wysokich francuskich okien na parterze i kilku mniejszych okienek umieszczonych powyżej. Przestrzeń pomiędzy domem a portierką wypełniał ogromny trawnik. Wyglądał tak, jakby przez ostatnie trzysta lat nie robiono nic innego poza strzyżeniem go rano i wieczorem.

W zasięgu mojego wzroku oprócz ciemnozielonego bentleya continentala stojącego na podjeździe przed domem, znajdowało się jeszcze kilka innych kosztownych drobiazgów w rodzaju supernowoczesnego wózka golfowego oraz niedbale porzuconych na deszczu kijów golfowych. Ten widok plus wygląd samego domu skłoniły mnie do zaryzykowania wniosku, że kupno interesującego mnie obrazu musiało być dla właścicieli domostwa tylko drobną pozycją w spisie wydatków. Pod warunkiem oczywiście, że naprawdę trafiłem pod dobry adres.

Dalsze rozmyślania na temat entourage'u przerwało mi pojawienie się kolejnego przedstawiciela rozlicznej zapewne służby w tym domu. Kamerdyner, który po mnie przyszedł, zamiast opiekować się gośćmi, powinien być, moim zdaniem, sam poddany troskliwej opiece. Niespokojne oczy i drżenie rąk wskazywały, że podstawą jego codziennego menu jest biały proszek. Miałem przed sobą narkomana w dosyć zaawansowanym stadium. Jego wychudłe ręce były niemal przezroczystobiałe, tak samo jak twarz. Najbardziej przykuwały uwagę w jego twarzy oczy – rozbiegane, o rozszerzonych ogromnie źrenicach, nieco szkliste. Taki człowiek miewa chwile apatii i nadpobudliwości, często nie jest w stanie wykonywać naj-

jechał pan do Anglii specjalnie po to, żeby obejrzeć naszą ikonę? – zasypywała mnie pytaniami.

– Jest pani bardzo uprzejma chwaląc moją wymowę – skłoniłem głowę w jej kierunku. – Myślę jednak, że mój akcent trochę mnie zdradza. Jestem Polakiem.

– I przyjechał pan aż tutaj dla tego obrazu?

Przypuszczalnie wiedziała doskonale, że takie zdziwione otwieranie szeroko oczu znakomicie podkreśla ich urodę.

– Niezupełnie – odrzekłem. – Jestem tu z wycieczką turystyczną. Ale chciałbym zwiedzić przy okazji kilka muzeów, jakieś wystawy... No i ten obraz... Pomyślałem sobie, że może wpadnę i poproszę o pokazanie ikony. No i w ten sposób się tutaj znalazłem... – Popatrzyłem na nią wyczekująco.

– Gdybym jej nie pokazała, to mógłby pan pomyśleć, że prawdą jest powiedzenie, iż wszyscy Anglicy nie lubią cudzoziemców – rzuciła w moim kierunku żartobliwe spojrzenie.

Towarzyszący mu uśmiech zdawał się świadczyć, że być może zmieniła już kryteria i interesował ją nie tylko Redford.

– Skoro jest pan historykiem sztuki – ciągnęła dalej – to powinien pan koniecznie zobaczyć tę najnowszą wystawę Boscha w Tate Gallery. Mnóstwo naukowców z całego świata przyjeżdża oglądać, to jest chyba pierwsza taka duża wystawa jego dzieł. Wie pan, duża ilość obrazów jest w prywatnych rękach i trudno jest takie coś organizować – wyjaśniła z przejęciem.

Zrobiłaby karierę w każdej agencji reklamowej tym uśmiechem, jakim mnie przed chwilą obdarzyła. Wolałbym co prawda kontemplować to zjawisko dłużej, ale musiałem podtrzymywać tę intelektualną konwersację. I tak dobrze, że nie była to typowa angielska wymiana uprzejmości na temat pogody.

– Nie wiedziałem, że pani też interesuje się malarstwem.

– Och nie, po prostu myślałam, że pana to zaciekawi. Ja raczej wolę sport – odpowiedziała szybko.

„Ach, stąd ta sylwetka!" – myślałem patrząc na jej sprężyste ruchy i ten dziwny przy jej urodzie brak miękkości.

– Nie znam się na dziełach sztuki – ciągnęła Lorraine – ale jeśli chce pan porozmawiać z kimś kompetentnym na temat angielskich galerii, to moja matka zna dobrze profesora Dickinsona. Słyszał pan o nim może?

– Miałem przyjemność spotkać go kiedyś w Polsce – odparłem nieco zdziwiony tą inicjatywą. Najpierw niemalże nie chciała mnie wpuścić za próg, a teraz zaofiarowała się zarekomendować mnie u słynnego profesora.

– Czy zajmuje się pan tą samą tematyką co on? – spytała dziewczyna.

– Nie sądzę – odparłem z uśmiechem. – O ile wiem, profesor zajmuje się bardzo wąską dziedziną – malarstwem niemieckim XV wieku, ja natomiast raczej interesuję się sztuką cerkiewną.

– To szalenie ciekawe! – rzuciła mi pełne entuzjazmu spojrzenie spod rzęs. – Proszę, niech mi pan trochę o tym opowie, a potem obejrzymy naszą ikonę!

Czyżby panna Southwell należała do tego typu dziewcząt, które muszą podrywać absolutnie wszystko, co znajdzie się w polu ich widzenia? Z jej poprzednich wypowiedzi wynikało, że powinna raczej mnie wypytywać o zdanie na temat ostatnich rozgrywek w Wimbledonie, a nie o jakiekolwiek zabytki dawnego malarstwa. Skąd więc to nagłe zainteresowanie?

Posłusznie jednak zacząłem opowiadać o dawnych mozaikach i malowidłach. Od ciągnięcia tego wykładu, który ja sam uznałem za dość nudny, wybawiło mnie wejście jakiegoś starszego pana z laską.

– Tato, to jest Mr Skolimowski, historyk sztuki. Interesuje się tym najnowszym nabytkiem mamy – zwróciła się ku niemu Lorraine.

– Bardzo mi miło – rzekł z uśmiechem ojciec dziewczyny. – Jestem generał Southwell.

Generał był krzepkim sześćdziesięciolatkiem i gdyby nie brak sumiastych wąsów i staromodnego surduta, wyglądałby na typowego jowialnego angielskiego ziemianina z dickensowskich opowieści.

– Dzięki uprzejmości pańskiej córki będę mógł właśnie obejrzeć tę ikonę sprzedaną niedawno na aukcji – zwróciłem się do niego.

– Obraz! – wykrzyknął wzruszając lekko ramionami generał. – Takie rzeczy zupełnie mnie nie interesują! Ale widać teraz wszystko jest postawione na głowie. Dziewczęta, tak jak moja córka, grają w tenisa całymi dniami, a mężczyźni zajmują się obrazami! Ciekawe, kto w takim razie zajmuje się tymi dziewczętami, co? – spojrzał na mnie żartobliwie spod oka.

– Tato, my idziemy do galerii – przerwała mu niecierpliwie Lorraine.

Chyba ten mój wykład o sztuce ją zmęczył, bo chłód, jaki okazywała na początku rozmowy, wrócił. Po drodze do galerii nie zamieniliśmy ani słowa, co zresztą pozwoliło mi na zerkanie do niebanalnych wnętrz, jakie mijaliśmy. Były to dosyć staroświecko, ale ze smakiem urządzone pokoje. Wisiały w nich obrazy i stare sztychy. Przyglądałem się tym wszystkim rzeczom z nie ukrywanym zachwytem. Nie ukrywałem go również patrząc na najpiękniejszą rzecz tuż obok mnie. Jeśli Lorraine można było nazwać rzeczą.

– Proszę, niech pan spojrzy, to ten – Lorraine patrzyła na mnie z miną mówiącą: „No i sam widzisz, że nie ma tu nic do oglądania".

Nie miała racji. Obraz nawet dla laika miał w sobie

dużo uroku. Temat był co prawda dość typowy dla ikonografii, bo przedstawiał walkę świętego Jerzego ze smokiem, ale ekspresja postaci i żywość kolorów czyniły z tego dzieła unikat. Jednak nie o tym myślałem patrząc w skupieniu na ikonę. Dopiero teraz zacząłem sobie na dobre uświadamiać, po co właściwie tutaj przybyłem. Pomyślałem, że być może ten właśnie obraz był ostatnią rzeczą, jaką ujrzały gasnące oczy pewnego człowieka dwadzieścia lat temu... Dwadzieścia lat... Wiele razy w ciągu tych lat wyobrażałem sobie, że zanim zobaczę tę ikonę, człowieka, który wywiózł ją z Polski, dosięgnie kara. Ale los zadrwił z moich planów. Obraz zmienił właściciela, a ja nie wiedziałem, czy uda mi się odnaleźć tego, który pewnej lipcowej nocy 1957 roku rozbił na kawałki cały mój świat...

Musiałem chyba przez długą chwilę patrzeć zupełnie pustym wzrokiem, bo Lorraine zapytała, zaglądając mi w oczy:

– Nie podoba się panu?

– Ależ nie, jest bardzo ładny – odpowiedziałem bez entuzjazmu. – Po prostu przypomniała mi się pewna historia z nim związana... A poza tym jest to rzeczywiście bardzo cenny i interesujący obraz.

– Historia? – dziewczyna sprężystym ruchem obróciła się ku mnie. – Pan zna jakąś historię na temat obrazu?

– Raczej na temat pewnych ludzi niż obrazu – odpowiedziałem machinalnie i omalże nie popukałem się w czoło. Nie mam nic innego do roboty, tylko opowiadać przypadkowo spotkanej dziewczynie najsmutniejsze fragmenty z mojego życia! Diabelsko ładna dziewczyna, potem widok tego cholernego obrazu i wystarczy, żebym się rozklejał jak buty z Radoskóru.

– Och, proszę, niech pan o tym opowie! – nalegała żywo panna Southwell.

Spojrzałem na nią nieco zdziwiony. Czy ona na wszyst-

kie moje wypowiedzi będzie reagowała z takim zainteresowaniem? Najpierw te cerkiewne malowidła, a teraz to. Przecież podobno interesowała się wyłącznie sportem...

O mały włos, a byłbym powiedział to wszystko głośno.

– Och nie, wolałbym o tym nie mówić – machnąłem ręką. – To dosyć smutna historia, a ja mam zamiar dzisiaj się bawić – uśmiechnąłem się do niej. – Wybieram się wieczorem do „Marty's". Jak pani sądzi, czy to dobry lokal?

– Nie wiem – odparła wzruszając ramionami. Była wyraźnie rozczarowana moim unikiem. – O to musi pan raczej zapytać mojego ojca.

– O co, Lorraine? – spytał generał.

Staliśmy znowu na progu salonu.

– Mr Skolimowski interesuje się nie tylko dziełami sztuki, szuka także i bardziej przyziemnych rozrywek – rzuciła ze złośliwym uśmiechem dziewczyna.

Oto jak zostałem ukarany za zmianę tematu! W oczach generała wyszedłem pewnie na żądnego przygód lekkoducha...

Myliłem się jednak. Generał chętnie przyjął taki obrót rzeczy.

– To rozumiem, młody człowieku! – „Młody!" – pomyślałem z ironią. Dla generała może i rzeczywiście byłem młodym człowiekiem, ale mnie ta czterdziestka zaczynała trochę doskwierać... – Trzeba się bawić, póki lata na to pozwalają. – Generał uniósł szklaneczkę. – Tu nie jest, co prawda, Paryż, ale jeśli chce pan zobaczyć dobry nocny lokal...

– Widzę, że macie już o czym rozmawiać. Przyniosę herbatę – zaproponowała dziewczyna i szybko wyszła.

Kiedy wróciła, zastała zupełną sielankę. Siedzieliśmy obydwaj w fotelach, z kieliszkami koniaku w dłoniach i byliśmy całkowicie pochłonięci problemem bujnego rozkwitu nocnych lokali w Londynie. Mimo to nie za-

pomniałem o celu mojej wizyty.

– Czy mogłaby mi pani podać nazwisko osoby, która sprzedała ten obraz? – zwróciłem się do Lorraine. – Byłbym pani bardzo wdzięczny.

– Nazwisko sprzedawcy? – dziewczyna popatrzyła na mnie tak, jakby nie rozumiała tego, co mówię.

– Tak, interesuje mnie poprzedni właściciel ikony.

– Obawiam się, że to będzie dosyć trudne. Obraz został kupiony na aukcji i to nie przeze mnie, lecz przez moją matkę. Mówiłam już panu, że ja nie interesuję się tego typu sprawami.

– Ależ Lorraine, przecież Mr Skolimowski przejechał taki szmat drogi, żeby zobaczyć ten obrazek, a ty mu nie chcesz pomóc. Wstydź się! – generał patrzył na córkę z pobłażliwą przyganą.

– Jeżeli chce pan zobaczyć ten obraz jeszcze raz, to proszę bardzo. Ale nie rozumiem zupełnie, do czego jest panu potrzebne to nazwisko. – Lorraine uparcie ignorowała słowa generała.

Ale mój upór w tej jednej, jedynej na świecie sprawie był na pewno większy niż upór wszystkich osłów świata razem wziętych. Jak osioł też wpatrywałem się w Lorraine, udając, że nie dostrzegam jej protestów.

– Interesują mnie także dzieje tego obrazu, nie tylko on sam – ciągnąłem dalej wyjaśniająco. – Bardzo by mi pani pomogła, gdyby spróbowała pani znaleźć tego człowieka. – Patrzyłem na nią wzrokiem Redforda, a przynajmniej usiłowałem tak patrzyć.

Skapitulowała, przypuszczalnie ze względu na generała, a nie na mój wzrok.

– No dobrze. Postaram się panu pomóc. Proszę do mnie zadzwonić za parę dni – powiedziała podając mi kartkę z numerem telefonu. – Być może uda mi się coś zrobić.

– Jestem pani niezwykle zobowiązany i przepraszam,

że zająłem państwu tyle czasu. To dla mnie bardzo ważna sprawa i wręcz nie wiem, jak mam pani dziękować. – Rozpływałem się w nieco przesadnej uprzejmości, ale ostateczna zgoda Lorraine wprawiła mnie w doskonały humor.

Sam nie wiedziałem, czy perspektywa uzyskania nowych wiadomości, czy też ponownego ujrzenia dziewczyny działały na mnie tak radośnie. Patrzyłem na jej ciemne, niezwykłe przy tak złocistych włosach oczy, na jej wysportowaną sylwetkę, doskonale podkreśloną ciemną, prosto skrojoną suknią i wiedziałem, że po wyjściu stąd długo jeszcze będę myślał o Lorraine Southwell.

O głupi! Gdybym jeszcze wiedział, z jakimi to będę robił uczuciami, to na pewno nie żegnałbym się tak serdecznie z moją gospodynią.

Istnieją restauracje, do których wstęp jest dozwolony tylko po założeniu krawata. „Marty's" w trosce o zdrowie swoich gości powinien żądać wkładania przed wejściem ciemnych okularów. Kolejne fragmenty dość dużej sali z tłumem ludzi wewnątrz ukazywały mi się w co chwila zmieniającej się orgii barw. Reflektor ze scenki rzucał co kilka sekund długie snopy pomarańczowego i szkarłatnego światła, zaś w takt dudniącej rockowej muzyki rozbłyskiwały fioletowe i zielone światełka boczne, których natrętne pulsowanie przypominało mi raczej sygnały karetki pogotowia niż dyskotekę.

Jednakże nikt tutaj chyba nie dzielił mojego ponurego nastroju. Była już blisko północ i nastrój podchmielonego rozbawienia osiągał właśnie szczyt. Przed chwilą zakończyły się występy striptizerek i kabaretowych komików, i teraz znów zaczęły uwijać się na sali bardzo skąpo a zalotnie odziane kelnerki, zbierając nowe, hojne zamówienia. Usłyszałem jak czerwony, spocony Żurek zamawia dość kulawą, ale za to głośną angielszczyzną

u kelnerki: „Jeszcze raz to samo dla nas! Żurek i tak nigdy nie zbankrutuje!”. Miałem zamiar wypytać go, jak to jest właściwie z tymi jego kontaktami z Anglią, a przede wszystkim dowiedzieć się, co też właściwie ten niewinny wycieczkowicz ukrywał przed rewizją w hotelu. W obecnym stanie pan Żurek nie powinien chyba opierać się żadnej indagacji. Wychylał właśnie kolejny kieliszek i z wyraźną uciechą popatrywał na krążące wokół kelnerki. Pani Sabina nie reagowała w ogóle na to jego bezwstydne zainteresowanie, gdyż zajęta była wyjaśnianiem mi w obszerny sposób, jaką cudownie tanią biżuterię można kupić w Austrii. Prawdopodobnie znalazła biedaczka nareszcie okazję, żeby się móc wygadać – jej rubaszny małżonek na pewno raczej rzadko dopuszczał ją do głosu.

Zwracałem już głowę w kierunku Żurka, chcąc rozpocząć interesującą mnie rozmowę, gdy nagle poczułem coś dziwnie miękkiego i śliskiego wokół szyi. Obróciłem się gwałtownie i... nic nie mogłem dostrzec, gdyż po kolejnym błysku świateł zapadła na sekundę ciemność. Pulsujące od nowa agresywne światła ujawniły pochylającą się nade mną postać. Była to młoda, chyba dwudziestoletnia blondynka, ubrana w połyskującą wieczorową suknię, która moim zdaniem zaczynała się nieco poniżej pasa. Wyżej z trudem można było dostrzec coś w rodzaju przezroczystej koronki. To coś śliskiego wokół mojej szyi było jej długimi, prostymi włosami.

– Hey, babe! Miałabym ochotę z tobą zatańczyć – powiedziała wyciągając do mnie rękę. Wyglądała na tak pijaną, że musiałbym służyć jej raczej za podpórkę niż partnera do tańca. Nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, do akcji wkroczył Żurek.

– Nooo, panie Marcinie, to ja rozumiem, to jest podrywka! Ma pan szczęście! Od razu pierwszego dnia! Ja tam, panie, też bym sobie pohasał, ale rozumiesz pan...

ten... tego. – Tu rzucił wymowne spojrzenie na zdezorientowaną przerwaniem jej monologu w pół słowa panią Sabinę.

– Zatańczcie sobie, dzieci – rzucił patriarchalnie Żurek.

Dziewczyna wyciągnęła mnie na środek sali przekrzykując po drodze ryk dynamicznej muzyki:

– Lubisz Barry White'a? Słuchałeś ostatnich nagrań „Stinky Toys"?

Jeśli miałem do wyboru wykrzykiwaną na całe gardło dyskusję na temat najnowszej muzyki lub taniec, to zdecydowanie wybierałem to drugie.

Kiedy wreszcie wróciliśmy do stolików, przy naszym zastałem tylko panią Sabinę.

– A gdzie pani mąż? – spytałem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie będę musiał przeprowadzać mojej rozmowy z Żurkiem w toalecie.

– Och, Tadzio znalazł sobie jakiegoś znajomego i poszli przed chwilą do baru. Będzie musiał pan sam się mną opiekować – uśmiechnęła się do mnie, w jej mniemaniu zalotnie.

Spojrzałem w stronę baru. Żurek rzeczywiście siedział tam z jakimś facetem i z wyraźnym ożywieniem coś mu klarował. Z tej odległości i wśród migających ciągle świateł nie widziałem dobrze, ale wydawało mi się, że Żurek jest dosyć trzeźwy, a przecież jeszcze przed chwilą wyglądało na to, że płynie w nim więcej alkoholu niż krwi. Ciekawiło mnie, o czym to może mój znajomy tak gorąco rozprawiać. Skłoniłem więc głowę przed uśmiechniętą panią Sabiną.

– Zatańczy pani?

Wydostaliśmy się na zatłoczony parkiet i zaczęliśmy tańczyć. „Tańczyć" nie było może zbyt odpowiednim słowem, gdyż potworny ścisk, jaki panował wokół, plus wyraźnie obniżona sprawność ruchowa podchmielonych

tancerzy pozwalały jedynie na miarowe kołysanie się w rytm dudniącej muzyki. Starając się nie zważać na mordercze spojrzenia rzucane mi przez wszystkie osoby, którym systematycznie i starannie deptałem nogi, przeciskałem się do barku. Kiedy znalazłem się w pobliżu usadowionego do mnie tyłem Żurka, uparcie zacząłem okupować jeden kawałek parkietu.

– Ani mi się waż przychodzić do hotelu! Możemy się kontaktować tutaj – usłyszałem za sobą stanowczy głos Żurka. Pan Tadeusz nie był ani w połowie tak pijany, na jakiego wyglądał.

– Ale oni nie podejrzewają... – Głos rozmówcy Żurka zniknął w narastającym ryku finału utworu i w tym samym momencie poprzez tłum tańczących przecisnął się do mnie jakiś człowiek. Na sali było prawie ciemno i nawet nie widziałem jego twarzy. Przekrzykując ryk muzyki zawołał:

– Jest pan proszony do telefonu! To na zapleczu!

Telefon? Adamowi chyba wspominałem, dokąd idę, poza tym wiedział oczywiście Kurowski. Ale czego oni mogliby teraz ode mnie chcieć? Przeprosiłem panią Sabinę, odtransportowałem ją z pewnym trudem do stolika i poszedłem na zaplecze.

Kiedy ujrzałem w małym pokoiku na tyłach lokalu telefon z położoną na aparacie słuchawką, przeczucie, że nabito mnie w butelkę, zmieniło się w pewność. Ktoś zastosował stary trik z wywoływaniem do nie istniejącego telefonicznego wezwania.

Ten ktoś ujawnił się zresztą natychmiast.

Posłyszałem z tyłu szelest, a zaraz potem poczułem silny cios. Zachwiałem się i uskoczyłem wykonując jednocześnie obrót. Zobaczyłem przed sobą czające się w półmroku dwie ubrane na ciemno postaci. Na zapleczu paliła się tylko jedna boczna lampka i nie mogłem rozróżnić żadnych szczegółów. Na razie ważne było dla mnie

jedynie to, że było ich dwóch i właściwie nie powinienem mieć z nimi większych kłopotów. Ruszyłem pochylony w ich kierunku i kiedy jeden zamachnął się gwałtownie, chwyciłem go za przegub i przerzuciłem. Grzmotnął o ziemię potężnie, więc przez chwilę mogłem skupić uwagę na tym drugim. Nim jednak zdołałem uczynić jakikolwiek ruch, uczułem nagle świdrujący ból w tyle czaszki, a ostatnim przebłyskiem mojej świadomości była myśl, że widać znalazł się jeszcze ktoś trzeci, sprytniejszy.

Ocucił mnie ból. Ale nie ten w tyle głowy. Zorientowałem się, i to głównie dzięki (jeśli oczywiście w takiej sytuacji można jeszcze za coś dziękować) bólowi w wykręconych ramionach, że moi znajomi z zaplecza wciąż jeszcze dotrzymywali mi swojego uroczego towarzystwa. Musiałem im przyznać, że jeżeli na stałe zatrudniali się w charakterze goryli od takiej roboty, to swój fach opanowali bezbłędnie. Nigdzie na podłodze nie było widać śladów krwi, m o j e j krwi – uświadomiłem sobie po chwili – a na moim ciele też pozostały stosunkowo niewielkie ślady manta, jakie mi sprawiono, gdy byłem jeszcze nieprzytomny. Stosunkowo niewielkie do tego, jak się naprawdę czułem, oczywiście.

Jeden z nich, być może ten właśnie, który zaatakował mnie od tyłu, pochylił się nade mną.

– Myślę, że masz dosyć. Oprzytomniałeś? To słuchaj. Wyjdziesz teraz spokojnie i pójdziesz prosto do hotelu. Od tej chwili masz się zachowywać jak normalny facet, zwiedzać, co pokażą, i nigdzie więcej się nie pchać! Rozumiesz?! Obrazki to cię mogą interesować w muzeum, a nie u prywatnych ludzi. Inaczej takie lanie, jak przed chwilą, będzie ostatnią rzeczą, jaka ci się w ogóle w życiu zdarzy! – mówiąc to kopnął mnie mocno w zgięte plecy.

Odrzucony uderzeniem potoczyłem się w drugi kąt.

Tymczasem moi nowi znajomi zniknęli za drzwiami. Podniosłem się powoli i z trudem. Nie było sensu biec za nimi. Przypuszczalnie uprzejmy szatniarz, czy też ktokolwiek inny z tutejszego personelu, powiedziałby mi, że nikogo podobnego do tej trójki nie było, a szukać ich samemu na ulicy... Szkoda zachodu. Nawet nie rozpoznałbym żadnej twarzy. Zresztą w moim obecnym stanie i tak nie miałem ochoty nikogo ścigać. Wiadomość, i to nie wiadomo nawet od kogo, została mi przekazana bardzo dosadnie. Wręcz nie chciało mi się myśleć o tym, jak będę się czuł jutro.

Na razie jednak musiałem pomyśleć o dzisiejszym wieczorze. Umówiłem się przecież z moim bratankiem, że przyjdzie do mnie wieczorem do hotelu. Musiałem więc tam jak najszybciej dotrzeć. Miałem nadzieję, że z pomocą boską i Żurków będę się mógł jakoś poruszać.

Kiedy wróciłem na salę, Żurek siedział już przy stoliku, a jego rozmówcy z baru nie było nigdzie widać. Przywitały mnie rozdzierające okrzyki pani Sabiny.

– Panie Marcinie, co się panu stało?! Na miłość boską, przecież pan cały krwawi! – rzuciła się ocierać mi drobne skaleczenie na czole.

„Gdyby ta samarytanka wiedziała, co mi się przytrafiło, to zachowałaby swoje lamenty choćby na to cholerne stłuczenie w tyle głowy" – myślałem ponuro, czując coraz dotkliwiej działalność moich przyjaciół z tutejszego gościnnego zaplecza. Na razie musiałem jednak coś odpowiedzieć. Zdecydowałem się na wersję klasyczną.

– Nic mi się nie stało, proszę pani Potknąłem się na schodach i trochę potłukłem. Ale to nic poważnego, naprawdę.

Na szczęście czysta robota goryli nie pozostawiła prawie żadnych widocznych śladów i nie wyglądałem tak źle, jak się czułem.

Natychmiast idziemy do domu! – zakomenderowała

pani Sabina. Jej mąż również wydawał się być zaniepokojony moim nieszczególnym wyglądem. Zresztą było już późno i jak na pierwszy dzień wycieczki, mieliśmy wystarczającą ilość wrażeń. Co prawda, każde z nas innych.

Rozdział trzeci

Kiedy stanąłem w drzwiach „Terminalu", oślepiło mnie jaskrawe światło i dobiegł gwar rozbrzmiewający w hallu. Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, jaki kontrast musi stanowić moja postać z tym otoczeniem średnio nawet ekskluzywnego hotelu. Na wprost dużych, zajmujących prawie całą ścianę szklanych drzwi znajdowała się recepcja. Był to srebrno-czarny kontuar o opływowych kształtach. Za nim rozbłyskiwała rozmaitymi światełkami tablica z numerami pokojów. Kiedy któryś z gości wzywał recepcję zamawiając telefon lub też jakąś usługę, zapalała się odpowiednia lampka. Wszystko w tym hallu było zaprojektowane przez jakiegoś dekoratora wnętrz – fanatyka ultranowoczesności. Pośrodku hallu stały czarne, powyginane dziwacznie fotele ze srebrno połyskującymi oparciami. Wśród tej powodzi świateł, srebrzystych i czarnych elementów pojawiała się gdzieniegdzie plama zieleni – ultranowoczesność nie wykluczała na szczęście staroświeckich roślin.

Na lewo ode mnie znajdowało się oszklone wejście do hotelowej restauracji. W tej chwili była już zamknięta i tylko kelnerzy krzątali się jeszcze, porządkując salę. Przy kontuarze recepcji stało kilka osób usiłujących bezskutecznie dogadać się z recepcjonistką. Dźwięki,

jakie mnie stamtąd dobiegały, przypominały bardzo węgierski, nic też dziwnego, że biedna dziewczyna po spróbowaniu dziesięciu różnych języków, którymi niestety tamci nie władali, rozkładała bezradnie ręce.

Kiedy stanąłem w hallu portier obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem, ale na szczęście pora była już późna i niewiele osób poza nim miało okazję zrobić to samo. Spojrzenie portiera było w pełni uzasadnione. Moje ubranie było miejscami podarte, miejscami zaś poplamione. Spuchnięty policzek i skaleczenie na skroni także nie dodawały mi uroku. Mimo że goryle z zaplecza uważali, by nie pozostawić zbyt wielu śladów pobicia na zewnątrz, koncentrując się głównie na tym, co będę odczuwał wewnątrz, i tak dość wyraźnie było na mnie znać ich robotę.

Zbliżyłem się nieco chwiejnie do kontuaru recepcji.

– Poproszę klucz od 236.

Recepcjonistka popatrzyła na mnie z niesmakiem. Przypuszczalnie myślała, że znać po mnie skutki pobytu w nocnym lokalu, tym samym stwarzałem jej doskonałe podstawy do legendy o hulaszczym życiu Polaków, którzy piją jak smoki i potem rzucają się kawalerią na czołgi. „Nic to, Baśka" – pomyślałem sobie jak pan Wołodyjowski i czekałem dzielnie na klucze do raju. W tej chwili bowiem łazienka w moim pokoju wydawała mi się niewątpliwym rajem.

– Pana klucz został zabrany. Zostawił pan przecież polecenie, że jeśli przyjdzie Mr Skolimowski, to należy mu wydać klucz – spojrzała na mnie chłodno recepcjonistka.

– No więc przyszedłem – usiłowałem zażartować. – Jestem właśnie Skolimowski.

– Ale pan jest Marcin Skolimowski, a klucz kazał pan oddać swojemu bratankowi o imieniu Adam – powiedziała z naciskiem. Widać potraktowała mój żart jako

dowód pijackiego zamroczenia i zrozumiałem, że u tej pani żadnych forów mieć nie będę.

Poszedłem powoli na górę zastanawiając się, co powie mój bratanek, widząc mój powrót na tarczy. Adam znalazł się jednak na poziomie. Uniósł wprawdzie lekko brwi, ale bez wahania rzucił się, by mnie powitać.

– Cześć, stary! Zrobiłeś mi cholerną radochę, kiedy zadzwoniłeś. Nie myślałem, że się tak szybko spotkamy w Londynie. Przedtem pisałeś, że może wpadniesz w zimie, a tu nagle hey presto i jesteś na Kensingtonie! – Adam wykrzykiwał to wszystko z roześmianą twarzą, nie dając mi dojść do słowa.

– Widzę, że już się tu zadomowiłeś. W jednym zdaniu miałeś i „hey presto" i spolszczony Kensington. Jeszcze trochę i w ogóle będziesz mówił polsko-angielską gwarą, zamiast każdym z tych języków osobno, ale za to poprawnie – usiłowałem przybrać ton mentora.

– Nudzisz – skrzywił się Adam. – Ja tu do ciebie z sercem na dłoni, a ty mnie od razu pouczasz.

– No dobra, koniec morałów na dzisiaj. Wiesz przecież, że też się strasznie cieszę, że cię widzę – uśmiechnąłem się do niego. – Siadaj sobie. Ja się trochę tylko doprowadzę do porządku i zaraz pogadamy.

– Nie chcę znowu siadać – zbuntował się nagle Adam. – Już cały wieczór tutaj siedzę. Ciebie nie było, bo sobie balowałeś, i to nieźle – popatrzył na mnie znacząco – a tymczasem w tym hotelu to zupełnie niewesoło. Jak szedłem do ciebie, to widziałem przez uchylone drzwi jakąś dziewczynę, która tak płakała, jakby ją co najmniej chłopak rzucił. Jeśli tak, to głupi, bo dziewczyna jak marzenie – dorzucił zapalając papierosa.

Znieruchomiałem w drzwiach łazienki.

– Jaka dziewczyna? – spytałem z zainteresowaniem.

– O jeszcze ci mało rozrywek na dzisiaj? Interesuje cię?

O Boże! Widać tak mi już było dzisiaj pisane, że wszyscy będą mnie sądzić fałszywie.

– Nie wiem co to za jedna – cisnął dalej Adam – ale spróbuję się dowiedzieć, bo naprawdę fajnie wyglądała.

– Czy widziałeś ją może w tym pokoju obok?

– Mhmm...

– W takim razie mogę ci powiedzieć, że nazywa się Monika Rawska.

– Więc jednak się nią interesujesz – stwierdził chłopak.

– Nie rozumiesz mnie wcale – powiedziałem odczuwając nagłe zmęczenie. – Interesują mnie powody jej płaczu, a nie ona sama.

– ???

– Widzę, że będę musiał opowiedzieć ci wszystko po kolei – westchnąłem.

Przysiadłem na brzegu łóżka. Pulsujący ból w czaszce wcale mi nie pomagał w tym, co miałem za chwilę zrobić. Zastanawiałem się przez moment, w jaki sposób powiedzieć rozbawionemu, nieświadomemu niczego Adamowi o śmierci Nicka. W końcu wybrałem najprostszą drogę.

– Nick nie żyje. – Popatrzyłem na niego ciężkim wzrokiem. – Znaleziono go dzisiaj w tym hotelu zabitego z rewolweru. Całe popołudnie przesłuchiwała nas wszystkich policja. A ta dziewczyna przy przesłuchaniu płakała, chociaż oświadczyła, że w ogóle nie znała Nicka. Dlatego interesuje mnie jej zachowanie. Chcę znać powody, dla których tak rozpaczała, gdyż może ma to jakiś związek ze śmiercią Nicka. W tym hotelu jest rzeczywiście, jak powiedziałeś, niewesoło – zakończyłem niemal jednym tchem.

– Co ty wygadujesz?! Dlaczego ktoś miałby zabijać Nicka? Ty chyba jednak powinieneś się trochę przespać – Adam patrzył na mnie z niedowierzaniem połączonym ze zdumieniem, a na jego twarzy nie było jeszcze smutku.

Wyraźnie brał moje słowa za jakiś niesmaczny pijacki wygłup.

– Posłuchaj – powiedziałem stanowczo. – Nie jestem pijany, a przynajmniej nie tak, żeby robić takie żarty. Wyglądam nieszczególnie, bo godzinę temu trzech facetów usiłowało mnie przekonać, żebym nie mieszał się do nie swoich spraw, między innymi dotyczy to śmierci Nicka. Zaraz opowiem ci to wszystko po kolei.

Kiedy relacjonowałem Adamowi w skrócie wydarzenia, jakie zaszły dzisiejszego dnia, widziałem, jak powoli zmienia się wyraz jego twarzy. Nie było już na niej rozbawienia ani niedowierzania. Powoli, ale nieuchronnie docierała do niego straszna prawda. Patrzyłem na to i zacząłem się zastanawiać, jak zareagowałby Adam na wieść o innej tragedii, która zdarzyła się w jego życiu.

Było to dwadzieścia lat temu, mój bratanek miał wtedy tylko kilka miesięcy. Patrząc na niego w tej chwili uprzytomniłem sobie, jak niezwykle jest podobny do swojego ojca. Ogarnęła mnie fala wspomnień...

Pani Kostecka nie mogła narzekać w tym roku na sprawy finansowe. Dostali z banku dużą pożyczkę na zagospodarowanie, tak zresztą jak wszyscy, którzy decydowali się na zamieszkanie na tych spalonych, opuszczonych przez wszystkich ziemiach. A ponadto tego lata niespodziewanie kroił się nowy grosz do kabzy. Parę dni temu do domu pani Kosteckiej przyszło dwoje młodych ludzi z plecakami. Powiedzieli, że przysłano ich z gminy, gdzie im polecono ten dom na kwaterę. Mieli ze sobą jakieś papierki i dokumenty, ale pani Kostecka wolała, by ten młodzieniec ze śmiejącymi się oczyma wyjaśnił jej raczej wszystko swoimi słowami.

Chłopak coś tam tłumaczył, że oboje są historykami sztuki i przysłano ich tu aż z jakiegoś muzeum z Warszawy. Mieli szukać obrazów czy ikon, czy czort wie czego.

Panią Kostecką znacznie bardziej interesowało, czy ta młoda para miała świadectwo ślubu, skoro chciała u niej mieszkać. Okazało się, że miała, i to nie tylko ślub, ale i kilkumiesięczne dziecko, które zostało powierzone rodzinie na parę dni. Pani Kostecka obruszyła się trochę na taką beztroskę, choć dziewczyna jej tłumaczyła, że dziecko ma na te kilka dni zapewnioną dobrą opiekę, a oni muszą wypełnić tutaj swoją misję.

Pani Kostecka nie bardzo rozumiała, jak można nazywać szukanie jakichś tam obrazów misją, ale w końcu ta para była bardzo sympatyczna, a pieniądze, jakie mieli wpłacić za pokój, przechyliły szalę.

Po dwóch dniach goście byli już zupełnie zaprzyjaźnieni z gospodynią. Pani Irenka rankami nawet trochę pomagała w gospodarstwie mówiąc, że chce się nauczyć prowadzenia domu.

Przed południem oboje gdzieś jeździli po okolicy i wracali zmęczeni, głodni, ale na ogół zadowoleni i uśmiechnięci. Opowiadali z przejęciem, że napotkali w zaniedbanych cerkiewkach i spalonych domach jakieś tam fantastyczne zabytki sztuki ruskiej, ale pani Kostecka podejrzewała, że oni, jak to zwykle młodzi, byli po prostu zadowoleni ze wspólnych wędrówek po pięknej okolicy. „Ot, młodzi i zakochani, a nie żadni tam naukowcy" – myślała sobie gospodyni patrząc pobłażliwie na uśmiechniętą, rozprawiającą o czymś z przejęciem parę. Przed wojną pani Kostecka pracowała trochę w uniwersyteckiej stołówce i z tamtych lat pozostał jej sentyment do naukowców w ogóle. Ale zawsze to byli poważnie wyglądający panowie, a nie takie młodociane, roześmiane pary.

Któregoś dnia jednak pani Kostecka zmieniła nieco zdanie na temat umiejętności naukowych tych młodych. Przyszli do niej pod wieczór rozpromienieni, szczęśliwi. Pan Jerzy powiedział, że zrobili wielkie odkrycie i że

mogą właściwie wracać do Warszawy, bo chyba już nic cenniejszego na tym terenie nie znajdą. Wyciągnął z torby spory kawałek jakiejś sczerniałej brudnej deski i kazał to podziwiać gospodyni. Ponieważ nie widziała w tym kawałku drewna nic szczególnego, młodzi zaczęli na przemian tłumaczyć, jak cenne jest ich znalezisko. Podobno była to jakaś strasznie stara ikona. Sprzed jakiegoś edyktu, czy też coś w tym rodzaju. Mówili szybko i z takim przejęciem, że pani Kostecka niewiele zrozumiała. Jej mąż interesował się nawet trochę takimi rzeczami, czasem mówił, że w Bieszczadach niszczeje bardzo dużo różnych zabytków, ale wyjechał akurat na kilka dni, więc musiała sama wysłuchiwać zachwytów młodych nad tą deską. Zresztą to podobno było dosyć cenne, a oni cieszyli się tak bardzo...

Następnego dnia na podwórku pojawił się nowy gość. Pani Kostecka myła właśnie okno, wypytując jednocześnie panią Irenkę, czy będą jeszcze szukać jakiś obrazków czy też muszą już jechać do Warszawy, gdy ten człowiek zbliżył się do nich. Był dosyć młody, silnie zbudowany, na twarzy miał ciemne optyczne okulary. Wyglądał zwyczajnie, ale może z powodu tych okularów gospodyni pomyślała, że nieznajomy musi być cudzoziemcem. Nie zdziwiła się więc bardzo, kiedy zagadnął ją z lekkim obcym akcentem. Powiedział, że jest Polakiem z pochodzenia i zwiedza kraj swoich rodziców. Podobno pani Kostecka wynajmuje pokoje, więc zgłasza się do niej. Pokazał przy tym jakiś papierek z gminy mówiąc, że załatwił już formalności meldunkowe. Meldunki gości trzeba było załatwiać w gminie odległej o prawie trzydzieści kilometrów i pani Kosteckiej nie uśmiechałoby się marnowanie całego dnia na załatwianie takiego papierka. Była więc gotowa przyjąć nowego lokatora, tym bardziej że zaofiarował się sowicie zapłacić za pokój.

Po śniadaniu pani Kostecka zajęła się gospodarstwem

młoda para poszła daleko na pocztę załatwiać telegraficznie sprawę swojego powrotu do Warszawy, a nowy lokator udał się do wsi, oglądać tutejszą na pół spaloną unicką cerkiewkę.

Wieczorem pan Jerzy powiedział, że wyjeżdżają następnego dnia i zaproponował małe przyjęcie pożegnalne. Pani Kosteckiej zrobiło się smutno, że jej mili lokatorzy wyjeżdżają, tym bardziej że zapłacili przecież za cały tydzień z góry i mogliby jeszcze parę dni posiedzieć. Okolica przecież piękna i jakie powietrze! Skoro jednak przez ten obraz naprawdę musieli jechać to jasne, że należało się pożegnać przyzwoicie. Poparła więc pana Jerzego, dodając, że wypadałoby zaprosić tego nowego gościa. Niech wie, co to polska gościnność. Młodzi ucieszyli się nawet, że będzie większe towarzystwo, i wieczorem wszyscy zebrali się w pokoju stołowym. Pani Kostecka wraz z młodą mężatką przygotowała całą górę smakołyków, a nowy gość przyniósł kilka butelek zagranicznych trunków. W pewnym momencie dobrze już rozkręconej zabawy pan Jerzy wzniósł toast za ikonę i nowy lokator zainteresował się wówczas, o czym też mowa. Wtedy pani Irenka przyniosła z pokoju obraz i nastąpiła szczegółowa demonstracja obiektu.

Była to prostokątna deska o wysokości około pół metra. Drewno było sczerniałe ze starości, pokryte plamami i sadzą. Jednakże miejscami powierzchnia była mniej zabrudzona i można było dostrzec słabe kontury malowidła. W centralnym punkcie obrazu było widać głowę uzbrojonego w złocisty hełm rycerza. Na innym kawałku widniała ręka rycerza z uniesionym w górę mieczem. Reszta niknęła pod grubą warstwą brudu.

Cudzoziemiec bardzo dokładnie obejrzał obraz ze wszystkich stron, próbując nawet wbrew protestom naukowców, zdrapać w kilku miejscach warstwę sadzy. Pan Jerzy zaczął obszernie tłumaczyć, że zarówno sama de-

ska, jak i malowidło muszą dopiero przejść dokładną konserwację, żeby można było podziwiać piękno ikony w całości. Znaleźli ją w na pół spalonej cerkiewce o kilka kilometrów od wsi. Ukryto ją za ołtarzem i dlatego ocalała w czasie pożaru, nie zabrał jej też żaden plądrujący rabuś. Mieli naprawdę dużo szczęścia, żeby tak od razu znaleźć taką cenną rzecz.

Gość zainteresował się wyjaśnieniami pana Jerzego i zaproponował kupno obrazu za sporą sumę w dolarach. Naukowcy obruszyli się na tę bezceremonialną propozycję i dopiero pani Kostecka musiała ich mitygować, tłumacząc, że przecież cudzoziemiec nie jest przyzwyczajony do tego, że tu ważniejsze jest muzeum niż własność prywatna. W końcu pan Jerzy rozchmurzył się trochę i poradził cudzoziemcowi, by za kilka miesięcy obejrzał sobie ikonę w muzeum w Warszawie.

Potem rozpoczęła się ogólna rozmowa o zabytkach, jakie pozostawały nie chronione i nie konserwowane w zapomnianych przez Boga i ludzi Bieszczadach. Oboje naukowcy opowiadali szeroko i ciekawie o swojej pracy. Na koniec pan Jerzy stwierdził żartobliwie, że niespodzianka, jaką sprawi przywożąc takie cenne znalezisko, na pewno pomoże mu w karierze naukowej. Pożartowawszy trochę na ten temat młoda para udała się na ostatni przed wyjazdem spacer po okolicy, a pani Kostecka i nowy lokator – na spoczynek.

Resztę wydarzeń można było tylko zrekonstruować, gdyż relacja pani Kosteckiej była zbyt chaotyczna i oczywiście niekompletna.

W jakieś pół godziny po wyjściu młodych naukowców drzwi od ich pokoju uchyliły się lekko. Nie zamykano ich w ogóle na klucz, gdyż pani Kostecka oświadczyła, że po pierwsze to klucz od tych drzwi gdzieś się zapodział, a po drugie to i tak przecież żadnych obcych w domu nie ma, więc po co zamykać.

Do ciemnego pokoju wśliznęła się jakaś skulona postać. Cicho przymknęły się drzwi i światełko malutkiej ołówkowej latarki zaczęło się przesuwać po sprzętach w pokoju. Wreszcie znieruchomiało na drzwiach ogromnej szafy. Drzwi szafy uchyliły się bez skrzypnięcia pod dotknięciem ręki w czarnej rękawiczce. Ręka zatrzymała się na ciemnym prostokątnym przedmiocie leżącym na jednej z półek. Światełko latarki omiotło jaskrawym punkcikiem powierzchnię przedmiotu, wydobywając z mroku niewyraźne zarysy średniowiecznego, sztywno pochylonego rycerza i połyskujący złoto miecz, który wznosił nad głową.

Ale myszkujący intruz nie był widać czuły na piękno tego, co wydobywało z mroku nikłe światełko, bo ręka brutalnie wyszarpnęła ciemną deskę z półki. Nagle zamykająca drzwi szafy dłoń znieruchomiała. Za drzwiami dały się słyszeć dość głośne kroki. Latarka zgasła natychmiast, a jej właściciel uskoczył błyskawicznie w kąt pokoju za drzwiami. Na korytarzu rozległ się przyciszony kobiecy głos: „Jerzy, ja idę się teraz myć, a za dziesięć minut możesz pójść ty". Kroki w korytarzu rozdzieliły się. Jedne, lżejsze, powoli oddalały się w głąb domu, drugie, głośniejsze, przybliżały się nieuchronnie ku pokojowi. W końcu drzwi uchyliły się i wszedł przez nie mężczyzna. Stanął na progu akurat w takiej pozycji, że natychmiast po zapaleniu światła dostrzegł uchylone drzwi szafy. Skoczył ku nim i wtedy od drzwi dobiegł go cichy szelest. Człowiek w rękawiczkach usiłował prześliznąć się przez na wpół uchylone drzwi na korytarz. Droga odwrotu była jednak odcięta.

Jerzy odwrócił się, wydał z siebie zduszony, niedowierzający okrzyk: „Ty złodzieju!" i rzucił w kierunku skulonej przy drzwiach postaci. Na sekundę osadził go w miejscu zimny, opanowany i nienawistny głos: „Sam tego chciałeś, ty idioto!". Zanim gotujący się do skoku

Jerzy miał czas cokolwiek zrobić, w ręku człowieka w rękawiczkach coś błysnęło.

Strzał był tak celny, że padający chłopak nie wydał nawet jęku. Rozległ się jednak cichy dźwięk wystrzału poprzez tłumik i łoskot padającego ciała, który zabrzmiał donośnie w ciszy domu. Z łazienki dobiegł zaniepokojony kobiecy głos: „Co ty tam wyprawiasz, Jerzy?"

Morderca nie miał chwili do stracenia. Pchnął, teraz już z rozmachem i hałasem, drzwi i wybiegł na korytarz. W połowie ciasnego korytarzyka zderzył się z nadchodzącą właśnie kobietą. Wykrzywiona twarz przeraziła ją. Krzyknęła. Uciekający odepchnął ją tak mocno, że upadła, a sam wybiegł szybko z domu.

Tymczasem przestraszona kobieta podniosła się z trudem i podeszła do drzwi pokoju. Gdy stanęła w progu, ujrzała na podłodze nienaturalnie skręcone ciało męża.

Jej przenikliwy krzyk rozbudził panią Kostecką. Nadbiegła akurat w momencie, gdy młoda kobieta osuwała się zemdlona na podłogę. Kiedy gospodyni zorientowała się w sytuacji, usiłowała ocucić nieprzytomną, ale ta, po tym pierwszym strasznym krzyku, nie reagowała już na nic. Pani Kostecka spędziła wtedy okropną noc. W pokoju leżał zabity lokator, jego żona była wciąż nieprzytomna, gdzieś w pobliżu być może krążył ów trzeci lokator, który, jak się domyśliła od razu gospodyni, był mordercą. Musiała jednak poczekać do rana, by sprowadzić pomoc. Telefonów oczywiście w takiej dziurze nie było, a nie mogła przecież zostawić pani Ireny. Rankiem, jak co dzień, nadeszła sąsiadka po mleko. Milicja zdołała przybyć dopiero po południu, kiedy szanse znalezienia mordercy były już bardzo nikłe.

Mimo blokady dróg i rozesłanego rysopisu nie udało się odnaleźć tego człowieka, tym bardziej że dowód zameldowania, pokazywany przez niego pani Kosteckiej, był fałszywy. Przez wiele lat nie natrafiono na żaden ślad owego rzekomego lub też prawdziwego cudzoziemca.

Jednakże pewne poufne informacje władz wskazywały na to, że ten człowiek był naprawdę cudzoziemcem oraz że udało mu się przedostać po pewnym czasie za granicę, przypuszczalnie wraz z obrazem.

Irena, żona Jerzego, zmarła na zawał wskutek szoku nerwowego w tydzień po tragedii, zostawiając kilkumiesięcznego syna. Tym osieroconym w tak okrutny sposób dzieckiem był Adam. Opiekę nad nim przejąłem ja, sam wówczas niezbyt dorosły, osiemnastoletni chłopak. Przyrzekłem sobie wówczas dwie rzeczy. Po pierwsze: że postaram się wychować Adama na takiego człowieka, jakim go chciał widzieć mój brat, a po drugie: że odnajdę sprawcę śmierci najbliższych mi ludzi. Adam, mimo swoich młodzieńczych wad, wyrósł na porządnego człowieka. Z wypełnieniem mojego drugiego przyrzeczenia musiałem czekać wiele lat. Teraz jednak miałem pewność, że zbliża się kres mojego oczekiwania. Śmierć Nicka przyniosła mi jeszcze jeden rachunek do zapłacenia mordercy.

Na twarzy Adama malowało się wciąż jeszcze zaskoczenie, ale także gniew i żal. Wiedziałem, że muszę natychmiast zająć czymś jego umysł, skierować jego coraz bardziej ponure myśli na inne tory. Zanim jednak miałem czas cokolwiek powiedzieć, Adam niespodziewanie wykrzyknął z pasją:

– To dlatego Nick chodził przez te parę ostatnich dni jak struty! Widziałem się z nim trzy dni temu i był taki jakiś... Zaszczuty! – wypalił. – Naprawdę! Sprawiał wrażenie, jakby się czegoś bał. Pytałem go nawet wtedy, co mu jest, ale powiedział, że mi się coś wydaje. Zaraz potem zaczęliśmy mówić o tobie i wtedy Nick stał się z powrotem odprężony; cieszył się bardzo, że przyjeżdżasz. A tak właściwie, to po co przyjechałeś? – spytał mnie z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

– Mówiłem ci przed chwilą – powiedziałem rad, że

mogę skierować myśli Adama w innym kierunku. – Chciałem obejrzeć tutaj pewien obraz, o którym pisał Nick. A raczej – zacząłem wyjaśniać – interesuje mnie nie tyle sam obraz, co jego poprzedni właściciel. Na razie jednak próby ustalenia jego nazwiska spełzały na niczym. Być może udało się to Nickowi i pewnie dlatego zginął... – zastanawiałem się głośno.

Adam, jak zwykle, zareagował bardzo impulsywnie.

– Och, żebym tak dopadł drania, który tak urządził Nicka! – Chłopak znieruchomiał nagle, uderzony nową myślą. – Słuchaj, Marcin! Nick przecież coś tam przebąkiwał o tym obrazie. Czekaj, co to było... – Adam pocierał nasadę nosa z tak zabawnym namaszczeniem, że wręcz chciałem mu przypomnieć, iż ośrodki pamięci znajdują się w półkulach mózgowych, a nie w okolicy zatok. Poniechałem jednak tego. Spróbowałem mu pomóc.

– Pewnie ci mówił, że ten obraz pojawił się po raz pierwszy po latach na aukcji u Sotheby's i że ja się tym interesuję.

– Nie, to nie to... – mój bratanek marszczył brwi z niezadowoleniem.

Nagle uniósł gwałtownie głowę.

– Marcin! Czy ten obraz, o którym mówisz, to może jest to draństwo, przez które mój ojciec... – nie dokończył, patrząc na mnie z napięciem.

Początkowo chciałem trzymać go z daleka od tej sprawy, gdyż jego młodzieńcza gwałtowność na pewno w niczym by nie pomogła. Poza tym, to ja miałem osobiste porachunki z trzecim lokatorem pani Kosteckiej – Adam był wtedy niemowlęciem i nie wolno mi było pod żadnym pozorem rozbudzać w nim uczucia zemsty czy nienawiści. Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że lepiej chyba będzie powiedzieć mu prawdę, niż pozwolić, aby jakimiś nieprzemyślanymi czynami doprowadził do jeszcze jednej tragedii.

– Tak, to właśnie o ten obraz chodzi – skinąłem głową. – Wiesz przecież: istniało podejrzenie, że obraz wywiózł za granicę ten sam człowiek, który go ukradł. Nigdy jednak nie natrafiono na ślad tej ikony. Aż do teraz.

– Ależ musimy znaleźć tego człowieka! Skoro on jest tutaj!... – gorączkował się Adam.

– Właśnie usiłuję to zrobić – odpowiedziałem spokojnie. – Ale bez tej liczby mnogiej. Nie my, tylko ja. Nie chcę, żebyś się do tego mieszał.

– Dobra, dobra... – Adam zdawał się nie zwracać większej uwagi na moje słowa. – Poczekaj, muszę sobie przypomnieć, co właściwie mówił Nick. Może to ważne... Czekaj! On chyba mówił coś takiego, że to wtedy nie chodziło o obraz. Powiedział, że za tym wszystkim kryła się jakaś większa afera. W każdym razie chodziło o coś innego niż przemyt ikon na zachód. Wiesz, ja wówczas nie wiedziałem, o jakim obrazie i jakim „wtedy" mówił Nick, więc niewiele zrozumiałem. Zresztą on chciał porozmawiać z tobą – usprawiedliwiał się jakby Adam.

– Poczekaj, to coś zupełnie nowego – zainteresowałem się. – Nick twierdził więc, że kradzież ikony nie była związana z przemytem dzieł sztuki? W takim razie dlaczego tamten człowiek popełnił morderstwo i wywoził obraz? Jaką „aferę" miał na myśli Nick? – rozważałem głośno. – W każdym razie to by się zgadzało ze słowami jego listu. – Wyciągnąłem z portfela ostatni list Nicka. – Tu jest takie zdanie... O, mam. Posłuchaj: *Udało mi się także zdobyć kilka innych, dość niezwykłych informacji, ale są one jeszcze nie sprawdzone, a poza tym wolałbym Ci przekazać je osobiście.*

– Musimy się koniecznie dowiedzieć, co się kryje za tym przeklętym obrazem! – wykrzyknął Adam. – To może być strasznie ważne!

– Widzę, że nic cię nie odciągnie od tej sprawy – powiedziałem z westchnieniem. – No dobrze. Spróbujmy

coś zrobić. Chciałbym, żebyś poszedł jutro do Sotheby's i spróbował dowiedzieć się nazwiska osoby, która sprzedała ten obraz na aukcji. Kupiła go żona generała Southwella. Rozmawiałem dziś z jego córką, więc tego nie musisz już sprawdzać.

– Myślisz, że oni zgodzą się na podanie tego nazwiska komuś wprost z ulicy? – skrzywił się z powątpiewaniem Adam.

– Musisz zaprezentować cały swój nieodparty wdzięk młodzieńczy. Oczywiście, jeśli natrafisz w biurze aukcji na panią. W przypadku, gdy natkniesz się na solidnego urzędnika, to raczej powinieneś powołać się na znajomość z Nickiem. On był tam znany jako ekspert i konsultant – powiedziałem podnosząc się z miejsca.

Na szczęście dzięki zmianie pokoju miałem teraz dwa łóżka i mogłem przenocować Adama u siebie. Rzuciłem mu koc na łóżko i powiedziałem kierując się ku łazience:

– Idź spać, nic więcej mądrego nie wymyślimy. Ja jeszcze pójdę lizać moje rany – mrugnąłem do niego z uśmiechem.

Uśmiech zniknął mi jednak z twarzy natychmiast, gdy zamknąłem za sobą drzwi łazienki. W mojej głowie odbywało się coś w rodzaju mityngu kowali z całego świata, połączonego z pokazem co wymyślniejszych sposobów łupania i walenia. Ponadto gorący prysznic ujawnił na moim ciele szereg miejsc, które pod wpływem uderzeń wodnego strumienia zaczęły mocno, acz równomiernie fioletowieć. Nie chciałem nawet myśleć o tym, jak będę wyglądał jutro. Kiedy wyszedłem z łazienki światło było zgaszone i myślałem, że mój bratanek już śpi. Nagle jednak Adam powiedział cicho:

– Wiesz, Nick nie miał chyba żadnej rodziny. To my musimy zająć się jego pogrzebem.

– Oczywiście, że to zrobimy. Nie myśl już o tym – powiedziałem uspokajająco.

Wkrótce potem usłyszałem równy oddech chłopaka.

Sięgnąłem wówczas po papierosy i zapaliłem pierwszego z wielu, jakie miałem jeszcze tej nocy wypalić. Wyciągnąłem się na łóżku i zacząłem intensywnie rozmyślać. Między innymi myślałem o Lorraine. Ale tym razem nie miałem przed oczyma tylko jej wyrazistych, pięknych oczu. Myślałem natomiast o tym, jak niechętnie odnosiła się do moich nalegań dotyczących odkrycia nazwiska sprzedawcy obrazu. A także o tym, że również u niej mówiłem, i to dużo, o moim planowanym wypadzie do „Marty's". Tam, gdzie czekało na mnie trzech goryli z tajemniczym, lecz bolesnym ostrzeżeniem... Lorraine... Może nie interesowała się wyłącznie sportem...

Wreszcie nad ranem zasnąłem.

Rozdział czwarty

Na śniadanie zeszliśmy z Adamem w wyraźnie odmiennych nastrojach. Ja byłem obolały i niewyspany, on zaś tryskał energią. Kiedy stanęliśmy w drzwiach sali restauracyjnej, dostrzegłem Żurka machającego energicznie w naszą stronę. Wczoraj nie udało mi się nic z niego wyciągnąć na temat jego podejrzanego zachowania podczas rewizji i wciąż nie byłem pewien, czy za tą demonstracyjną jowialnością nie kryje się zupełnie inny, niebezpieczny charakter. W tej chwili nie miałem jednak ochoty na rozszyfrowywanie go, a już na pewno nie na towarzyską konwersację. Udałem więc, że nie widzę jego znaków i pociągnąłem Adama do innego stolika. A raczej nie ja jego, a on mnie. Ten nagły przypływ jego energii był spowodowany faktem, że przy stoliku siedziała już jedna osoba. Monika Rawska. To, co miałem oglądać przez następne pół godziny, było istnym

popisem flirtu towarzyskiego. Tyle, że jednostronnym.

Adam z punktu zaczął od komplementów.

– Miejsce obok pani to na pewno nie jest wolne – wyrzekł ponuro, stając przed dziewczyną.

Podniosła ku niemu głowę. Na jej twarzy odbiło się zmęczenie, niewyspanie i chyba długi płacz. Potwierdzałoby to słowa Adama. Widział ją przecież przez uchylone drzwi pokoju głośno płaczącą.

Monika była niewysoką, drobną dziewczyną. Ciemne włosy upięła ciasno w wysoki kok, ale wokół czoła wiły się poskręcane w pierścienie loczki. Ubrana była na czarno, co podkreślało bladość jej cery. Patrzyłem na tę smutną, delikatną twarz i zastanawiałem się, czy dziewczyna, jak być może Żurek, ma coś wspólnego ze śmiercią Nicka. Chociaż nie miałem absolutnie pojęcia jakim sposobem.

– Dlaczego pan uważa, że to miejsce jest zajęte? – spytała patrząc zaskoczona na Adama.

– Takie śliczne dziewczyny nigdy przecież nie siedzą samotnie – wyjaśnił z uśmiechem mój bratanek.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i wykonała zapraszający gest ręką. Byłem pochłonięty swoimi myślami, ale docierały do mnie fragmenty ich rozmowy.

– Czy wie pani, co macie dzisiaj zwiedzać? – dopytywał się Adam. – Może coś nieciekawego?

– Dlaczego nieciekawego? – podniosła ku niemu zdziwione oczy. Zauważyłem ich intensywną zieleń i czerń okalających je gęstych rzęs. Mój bratanek zauważył to niewątpliwie również, bo w jego oczach pojawił się jakiś potężniejący z minuty na minutę blask.

– Nieciekawego – odparł swobodnie – bo wtedy mogłaby się pani odłączyć od wycieczki, a ja bym pani pokazał ciekawe rzeczy w Londynie. Wie pani, jaki ze mnie wspaniały cicerone? Przy każdym interesującym, zabytkowym miejscu opowiadam jakieś mrożące krew

w żyłach historie. A potem mógłbym panią oprowadzać po najfajniejszych sklepach Londynu. Ułatwiam zakupy, oczarowuję sprzedawców, tłumaczę dokładnie każde życzenie kupującego. Wręcz idealny ze mnie przewodnik! – błaznował Adam.

– Wie pan, mnie to nie jest potrzebne – odparła spokojnie. – Znam Londyn bardzo dobrze i język także. Studiuję filologię angielską – dodała z leciutką drwiną.

Adam na chwilę stracił kontenans. Pospieszyłem mu na pomoc.

– Po co w takim razie wybrała się pani na tę wycieczkę? – spytałem. – Jest przeznaczona dla ludzi, którzy jeszcze nigdy Londynu nie widzieli. W planie zwiedzania są raczej tradycyjne rzeczy i może to panią znudzić.

– Nie miałam innego wyboru – dziewczyna nachmurzyła się. – Z wycieczką łatwiej załatwić formalności wyjazdowe. Zresztą... Czy to ważne... – wzruszyła ramionami.

– Ależ ważne! – podchwycił Adam. – Nie chciałbym, żeby się pani tutaj nudziła. Chociaż takie ładne dziewczyny nigdy się nie nudzą... – mówił patrząc na nią z udawanym zamyśleniem i pytaniem w oczach. – Chłopak pewnie został w Polsce...

Jej reakcja była nieoczekiwanie gwałtowna.

– Niech pan przestanie! – wykrzyknęła. Kilka osób obejrzało się w naszym kierunku, więc ściszyła głos. – Przepraszam, jestem dzisiaj trochę nie w humorze – próbowała się uśmiechnąć.

– To ja przepraszam – powiedział szybko Adam. – Żartowałem tylko, ale zdaje się, że z niedźwiedzim wdziękiem. Mam nadzieję, że jednak pani się na mnie nie gniewa – spojrzał na nią pytająco.

– Ależ nie – stwierdziła dziewczyna obojętnie.

Nie zostało prawie śladu po jej gwałtownym wybuchu.

– A może jednak pozwoli pani pooprowadzać się tro-

chę po Londynie? Może jednak jest coś, czego pani tu jeszcze nie zna? – zagadywał niestrudzenie.

Nie mogłem śledzić dalszego ciągu ich rozmowy, gdyż nagle stanął przede mną policjant. Gdybym nie był tak zajęty swoimi myślami, zauważyłbym zapewne, że od kilku sekund ustał wszelki gwar na sali, a wszyscy z zaciekawieniem się we mnie wpatrują. Policjant zasalutował i pochylił się, wtykając mi do ręki jakiś papierek.

– Wezwanie dla pana w sprawie wczorajszego zabójstwa. Do inspektora Robsona. Tutaj jest adres. Dziś o wpół do dziesiątej. Zrozumiał mnie pan? – skandował donośnie, obawiając się pewnie, że jako cudzoziemiec nic nie zrozumiem. Nie prosił kierownika wycieczki o przetłumaczenie swoich słów, więc widać Kurowski musiał mu już wcześniej powiedzieć, że znam angielski. Sądząc jednak z obszernej gestykulacji, jaka towarzyszyła jego słowom, nie dowierzał tak zupełnie moim lingwistycznym zdolnościom.

– Dobrze, dziękuję. Przyjdę, oczywiście – powiedziałem do policjanta. Na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga, że jednak pojąłem, co do mnie mówił. Zasalutował energicznie i majestatycznie wyszedł z sali.

Kiedy wszedłem do sporego, ciemnego pokoju, zobaczyłem duży portret królowej na ścianie naprzeciw mnie. Oprócz tego w pokoju było tylko kilka dość zniszczonych sprzętów. Na samym środku stało biurko z dwoma krzesełkami po obu stronach. Ponadto pod ścianą stał mały stolik z maszyną do pisania i metalowa szafa. Wszystko to było utrzymane w brudnobrązowej tonacji i gdybym zaliczał się do estetów, to zapewne sam widok tego pokoju stanowiłby torturę pierwszego stopnia.

Do pokoju wszedł Robson. Był masywnym, wysokim mężczyzną około czterdziestki. Poruszał się energicznie, sprężyście, miał w sobie jakąś kocią czujność. Ciemne,

wąskie oczy patrzyły na mnie bystro, taksująco. Robson przysunął sobie z hałasem krzesło, mnie wskazał drugie. Zaczął bez dłuższych wstępów:

– Dowiedzieliśmy się od kierownika pańskiej wycieczki, że zna pan bardzo dobrze angielski. Nie będziemy więc chyba korzystać z tłumacza? – Robson patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Tak, rzeczywiście, mówię po angielsku – przyznałem się bez bicia.

– Dlaczego ukrył pan to podczas wstępnego przesłuchania? – naskoczył na mnie z miejsca inspektor.

– Nie ukrywałem tego – wzruszyłem ramionami. – Po prostu nikt mnie o to nie pytał.

– Ach tak – Robson spojrzał na mnie spod oka. – Natomiast pytano pana o inne rzeczy i też pan niczego nie ujawnił.

– Nie rozumiem? – Oczywiście rozumiałem doskonale, ale cóż innego mogłem powiedzieć.

– Myślę, że jednak pan rozumie – stwierdził sucho inspektor. – Podpisał pan wczoraj zeznanie, że nie zna pan tego zabitego człowieka i nie ma pan pojęcia, jak się znalazł u pana w pokoju. Czy w pańskim kraju fałszywe zeznania nie są karane? Bo u nas tak – patrzył na mnie badawczo.

– Ma pan rację. To nie było prawdą – powiedziałem spokojnie. Jeśli myślał, że będę się wykręcał na wszystkie strony, to sprawiłem mu zawód. – W pierwszym odruchu rzeczywiście zaprzeczyłem, ale tak naprawdę to oczywiście znałem go.

– Zmienia więc pan zeznanie? – Robson domagał się widać powtórzenia ze względu na protokolanta pilnie piszącego w kącie pokoju.

– Tak, znałem Nicka Dallowaya – powtórzyłem trochę głośniej.

– Powiedziałbym, że nawet nieźle – zauważył Robson.

– Tak, był moim przyjacielem.

– Ciekawe... I wczoraj przez roztargnienie pan o tym zapomniał? – Robson patrzył na mnie z sarkastycznie uniesionymi brwiami.

– Nie zapomniałem. Po prostu machinalnie zaprzeczyłem, a kiedy się zorientowałem, nie wiedziałem już jak to odkręcić. W każdym razie nie zaprzeczam niczemu teraz.

– Wiemy, że to był pański przyjaciel, a nie tylko znajomy. – Inspektor wyraźnie chciał mi wykazać, że nie powiem tutaj niczego, czego nie wiedziałaby już policja. – Zrobiliśmy rewizję w domu Dallowaya – ciągnął dalej – i znaleźliśmy jego korespondencję. Wiele listów było pisanych przez pana, i to w ciągu kilkunastu lat. Niestety, nie znaleźliśmy w jego papierach żadnych wskazówek co do powodów morderstwa.

Zapadła chwila milczenia.

– Czy może nam pan powiedzieć, w jaki sposób Mr Dalloway znalazł się w pańskim pokoju? – spytał nagle inspektor.

– Mogę się jedynie domyślać.

Postanowiłem, że będę się trzymać prawdy, jeśli to tylko będzie możliwe.

– Byłem z nim umówiony w takiej małej knajpce przy Knightsbridge. Czekałem prawie godzinę, ale nie przyszedł. Musiał widocznie pójść w tym czasie do mnie, do hotelu, i w ten sposób rozminęliśmy się.

– Skoro był z panem umówiony gdzie indziej, to dlaczego przyszedł do hotelu? – Robson spojrzał nieufnie.

– Nie wiem. Być może zapomniał, gdzie się umówiliśmy.

– To był pierwszy dzień pańskiego pobytu w Londynie, prawda? – spytał inspektor. – Czy nie byłoby więc prościej, gdyby Mr Dalloway powitał pana na lotnisku?

– Nie sądzę. Przyjechałem tu z wycieczką, a nie indy-

widualnie, a poza tym chcieliśmy gdzieś spokojnie porozmawiać, więc spotkanie w restauracji wydawało mi się najlepsze.

– Ach tak. – Robson rzucił mi szybkie spojrzenie. – A na jaki temat chcieli panowie porozmawiać?

Tu już zaczynała się strefa, w której nie mogłem trzymać się ściśle prawdy. Robson wyglądał jednak na inteligentnego człowieka i nie wiedziałem, czy uda mi się go wyprowadzić w pole.

– Po prostu dawno się nie widzieliśmy i chcieliśmy ze sobą pogawędzić. Wie pan, jak to jest ... – zrobiłem melancholijną minę – starzy przyjaciele, wspomnienia ...

Inspektor nie dał się jednak wziąć na sentymenty.

– Ale pański przyjaciel nie stawił się na spotkanie, co więcej: został w tym czasie zastrzelony w pańskim pokoju. Czy potrafi pan podać jakiś powód, dla którego został zamordowany?

– Nie – odparłem zdecydowanie. Jeśli duch Nicka unosił się w tej chwili nade mną, to miałem nadzieję, że dla dobra sprawy wybaczy mi to bezwstydne kłamstwo. Czy się nie domyślałem! Prawie całą noc strawiłem na domysłach i analizowaniu tej sprawy. Podniosłem oczy na Robsona.

– Nie, panie inspektorze, nie mam pojęcia, dlaczego został zabity.

Inspektor patrzył na mnie niezdecydowanie, jakby wahając się, czy przyjąć to moje oświadczenie za dobrą monetę, czy nie. Wreszcie zdecydował się na zmianę tematu:

– Proszę nam powiedzieć, co pan robił wczorajszego dnia od przybycia do Londynu aż do momentu, kiedy wraz z Mr ... – zawahał się.

– Żurkiem – powiedziałem, wiedząc, że dla rdzennego Anglika nazwisko mojego znajomego jest pułapką najeżoną językowymi trudnościami.

– Tak, właśnie – przytwierdził z ledwo dostrzegalną ulgą inspektor. – Do momentu, kiedy znaleźliście ciało.

– Szczegółowo?

– Tak. Minuta po minucie – odparł surowo Robson.

„Chciałeś prawdy, to będziesz ją miał" – pomyślałem sobie z westchnieniem.

– Na Heathrow wylądowaliśmy o dziesiątej zero zero. Z samolotu przeszliśmy do Immigration Hall. Przez jakieś pięć minut kierownik wycieczki omawiał z nami plan dnia. Następnie oczekiwaliśmy około dziesięciu minut na podstemplowanie paszportów. Piętnaście minut trwało odbieranie bagaży, po czym ... – ciągnąłem niewzruszenie, nie patrząc na Robsona, by nie widzieć jego rosnącego zniecierpliwienia. Okazało się jednak, że ten nie tylko wysłuchał spokojnie mojego długiego wywodu, ale – ku mojemu zdziwieniu – że słuchał go nadzwyczaj uważnie. Kiedy bowiem skończyłem, inspektor powiedział:

– Z pańskich słów wynika, że ani przez chwilę nie był pan sam, wyjąwszy okres, kiedy jechał pan do kawiarni po pozostawieniu w hotelu bagaży. Czy tak?

– Nawet wtedy nie byłem sam – uśmiechnąłem się do niego. – Razem ze mną jechała autobusem taka para z naszej wycieczki. Brzezińscy. Jechali do śródmieścia na pierwszy spacer po ulicach Londynu. Pamiętam, że przez całą drogę dużo rozmawialiśmy, bo pokazywałem im różne interesujące punkty w mieście. Ja wysiadłem przy Knightsbridge, oni pojechali dalej.

– A w barze? Spotkał pan kogoś znajomego? – pytał dalej Robson.

– Nie, siedziałem tam sam.

– No cóż, twierdzi pan, że czekał tam blisko godzinę. – Inspektor patrzył na mnie w zamyśleniu.

Wiedziałem, co też może mu się snuć po głowie. Knightsbridge znajduje się jedynie o trzy przystanki autobuso-

we od naszego hotelu i nietrudno byłoby mi wrócić po piętnastu minutach. Robson miał tylko moje słowa na dowód, że wróciłem po godzinie. Jednym słowem – nie miałem alibi!

– Myślę, że będziemy zmuszeni prosić pana niebawem o dodatkowe informacje – stwierdził Robson sucho. – W każdym razie niech pan będzie tak uprzejmy i nie wyjeżdża poza teren miasta bez uprzedzenia nas o tym.

– Czy to znaczy, że jestem podejrzany? – uniosłem brwi.

– Ależ nie, chodzi nam tylko o pewne informacje o pańskim przyjacielu, jakich mógłby pan udzielić w toku śledztwa. – Mina Robsona świadczyła raczej, że nie chodzi mu o informacje, lecz o moją cenną skórę. Widać jednak uznał, że nie należy płoszyć ptaszka. Być może także fakt, że byłem cudzoziemcem ostudził jego łowieckie zapały. Niemniej wyraz jego twarzy był średnio przyjemny. Zaryzykowałem jednak pytanie:

– Czy wiadomo coś o tym, kto mógł być sprawcą?

– Na razie śledztwo jest w toku – odparł enigmatycznie.

– A co z pogrzebem Nicka Dallowaya?

– Odbędzie się jutro o godzinie jedenastej. Zapewne zechce pan wziąć udział? – Robson spojrzał na mnie pytająco.

– Tak, oczywiście. O ile wiem, nie miał prawie rodziny, więc może są jakieś formalności do załatwienia, którymi trzeba się zająć?

– Tym zajęła się siostra Mr Dallowaya. Jest to jego jedyna krewna. W każdym razie dziękuję panu. Prosiłbym o podpisanie protokołu naszej rozmowy – powiedział inspektor wstając.

Kiedy pochylałem się nad kolejnym podpisywanym arkuszem, usłyszałem, że do pokoju ktoś wchodzi. Robson rozpoczął z nim rozmowę. Mówili przyciszonymi

głosami. usłyszałem jednak nieco głośniejsze: „Nie spuścimy z niego oka!" Zaraz potem nastąpiła odpowiedź Robsona, której prawie, że się domyśliłem: „Ciii, on rozumie po angielsku!" Była więc mowa o mnie. O słuszności tego przypuszczenia przekonałem się zresztą szybko.

Kiedy wyszedłem na ulicę, nie widziałem początkowo żadnego „cienia" za mną. Wybierałem jednak możliwie puste odcinki ulicy, zmieniając jednocześnie tempo marszu lub przystając co chwila. Wreszcie moje wysiłki dały rezultat. Udało mi się wyodrębnić z tłumu dwóch mężczyzn, którzy podczas moich wędrówek wciąż pozostawali gdzieś w pobliżu mnie. Robson, jak można było przewidzieć, nie uważał, że jestem tylko postronnym znajomym Nicka, i postanowił mieć mnie na oku. W tym sęk, że ja nie życzyłem sobie stałej opieki jego gorliwych pracowników, tym bardziej że nie miałem przecież w planie wyłącznie zwiedzania zabytków Londynu.

Początkowo usiłowałem zgubić „cienie" bardzo tradycyjnymi sposobami. Przebiegałem przez ulicę jako ostatni przed zapaleniem się czerwonych świateł, wyskakiwałem niespodziewanie ze zwalniającego autobusu i stosowałem inne podobne sztuczki z żelaznego repertuaru zabawy w policjantów i złodziei. Niewiele jednak udało mi się uzyskać. Jednego faceta zgubiłem przebiegając przez jezdnię przy czerwonych światłach, ale drugi nie opuszczał mnie ani na chwilę. Z pomocą przyszedł mi dopiero przypadek.

Jechałem właśnie autobusem po Oxford Street stojąc na przednim pomoście, a mój „cień" usadowił się na przeciwległym końcu. Był to jakiś nietypowy jak na Londyn autobus, bo miał dwa wejścia, z tyłu i z przodu. Śledzący mnie człowiek był więc gotów do wyskoczenia, gdybym znów zapragnął go zgubić. Miał jednak pecha. Usłyszałem nagle za sobą straszny hałas. Obejrzałem się i zobaczyłem napierającą na schodki grupę Arabów. Była

to chyba jedna wielka rodzina, bo dostrzegłem dzieci w różnym wieku, kilka kobiet i mężczyzn, a nawet jakieś wiekowe staruszki. Wszyscy krzyczeli wielkim głosem, przepychając się i robiąc ze spokojnego angielskiego autobusu istne pandemonium. W pewnej chwili autobus nagle szarpnął i zatrzymał się na światłach. Kątem oka dostrzegłem w tyle autobusu ogromną kotłowaninę. Widziałem to już tylko w przelocie, gdyż los podsunął mi wspaniałą okazję – mój „ogon" na pewno był teraz przytłoczony i kompletnie unieruchomiony wrzeszczącą i tłoczącą się rodziną. Wyskoczyłem z autobusu i zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę. W dwie minuty potem byłem już daleko. Dla pewności pojeździłem trochę po mieście, ale rychło przekonałem się, że to zbyteczna ostrożność. Nie śledził mnie już nikt.

Prawie punktualnie o godzinie dwunastej wchodziłem do „Hornby's Inn". Była to restauracja, której nazwę znalazłem wraz z godziną spotkania w notesie Nicka. Po wejściu rozejrzałem się po sali. Na szczęście nie była poprzedzielana ściankami na małe loże, jak to często bywa w takich restauracjach, i stojąc przy wejściu miałem widok na wszystkie stoliki. Lokal miał trochę staroświecki wygląd. Na ścianach wybitych ciemnoczerwonym pluszem wisiały jakieś starodawne ryciny. Z sufitu zwieszały się mosiężne, powyginane żyrandole. Przy stolikach ustawione były masywne, wykonane z ciemnego drzewa, wyściełane foteliki. Okna zasłonięto grubymi kotarami, w niszach poustawiano neoklasycystyczne rzeźby, na ścianach widać było kryształowe kinkiety. W takim otoczeniu pan Pickwick musiałby się czuć na pewno świetnie.

Klientela tej wiktoriańskiej restauracji była jednak całkowicie współczesna. Dostrzegłem kilka młodych par, matkę z dwojgiem dzieci i kilka innych osób. Nie miałem pojęcia, z kim miał się tu spotkać Nick, więc musiałem

dojść do tego drogą eliminacji. Mamę z dziećmi i zakochane pary mogłem od razu wykluczyć. Nie sądziłem także, by Nick umówił się z którąś ze starszych pań, jakie tu siedziały. Wyglądały na zwykłe gospodynie domowe, które wstąpiły na lunch po drodze z zakupów. Pozostawały mi więc trzy osoby. Dziewczyna siedząca pod oknem miała wygląd sekretarki lub urzędniczki. Parę stolików dalej siedział starszy mężczyzna. Miał na twarzy rogowe prostokątne okulary i nosił śmieszny szczeciniasty wąsik, który nadawał mu trochę mysi wygląd. W ogóle jego niepozorne ubranie i jakby ukradkowe spokojne ruchy przywodziły mi na myśl cichą zabieganą mysz. Trzecią osobą był mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w kraciastej marynarce. Na stoliku przed nim leżał cały stos papierów, a on sam co chwila spoglądał niecierpliwie na zegarek. To mógł być poszukiwany przeze mnie człowiek. Na wszelki wypadek usiadłem przy stoliku niedaleko niego i zamówiwszy lunch zacząłem obserwować salę.

Zastanawiałem sie właśnie, czy nie przysiąść się do faceta i nie powołać na Nicka, gdy nagle do restauracji wbiegła młoda, nieco zadyszana kobieta. Podbiegła prosto do mojego sąsiada i rzucając na stolik torebkę zaczęła zaaferowanym głosem przepraszać za spóźnienie. Tę parę mogłem więc spokojnie wyeliminować.

Nagle dostrzegłem, że moj myszowaty sąsiad z drugiej strony spogląda niespokojnie na zegarek. Zdecydowałem się. Wstałem i podszedłem do jego stolika.

– Bardzo przepraszam, czy nie oczekuje pan przypadkiem na Mr Dallowaya? – spytałem.

Zagadnięty uniósł w zaskoczeniu głowę. Już myślałem, że to znów pudło, gdy ten odezwał się cichym, spokojnym głosem:

– Rzeczywiście, jestem z nim umówiony, ale doprawdy nie przypominam sobie...

– ... żebyśmy się już gdzieś spotkali – dokończyłem za niego, może nieco zbyt obcesowo, ale byłem uradowany, że znalazłem człowieka, o którego mi chodziło. – Pozwoli pan, że wszystko wytłumaczę? – spytałem siadając obok niego.

– Tak, słucham? – Mysie wąsy nastroszyły się lekko.

– Nazywam się Marcin Skolimowski i przyjechałem tu wczoraj z Polski. Nick Dalloway był moim przyjacielem – zacząłem.

– Był? – Mysz miała coraz bardziej zdziwiony wygląd.

– Tak. Wczoraj znaleziono go zabitego w hotelu „Terminal" – odparłem krótko. Nim mój rozmówca miał czas ochłonąć, pokrótce zrelacjonowałem mu wydarzenia z hotelu.

– W notesie Nicka natrafiłem na notatkę dotyczącą dzisiejszego spotkania w tej restauracji. Przyszedłem, gdyż chciałem się dowiedzieć, czy nie dotyczy to w jakiś sposób sprawy, w jakiej przybyłem do Anglii – zakończyłem, pokazując jednocześnie notes Nicka.

Mój rozmówca był tak wstrząśnięty tymi rewelacjami, że nawet nie zwrócił uwagi na fakt, że notes powinien się znaleźć raczej w rękach policji niż w moich. Przecierał przez chwilę nerwowo okulary, po czym nagle spojrzał na mnie przepraszająco:

– A ja się nawet panu nie przedstawiłem. Nazywam się Stephen Salt. – Uniósł się lekko i podał mi rękę. – Znam pańskie nazwisko – ciągnął dalej. – Nick wspominał mi o panu, kiedy rozmawialiśmy na temat... – Salt zawahał się – ... o sprawie, w jakiej mieliśmy się dzisiaj spotkać – dokończył patrząc na mnie niepewnie.

Widać wciąż jeszcze nie wiedział, jak się zachować w nowej sytuacji. Musiałem tę jego pewność podbudować. Wyjąłem więc z kieszeni list Nicka i pokazałem mu wzmiankę o rozmowie mojego przyjaciela z Saltem. Mój rozmówca rozjaśnił się i widać było, że ta pisemna

rekomendacja usunęła w cień wszelkie jego wątpliwości na temat tego, czy rozmawia z właściwą osobą.

Przystąpiłem do ataku.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, w jakiej sprawie zwracał się do pana mój przyjaciel? Przypuszczam, że chciał zdobyć informacje, o które go prosiłem, i dlatego pańska odpowiedź jest dla mnie bardzo ważna.

– Tak, to chyba dla pana były przeznaczone te informacje – odpowiedział Salt. – Wykonuję czasem ekspertyzy na aukcjach. Między innymi zajmowałem się ikoną, o którą pytał mnie Mr Dalloway. – Głos Salta był teraz suchy, rzeczowy, pozbawiony tak niedawnej jeszcze niepewności. – Mr Dalloway chciał wiedzieć, czy badając obraz nie zauważyłem w nim czegoś szczególnego.

– A zauważył pan?

– Tak. Na odwrocie deski było coś, co po pewnym, dość długim czasie zostało usunięte. Na to została położona druga warstwa farby.

– Chwileczkę. Co to było to „coś" na odwrocie i po jakim czasie zostało usunięte? – domagałem się szczegółów.

– Dokładna ekspertyza ze względu na wiek i zniszczenie eksponatu nie jest możliwa... – zaczął konserwator.

– Tak, oczywiście – przerwałem niecierpliwie. – Interesuje mnie raczej pańskie osobiste zdanie niż oficjalne ekspertyzy.

– Moim zdaniem na odwrocie ikony wydrapano coś ostrym narzędziem. Coś, co następnie zdrapano i zatarto, po czym zamalowano. Deska jest z tyłu zupełnie gładka, mimo że niedbale zamalowana. Szczegółowe badania wykrywają jednak wszelkie rysy pod warstwą farby. Okres pomiędzy pierwszymi rysami a zamalowaniem deski oceniam na mniej więcej dziesięć, piętnaście lat. Właściwa strona ikony, ta, na której namalowano obraz, była poddawana konserwacji tylko raz, do czasu, oczy-

wiście, kiedy ja się nią zająłem – mówił Salt. – Są to przybliżone oceny i mogę je podać na podstawie spostrzeżeń, jakie mi się nasunęły w trakcie konserwacji. Dokładnie mógłbym powiedzieć...

– Tak, naturalnie, ale jestem usatysfakcjonowany nawet tymi przybliżeniami – powiedziałem pospiesznie. – Dziękuję panu serdecznie za te informacje, pomógł mi pan ogromnie – zwróciłem się do Salta z wdzięcznością. Widziałem, że już otwiera usta, by zapytać, do czego mi to wszystko było właściwie potrzebne, więc szybko zmieniłem temat: – Czy znał pan dobrze Nicka?

– Spotykaliśmy się dosyć często na gruncie zawodowym, a poza tym widywaliśmy się prywatnie. Wie pan – Salt zaczął znowu nerwowo przecierać okulary – on był takim dobrym człowiekiem. Nie rozumiem naprawdę, kto mógłby pragnąć jego śmierci. Wydawało mi się, że Mr Dalloway nie jest wręcz zdolny zrobić nikomu krzywdy, a tymczasem ktoś miał powód, żeby... – Kiedy tylko skończyliśmy z tematami zawodowymi, w których Salt czuł się pewnie, jego twarz zaczęła na nowo przybierać wygląd zastraszonej myszy.

– Na razie nie wiadomo, kto to mógł zrobić – powiedziałem. – W każdym razie policja dokłada wszelkich starań, żeby wykryć sprawcę.

Nie powiedziałem tylko Saltowi, że owe starania policji są skoncentrowane głównie na mojej osobie. Przez godzinę nie mogłem zgubić tajniaków Robsona, a teraz nie wiedziałem, czy nie zastanę nakazu aresztowania jako podejrzany o morderstwo, gdy tylko wrócę do hotelu.

– Poinformowano mnie właśnie na policji, że pogrzeb odbędzie się jutro o jedenastej – oznajmiłem Saltowi.

– Słucham? Ach, tak. Przyjdę oczywiście – ocknął się z zamyślenia tamten.

Przez chwilę niemalże mu zazdrościłem. Ja nie mogłem

– Panie, jak ja bym chciał zawsze wyżyć z tego, co mi dają... – Żurek nachylił się ku mnie konfidencjonalnie. – Wiadomo, że za te dolarki czy funciaki, co tu można przywieźć, to można najwyżej widoczki Londynu kupić i rodzinie posłać.

– Przywozi pan swoje? – spojrzałem na niego niewinnie. Gdyby Żurek uznał mnie za naiwnego turystę, to być może udałoby mi się wyciągnąć coś na temat jego podejrzanych kontaktów z Anglią i jego ewentualnych związków z Nickiem. Rychło okazało się, że miałem słuszność. Piwo i upał zrobiły swoje i zwykła Żurkowa kordialność przekształciła się w wylewną i co najważniejsze, rozgadaną serdeczność.

– Panie Marcinie, Żurek jeszcze tak nie zgłupiał, żeby dolary z Polski wywozić. Przecież zawsze w kraju dostanę za zielone więcej niż tutaj. Od nas to trzeba przywozić takie rzeczy, żeby tutaj opylić z zyskiem i kupić to, co u nas chodliwe – tłumaczył mi jak słabo rozwiniętemu dziecku podstawowe arkana swego handlu. – Na początku to, wiesz pan, idzie opornie. Ale ja tam, panie, tyle już lat jeżdżę i od razu wiem co, kiedy i gdzie najlepiej pójdzie. A jak się już trochę pojeździ, to i kontakty wszędzie są, i łatwiej pracować. – Żurek wychylił kolejny kufel i po chwili podjął swój wykład. Słuchałem go uważnie, usiłując z tej mało rewelacyjnej przecież dla mnie historii „Polaka-handlowca" wyłowić coś interesującego.

– Pan jest swój chłop, panie Marcinie. W tej knajpie wczoraj toś pan takie kawałki opowiadał, że boki można było zrywać jak świeże wiśnie. To ja się teraz panu zrewanżuję i też coś panu powiem. – Żurek nachylił się obejmując mnie po przyjacielsku. – Weźmy tę wycieczkę, na przykład. Ja pojechałem tutaj prawie że bez jednego dodatkowego zielonego niż było wolno. Nie opłaca się, a poza tym celnicy są ostatnio na walutę wyczuleni. Ale

głodował przecież tutaj nie będę, a poza tym wycieczka wycieczką, turystyka turystyką, a interesy i tak trzeba załatwiać. Mam tu trochę znajomych z dawnych lat, razem żeśmy interesy w połowie Europy robili. No więc, ja im różnego chodliwego towaru z kraju przywiozłem, a oni mi za to, jak Pan Bóg przykazał, w dobrej mamonie wypłacili. Spotkamy się gdzie indziej – to ja im trochę sałaty podeślę, a oni mnie jakiś dobry towarek. I tak handel idzie! – zakończył tryumfalnie i zatarł radośnie ręce.

Bardziej niż te wywody interesowało mnie jednak Żurkowe wczorajsze podejrzane zachowanie. Gadatliwość „handlowca" przyniosła mi odpowiedź prawie natychmiast. Ciągnął bowiem dalej:

– Ale ta Anglia to jakaś dla mnie pechowa. Pierwszy raz w mojej pracy zdarzyło mi się, że miałem pietra i pożałowałem, że w ogóle w jakieś interesy się wdałem. Nie zabrałem ze sobą tutaj wiele, bo to dla mnie teren nowy i nie wiadomo, jakich celników tutaj mają. Ale ci to tylko sprawdzają, czy człowiek przy sobie żadnej bomby nie ma, a poza tym to zdaje się: woź pan, co chcesz – rozłożył w komicznym geście pulchne ręce. – No więc nie czepiali się mnie na żadnej granicy, zielonych nie przewoziłem, tylko trochę towaru, toteż pomyślałem: „dobra nasza!" i byłem spokojny jak osesek u mamy. A tu nagle: masz babo placek! Ja tam, panie Marcinie, nic panu nie wypominam – Żurek objął mnie z pijacką czułością – ale co ja przez pana kłopotu miałem, to moje!

– Przeze mnie? – spojrzałem pytająco.

– No tak, przez pana! To u pana przecież znaleźli tego nieboszczyka! Nie miał też gdzie biedak kopyt wyciągnąć, tylko w naszym hotelu. Pamięta pan, jakie się potem piekło rozpętało! No i zaraz musieli wymyślić tę rewizję, tak jakbyśmy na wycieczce nie mieli nic innego do roboty, tylko z rewolwerami latać. – Żurek był wyraź-

siedzenie, dostrzegłem Adama. Podszedłem cicho i zerknąłem ponad jego głową. Na kolanach miał mały szkicownik i szybkimi ruchami rysował w nim dziewczęcą główkę. Przez chwilę przypatrywałem się powstającym błyskawicznie kreskom, aż wreszcie mogłem rozpoznać jego dzieło. Był to szkic, surowy jeszcze, ale bardzo wyrazisty, Moniki Rawskiej.

– Aż tak ci zalazła za skórę? – spytałem żartobliwie.

– Ach, to ty! – Adam podskoczył lekko w fotelu. – Żebyś wiedział! Nic mi się nie udało dla ciebie załatwić, ale za to widziałem Monikę. Mówię ci, zupełnie jak w filmie kryminalnym. Idę sobie spokojnie ulicą, aż tu nagle...

– Poczekaj, ty w gorącej wodzie kąpany! – zmitygowałem go. – Jak to nic nie załatwiłeś? Nie byłeś na aukcji?

– Ależ byłem, tylko... – chłopak machnął niecierpliwie ręką.

– Chodź do mnie na górę, tam pogadamy. Tutaj jest stanowczo za wiele osiągnięć cywilizacji, żeby spokojnie porozmawiać – potoczyłem ręką dookoła.

Moje słowa były w pełni uzasadnione. Z umieszczonych gdzieś dyskretnie głośników płynęła najnowsza rockowa muzyka. Oprócz tego przy kontuarze recepcji kłębił się tłum ludzi – goście hotelowi kręcili się wchodząc i wychodząc z restauracji, wszędzie rozbrzmiewał gwar. „Terminal" miał być zapewne jednym z tych supernowoczesnych, przystosowanych do szybkiego rytmu życia współczesności hoteli, ale dla mnie to skrzyżowanie dyskoteki z dworcem kolejowym zaczynało być trochę męczące. Wokół nas rozbłyskiwały raz po raz różnokolorowe światła reklam, informujące, że najlepsze na świecie papierosy produkuje firma Benson and Hedges, że tylko łyk prawdziwej szkockiej whisky przyniesie satysfakcję podniebieniu znawcy i temu podobne zapewnienia. Moje podniebienie nie należało może do znawcy, ale

też domagało się szkockiej, więc zdecydowanie wolałem iść na górę.

W pokoju usadowiłem najpierw Adama, nalałem whisky i wreszcie, gdy pociągnąłem pierwszy duży łyk, poczułem, że jestem gotowy słuchać każdego, nawet najdłuższego opowiadania.

– No więc jak było na tej aukcji?

Adam wzruszył ramionami.

– W ogóle nie było. Poszedłem do biura i spytałem o to nazwisko. Nie pytali mnie wcale po co mi to ani nie interesowało ich zbytnio, kim jestem, chociaż im się przedstawiłem. Ale zaczęli szukać tego nazwiska w swoich papierach i nie mogli znaleźć. Okazuje się, że w ogóle go nie mają, bo obraz został dostarczony na aukcję przez łańcuszek pośredników. Jedna z urzędniczek wyjaśniała mi, że to częsta praktyka, kiedy sprzedający nie chce ujawnić swojego nazwiska, na przykład ze względów podatkowych. W każdym razie w tym wypadku nazwisko sprzedającego było zastrzeżone i w ogóle nie pojawiło się w dokumentach aukcji. Niedobrze jest, co – spojrzał na mnie z niepokojem Adam.

– Niedobrze – potwierdziłem. – W każdym razie tutaj już nic nie znajdziemy. Spróbujmy inaczej. Może uda mi się dowiedzieć czegoś od Lorraine.

– Tej generałówny, tak? – Adam nalał sobie drugą szklaneczkę. – Ja mam na razie inną babę w głowie.

– O właśnie. Coś ty takiego opowiadał o Monice? – zainteresowałem się.

– O, to cała historia – usadowił się wygodniej w fotelu mój bratanek.

– No to wal! – przynagliłem go.

– Wychodziłem właśnie od Sotheby's na New Bond Street, kiedy nagle na ulicy zobaczyłem Monikę. Chciałem po prostu do niej podejść i zaproponować wspólne zwiedzanie, ale zanim zdążyłem to zrobić, nadjechała

łem. Ale przynajmniej uspokoiła się na tyle, że przywiozłem ją tutaj już nie z mokrymi oczami. Tylko że w pokoju pewnie znowu ryczy. Ech, te dziewczyny... – westchnął.

– Teraz pozostaje tylko pytanie, co ta twoja Monika ma wspólnego z Nickiem – zauważyłem.

– Jeszcze nie moja – sprostował rzeczowo Adam. – Ale masz rację, w tym coś może być. Najpierw tak rozpaczała przy przesłuchaniu, a teraz to jej towarzystwo... Yeti i czarownica w melinie. – Adam podsumował obrazowo postaci z Soho.

– Nie powiedziała ci, gdzie właściwie była ani kim są jej dziwni znajomi?

– Nie, ale ja tak łatwo nie zrezygnuję. Nic tak na mnie nie działa, jak płaczące dziewczyny – uśmiechnął się.

– Zwłaszcza, jeśli są tak ładne – dokończyłem za niego nalewając kolejną porcję whisky.

Adam wkrótce potem wyszedł, a mnie przyszło do głowy, że warto kuć żelazo póki gorące. Zadzwoniłem do Lorraine.

– Halo? – usłyszałem w słuchawce niski, modulowany głos.

– Dobry wieczór. Tu mówi Marcin Skolimowski...

– Ach, to pan! Jest pan niecierpliwy, miał pan dzwonić za kilka dni. Ale zdobyłam dla pana te informacje.

– Przepraszam, ale to dla mnie bardzo istotne. Poza tym, rzeczywiście jestem dość niecierpliwy z natury – odpowiedziałem. – Czy moglibyśmy się spotkać dzisiaj wieczorem?

– Pan nie jest niecierpliwy, pan jest w gorącej wodzie kąpany – zaśmiała się dziewczyna.

– No więc?

Sam nie wiedziałem, czy tak nagliłem ze względu na informacje, urodę Lorraine czy też może coś jeszcze innego...

– Nie, to niemożliwe. Zaraz wychodzę z domu – ucięła sucho.

– W takim razie może jutro?

– Jutro... Dobrze! Na Regent Street jest taka restauracja „Regent Place". O wpół do drugiej?

– Świetnie! Zapraszam więc panią na obiad do „Regent Place" – przejąłem inicjatywę.

– Sądzi pan, że moje informacje są warte aż obiadu? – zaśmiała się Lorraine.

– Informacje może nie, ale pani – na pewno.

– To brzmi trochę jak wyznanie ludożercy – padła szybka riposta.

– Ma pani rację: wyznanie – udało mi się zachować ostatnie słowo.

I znów, jak poprzedniego dnia, patrzyłem na kamienny pysk psa-kołatki. Lecz tym razem mogłem tylko rozróżnić niewyraźne zarysy rzeźby. Księżyc był wprawdzie w pełni, ale ciągle zachmurzone niebo nie obiecywało zbyt wiele światła tej nocy. Nie miałem zresztą zamiaru korzystać z kołatki. Wprost przeciwnie. Okrążyłem ostrożnie okolice bramy i skierowałem się ku południowej części ogrodzenia. Podczas mojej pierwszej bytności zauważyłem, że na południe wychodzą wielkie, oszklone drzwi salonu i galerii, więc po sforsowaniu muru miałbym z tej strony najłatwiejszy dostęp do interesującej mnie części domu.

Łatwo powiedzieć „po sforsowaniu". Mur był gładką, betonową ścianą o wysokości trzech metrów i rzeczywiście najłatwiej chyba byłoby to sforsować sposobem średniowiecznych rycerzy obiegających zamek – taranem. Skoro jednak nie miałem tego użytecznego narzędzia pod ręką, musiałem sobie radzić inaczej. Na szczęście w jednym miejscu obok muru rosło drzewo. Wdrapałem się na nie i zacząłem przesuwać się ku gałęzi skierowanej nieco skośnie w stosunku do muru. Wreszcie dotarłem do niej

i ułożyłem się płasko wzdłuż konaru. Teraz wszystko zależało od tego, czy gałąź będzie miała odpowiednią grubość i cienkość zarazem. Grubość – by nie załamała się pod moim ciężarem; cienkość – bym mógł ją wygiąć na tyle, żeby przybliżyć się do muru. Gałąź opornie trzeszczała, nie dawała się wygiąć, za to zdradzała wyraźne inklinacje do łamania się. Wreszcie jednak, za którymś tam razem, udało mi się ją przygiąć na tyle, że mogłem uchwycić górną krawędź muru. Na chwilę zawisłem, bezradnie machając nogami i mogłem w tym momencie liczyć jedynie na to, że na chodniku pode mną nie ma żadnego zapóźnionego przechodnia, który mógłby z zaskoczeniem przyglądać się tym akrobacjom. W końcu podciągnąłem się na rękach i przesunąłem na drugą stronę muru. Zeskoczyłem na ziemię. Teraz pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że państwo Southwell nie mają żadnego psa poza tym kamiennym na bramie.

Od domu dzieliła mnie miękka trawa, mogłem więc dosyć szybko i bezszelestnie przesuwać się w stronę okien. Z jednego z nich padało światło, natomiast okna najbliższego mnie skrzydła pozostawały ciemne. O ile dobrze to wyliczyłem patrząc z zewnątrz i w ciemności, była to właśnie interesująca mnie galeria. Stanąłem płasko przytulając się do ściany i dotknąłem okna galerii. W domu otoczonym potężnym murem i z portiernią przy bramie nie powinno być już żadnych zabezpieczeń przy oknach. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Okno nie było strzeżone systemem alarmowym, za to miało dość solidne zasuwy. Próbowałem je podważyć, ale wszystkie były zamknięte na głucho. Musiałem więc stać się typowym włamywaczem. Pchnąłem jedną z małych szybek, na jakie było podzielone okno. Szkło wpadło z brzękiem do środka. Sięgnąłem ręką do zasuwy. Gdyby teraz przyszedł ktoś zwabiony brzękiem wypadającej szybki, nie miałbym nic na swoje usprawiedliwienie. Bo

i cóż mógłbym powiedzieć? „Panno Southwell, śmierć mojego przyjaciela jest związana z tym obrazem, więc chciałbym sprawdzić, co zostało zdrapane z tej deski. W związku z tym włamałem się do pani domu". Sam bym siebie oddał w ręce policji po takim oświadczeniu. Chociaż... Coś mi mówiło, że być może piękna Lorraine nie jest zbyt skora do kontaktów z władzami.

W każdym razie nikt się nie zjawił i mogłem spokojnie wślizgnąć się do galerii.

Ikona wisiała niemal pośrodku długiej, pełnej innych obrazów ściany. Prowadziło mnie ku niej jedynie światełko malutkiej latarki. Zbliżywszy się omiotłem promieniem światła nie obraz, lecz jego najbliższe sąsiedztwo. Brak zabezpieczeń przy oknach mógł oznaczać, że same obrazy są przytwierdzone do ściany wraz z instalacją alarmową włączaną przy najmniejszym dotknięciu ramy. W tym domu jednak traktowano dzieła sztuki z błogosławioną dla mnie beztroską. Zdjąłem ikonę i obróciłem ją. Nawet bez lupy było widać dość wyraźne ślady zamalowania deski. Nie miałem jednak tutaj możliwości sprawdzenia, co właściwie zostało zamalowane. W każdym razie Salt miał rację: obraz został poddany jakimś dziwnym praktykom. Przypuszczalnie to stwierdzenie musiało mi wystarczyć, gdyż wątpliwe było, by kapryśna Lorraine, której na dodatek zupełnie już nie ufałem, pozwoliła mi na jakiekolwiek szczegółowsze oględziny.

Zacząłem się wycofywać w kierunku okna. Nagle usłyszałem głośne trzaśnięcie drzwiami. Szybkie kroki zbliżały się bez wahania w kierunku galerii. Pospiesznie omiotłem salę światełkiem latarki. Jedyną rzeczą, za jaką mogłem się ewentualnie schować, były długie, sięgające aż do ziemi kotary na oknach. Na wyskakiwanie oknem mogłoby mi już zabraknąć czasu. Wsunąłem się szybko za jedną z zasłon. Niemalże w tej samej chwili usłyszałem skrzyp drzwi.

– Chodź, porozmawiajmy tutaj, służba nie będzie nam przeszkadzać – usłyszałem głos Lorraine.

Więc jednak panna Southwell nie wyszła z domu, jak mi niedawno zapowiadała.

– Dobrze, niech będzie tutaj – drugi głos nie kojarzył mi się z żadną osobą, ale nie mogłem ryzykować spojrzenia zza zasłony.

– A teraz posłuchaj wreszcie, co mam ci do powiedzenia! Możesz powtórzyć szefowi, że to był najbardziej idiotyczny pomysł, o jakim w życiu słyszałam. – Głos dziewczyny był przepełniony jadowitą złością. – Kto to widział, żeby na publicznej aukcji sprzedawać obraz, który jest kluczem do całej sprawy! Nie minęły dwa miesiące i już mam na karku tego węszącego głupka-naukowca. Diabli wiedzą, czego może się dowiedzieć!

– To nie nasza wina – bronił się drugi głos. – To była tylko pomyłka.

– Ładna mi pomyłka! – prychnęła Lorraine.

– Nie masz się o co pieklić. Szef też wie, i bez twoich światłych rad, że takich rzeczy nie puszcza się w publiczny obieg. To Steve...

– Ten szprycer? On to sprzedał?

– Tak. – Stuk przysuwanego krzesła. – Wiesz, że tacy ludzie, jak zostaną bez proszku, to by matkę sprzedali, nie tylko głupi kawałek deski.

– I wyście mu na to pozwolili? – W głosie dziewczyny dźwięczało niedowierzanie połączone ze wzburzeniem.

– Zrobił to w tajemnicy. Dowiedzieliśmy się dopiero, kiedy obraz pojawił się na aukcji. I tak dobrze, że ta ikona trafiła w ręce twojej matki, a nie jakiegoś obcego faceta.

– To było do przewidzenia! Wiesz przecież, jakiego moja matka ma hopla na punkcie takich rzeczy. – Głos Lorraine w dalszym ciągu brzmiał ostro, ale już nieco spokojniej. – W każdym razie trzeba było dać temu kretyńskiemu narkomanowi nauczkę.

– Akurat – mruknął mężczyzna. – Przecież Steve to ukochany córeczki szefa! Śmiałabyś go ruszyć? Bo ja nie.

– Kogo? Steve'a czy szefa? – zaśmiała się nieprzyjemnie Lorraine.

– O, z ciebie jest niezły numer! Z tej strony jeszcze cię nie znałem – zabrzmiało zainteresowanie w głosie tamtego.

– W każdym razie trzeba coś zrobić z tym trzepniętym Polakiem. Zwłaszcza, że zna historię ikony. W każdym razie coś takiego przebąkiwał. Najlepiej go sprzątnąć, nie sądzisz?

„O nadobna dziewico! – pomyślałem sobie krzywiąc się. – Z ciebie jest rzeczywiście niezły numer. Spokojnie dałaś się zaprosić na obiad przez faceta, który w twoich kartotekach figuruje już pod pozycją «świętej pamięci». Miłe!"

– Nie bądź taka samodzielna, bo tacy źle kończą – powiedział z niechęcią mężczyzna. – Szef chce go jutro widzieć.

– U siebie? – zaskoczenie w głosie Lorraine.

– Tak. Jutro po południu

– Ale po co?

Trzebą się dowiedzieć, co on naprawdę wie. A jeśli nie wie za dużo, to i tak może się przydać.

– Przydać? Chcecie do nas go przyjąć?

– Nie bądź naiwna – wybuchnął tamten śmiechem. Przyda się j e d n o r a z o w o.

Przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. Lorraine nie była widać jedyną osobą w tym pokoju, która widziała mnie jako rychłego klienta zakładu pogrzebowego.

Usłyszałem, że obydwoje wstają z krzeseł i kierują się ku drzwiom. Już blisko wyjścia mężczyzna powiedział:

– Masz zorganizować jego przybycie do szefa. Bądź na razie dla tego faceta miła. I pamiętaj, nie radzę ci robić niczego na własną rękę, bo szef tego nie lubi

Za wychodzącymi trzasnęły drzwi. Wysunąłem się ostrożnie zza zasłony. Potem już tylko krok i byłem po zewnętrznej stronie okna. Podbiegłem do muru i znów korzystając z rosnących w pobliżu niego drzew przedostałem się na drugą stronę. Tym razem szło mi to jednak znacznie szybciej i lepiej. Być może nabrałem już wprawy, a być może po prostu rozpierało mnie zadowolenie. Udało mi się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Obejrzałem sobie ikonę i sprawdziłem prawdziwość słów Salta, a ponadto niespodziewanie wysłuchałem nader interesującej rozmowy. Jeszcze nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, ale nie miałem wątpliwości, że znajomość tego pasjonującego dialogu będzie dla mnie niezwykle przydatna. Zważywszy zwłaszcza, że plany moich uroczych rozmówców względem mojej osoby nie były zbyt obiecujące.

Na razie należało pomyśleć o zatarciu za sobą tropów. Zdołałem uczynić kilka kroków, kiedy zaczął kropić drobny deszczyk. Było mi to bardzo na rękę. Deszcz zatrze wszelkie ewentualne ślady mojego pobytu w ogrodzie. Pozostawał tylko jeden niezacieralny ślad w postaci rozbitej szybki okiennej w galerii, ale na to nic nie mogłem poradzić.

Kilka przecznic od domu Lorraine znajdował się klub nocny z dyskoteką. Przy wejściu kręciły się tłumy młodych, ekstrawagancko ubranych ludzi. Brodaty chłopak w ciemnych okularach, nie zważając na dobiegający z wnętrza ryk muzyki, siedział na chodniku i grał ballady Boba Dylana. Obsiadło go kilka dziewczyn w długich kwiecistych spódnicach i kilku nieco zarośniętych chłopaków. Wszyscy palili papierosy, przypuszczalnie narkotyzowane, sądząc po ich błędnych spojrzeniach. Gdy podchodziłem ku nim, zderzyłem się niemal z inną, wychodzącą właśnie z klubu grupką. Rej wodził czarny brodaty chłopak. Był bardzo przystojny, a z jego ruchów

i zachowania przebijała absolutna pewność siebie. Pewnie dlatego garnęło się do niego kilka ładnych, ubranych w dżinsowe spodnie i kurtki dziewcząt. Wszyscy się śmieli, chłopak obejmował jednocześnie dwie dziewczyny, jedną niską brunetkę, a drugą jasnowłosą – pewnie dla kontrastu. Dla mnie ważne było przede wszystkim to, że w miejscu, gdzie kręcił się rozbawiony tłum, nikt nie będzie zwracał najmniejszej uwagi na moje poczynania. Podszedłem do wiszącego przy wejściu telefonu.

Gdy usłyszałem głos Lorraine, skierowałem na sekundę słuchawkę w kierunku nieprzytomnego hałasu, jaki dobiegał z wnętrza klubu, po czym wykrzyknąłem:

– Lorraine? Jestem teraz w takiej świetnej knajpce. Może byś się jednak skusiła i przyjechała do mnie? Zamiast omawiać wszystko na tym drętwym obiedzie, możemy się dziś fantastycznie zabawić!

– Pan jest kompletnie pijany – usłyszałem w słuchawce chłodny głos Lorraine.

Nie byłem, ale przeciągając sylaby i nadając głosowi ochrypłe brzmienie starałem się zrobić takie właśnie wrażenie.

– Mówię ci, jestem tu już dwie godziny, a zabawa dopiero się rozkręca – krzyczałem w słuchawkę, udając że nie zauważam jej braku entuzjazmu. – To jest tylko pół godziny drogi od twojego domu! Mogłabyś zaraz przyjechać... – namawiałem ją z pijackim uporem.

– Porozmawiam z panem jutro, a dziś radzę się położyć spać, jeśli chce pan jutro być w ogóle zdolnym do rozmowy – usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

Odwiesiłem swoją i wolnym krokiem ruszyłem do hotelu. Miałem więc wobec Lorraine coś w rodzaju alibi na dzisiejszy wieczór. Po powrocie do hotelu ukołysała mnie do snu świadomość właśnie tego alibi oraz nieco szkockiej... Nie wiem co skuteczniej.

Rozdział piąty

Nasza wycieczka zaliczała (bo tylko tak można nazwać pospiesznie przebieganie muzealnych sal z zegarkiem w ręku i bez żadnego zainteresowania) następne dwa muzea, Westminster Abbey i coś tam jeszcze po drodze, ja natomiast spędzałem długie, upojne chwile w komisariacie policji. Niektórzy uczestnicy wycieczki patrzyli na mnie w sposób świadczący, że podejrzewają mnie o dokonanie zbrodni pierwszego stopnia. W tym mniemaniu utwierdziło ich zapewne ponowne pojawienie się przy śniadaniu rosłego policjanta. Zasalutował i wytłumaczył mi dobitnie, że pan inspektor będzie niezmiernie rad zobaczyć mnie za godzinę.

Nawet pan Żurek ostygł nieco w stosunku do mnie, być może również dlatego, że żałował wczorajszej szczerości na temat handlowych wyczynów. Ograniczyłem się więc do towarzystwa Moniki Rawskiej, która, smutna i zamyślona, nie zauważyła ostracyzmu, jaki mnie otaczał.

Wszedłszy do znanego mi już pokoju, oczekiwałem, że inspektor Robson będzie patrzyć na mnie jeszcze bardziej nieprzychylnym i podejrzliwym wzrokiem niż wczoraj. W końcu dzięki moim manewrom w autobusie jego tajniacy stracili mnie z oczu na całe popołudnie.

Do pokoju wkroczył jednak ktoś inny. W pierwszej chwili nie poznałem go. Kiedy się przedstawił przypomniałem sobie, że mignął mi przelotnie przedwczoraj w hotelu.

– Inspektor Trevor McIntosh. Inspektor Robson jest zajęty, więc dzisiaj ja porozmawiam z panem. Proszę, niech pan siada. Zapali pan? – W przeciwieństwie do ponurego Robsona, ten tryskał życzliwością i uprzejmością. Być może został poinstruowany, że z tymi cudzo-

ziemcami trzeba ostrożnie, żeby potem nie było konfliktów dyplomatycznych.

Zapaliliśmy i McIntosh ponowił prezentację swojego „keep smiling" jako permanentnej postawy życiowej.

– No więc, Mr Skolimowski, powiem panu szczerze. Jeszcze do wczoraj trochę nieładnie o panu myśleliśmy.

– To znaczy? – zaciągnąłem się ofiarowanym mi papierosem.

– Najpierw nie powiedział pan prawdy o swojej znajomości z Mr Dallowayem, a potem miał pan taką lukę w alibi, że... No cóż... – rozłożył ręce. – Musieliśmy pana trochę podejrzewać – uśmiechnął się do mnie jakby przepraszająco.

– Mówi pan w czasie przeszłym. Czy to znaczy, że teraz mnie już nie podejrzewacie? Nie jestem już winny?

– A jest pan? – odpowiedział na pytanie pytaniem inspektor.

– Nie – odparłem spokojnie, wsłuchując się jednocześnie w brzmienie jego głosu. Kiedy policja przybyła do hotelu po śmierci Nicka, widziałem McIntosha tylko przez chwilę i w ogóle z nim nie rozmawiałem. Wciąż jednak miałem wrażenie, że słyszałem już gdzieś ten głos.

– My też uważamy, że nie – stwierdził inspektor. – Sprawdziliśmy pańskie zeznanie w kawiarni i okazało się, że jednak kelnerka pana zapamiętała. Przypomina pan sobie pewien incydent, który się tam wydarzył?

Przypomniałem sobie. Gdy siedziałem przy stoliku czekając na Nicka, usłyszałem za sobą w pewnej chwili hałas. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jedną z kelnerek obejmuje jakiś mężczyzna. Był to chyba Arab, może Włoch, sądząc z urody i temperamentu. Dziewczyna była długowłosą blondynką i pewnie dlatego tak gorąco ten ognisty brunet wyrażał zachwyt dla jej urody. Kelnerka wyrywała mu się i wyraźnie nie chciała zawrzeć z nim bliższej znajomości. Był jednak silniejszy i nie zważając

na jej protesty i poruszenie wśród kawiarnianych gości, usiłował ją pocałować. Wstałem wtedy i chwyciłem go silnie za ramię. Obrócił się ku mnie z twarzą wykrzywioną zniecierpliwieniem. „A ty czego?" – spytał zaczepnie. „Puść dziewczynę, jeśli nie odpowiadają jej twoje zaloty" – odpowiedziałem. „Odchrzań się!" – odburknął. Szarpnąłem go ponownie za ramię. Wtedy puścił dziewczynę, by wykonać solidny zamach. Z zaplecza nadbiegał już kierownik lokalu, ale mnie też opuścił spokój. Szarpnąłem wyciągniętą rękę i rzuciłem awanturnikiem o kamienną posadzkę. Grzmotnął mocno i przez chwilę leżał w zupełnym bezruchu. Zaraz potem szatniarz z kierownikiem wyrzucili go z lokalu, wykrzykując za nim pogróżki o policji. Sprawa skończyła się tak szybko, jak się zaczęła, a potem wydarzyło się nieszczęście z Nickiem i na śmierć zapomniałem o całym incydencie, który teraz okazał się dla mnie zbawienny.

Powtórzyłem to wszystko w skrócie McIntoshowi, który skinął głową.

– Tak. W tym punkcie mogliśmy sprawdzić pańskie zeznanie dokładnie. Sprawdzone alibi to dobre alibi! – zaśmiał się szeroko inspektor.

– I w ten sposób wyeliminowaliście mnie z grona podejrzanych?

– O nie, niech pan nie będzie naiwny! – roześmiał się znów inspektor. – To by nam jeszcze nie wystarczyło.

Znów zacząłem się zastanawiać. Byłem pewien, że nigdy przedtem nie rozmawiałem z McIntoshem, ale jego ostatni wybuch śmiechu wydawał mi się znajomy. Nie mogłem jednak dociec dlaczego, siedziałem więc ze zmarszczonymi brwiami i niezbyt szybko reagowałem na wypowiedzi inspektora. McIntosh wziął to widocznie za objaw niepokoju na temat podejrzeń policji, bo wyjaśniał dalej uspokajającym tonem:

– Lekarz policyjny stwierdził bezspornie, że śmierć

Dallowaya nastąpiła między jedenastą a wpół do dwunastej. W tym czasie znajdował się pan w autobusie jadącym po Knightsbridge, rozmawiając z Brzezińskim. To też sprawdziliśmy ponad wszelką wątpliwość. W ten sposób – zakończył triumfalnie – udało nam się stwierdzić, że nie miał pan fizycznej możliwości popełnienia tej zbrodni. Miał pan szczęście – dodał konfidencjonalnym tonem – że cały czas tego dnia przebywał pan w towarzystwie wielu ludzi. Inaczej może byśmy pana podejrzewali jeszcze do tej pory. – Znów się do mnie uśmiechnął.

Nie sądziłem, żeby McIntosh wzywał mnie tutaj tylko po to, by obszernie poinformować o tym, że nie jestem już podejrzanym. Jakoż nie myliłem się. Inspektor poczęstował mnie nowym papierosem i powiedział:

– Ze znalezionej w domu Mr Dallowaya korespondencji z panem dowiedzieliśmy się o waszej znajomości.

– Tak, wiem o tym – przerwałem – Inspektor Robson już mi to powiedział.

– Ach tak? – zdziwił się uprzejmie McIntosh. – Mnie chodzi raczej o treść listów niż sam fakt ich znalezienia. Wynika z nich, że interesował się pan pewnym obrazem i prosił swego przyjaciela o zebranie o nim informacji. Czy może nam pan powiedzieć, d l a c z e g o był pan tym zainteresowany? – zapytał z naciskiem inspektor.

Mogłem się domyślić, że w końcu się do tego dokopią i będą tkwić przy tej sprawie aż do upadłego.

– Interesowałem się tym obrazem ze względów zawodowych. Jestem, jak panu wiadomo, historykiem sztuki i zajmuję się zabytkami malarstwa cerkiewnego. Ten obraz jest bardzo cennym egzemplarzem malarstwa ikonowego i dlatego prosiłem o bliższe informacje. Myślę, że wszyscy naukowcy prowadzą taką korespondencję. – Tym razem ja się uśmiechnąłem rozbrajająco. – Nie widzę doprawdy niczego niezwykłego lub interesującego w naszej wymianie listów – bagatelizowałem sprawę.

– Czy to w sprawie tego obrazu przyjechał pan do Anglii? – sondował McIntosh uparcie.

– Tak – odpowiedziałem tym razem szczerze. – Chciałem się zobaczyć z Nickiem między innymi w sprawie tej ikony. On był wielkim fachowcem w dziedzinie konserwatorstwa i mogłem się od niego wiele dowiedzieć i nauczyć. A poza tym, oczywiście, chcieliśmy się po prostu spotkać jako starzy przyjaciele...

– Czy do Southwellów też poszedł pan po informacje o obrazie? – pytał dalej inspektor.

Oj, niedobrze. Ta ikona zalazła mu widać za skórę.

– Tak. Dowiedziałem się, że są właścicielami obrazu i poszedłem go obejrzeć.

– A skąd się pan dowiedział, że właśnie tam się on znajduje? – zapytał inspektor.

Ten człowiek szybko i nieomylnie wydobywał na wierzch słabe punkty w mojej częściowo tylko prawdziwej relacji na temat spraw łączących mnie z Nickiem i obrazem.

– Adres podał mi Mr Dalloway telefonicznie na kilka dni przed moim przyjazdem do Anglii. Dzwoniłem do niego uprzedzając o moim przybyciu.

Ta informacja była już niesprawdzalna, a jednocześnie na tyle wiarygodna, że McIntosh mógł ją przyjąć bez zastrzeżeń. Nie mogłem mu przecież powiedzieć, że adres znalazłem w notesie Nicka, który ukryłem przed policją.

– A zatem pańskie zainteresowanie obrazem jest czysto zawodowe?

Czyżby inspektor się czegoś domyślał? A może w papierach Nicka znaleziono coś na temat historii obrazu? Wtedy na pewno już nie byłbym w stanie przekonać policji, że zajmowałem się ikoną wyłącznie jako historyk sztuki. Należało jednak brnąć dalej.

– Jak już mówiłem, interesuję się sztuką cerkiewną, a ta ikona jest jednym z nielicznych zachowanych zabyt-

ków siedemnastowiecznego malarstwa ukraińskiego, które znajdowało się wówczas pod wpływem realizmu typu zachodnioeuropejskiego. W roku 1654 patriarcha Nikon wydał edykt zabraniający takich „nowinek" i nakazał trzymanie się schematów tradycyjnych. Zaś ta ikona pochodzi sprzed edyktu Nikona, jest więc ogromnie cenna, nie tylko ze względów czysto artystycznych... – Nie musiałem w tej chwili udawać przejęcia tematem, ten obraz, oprócz innych wzruszeń, jakie we mnie wzbudził, wywołał we mnie wielki podziw i zainteresowanie czysto profesjonalne.

Inspektor przerwał mi jednak.

– Nie bardzo się zrozumieliśmy. Pytając o to, czy interesuje się pan tą ikoną zawodowo, miałem na myśli: czy z ramienia jakiegoś uniwersytetu lub instytutu badawczego? Przyjechał pan bowiem tutaj z wycieczką turystyczną, a więc raczej prywatnie. Trochę to wszystko dziwne, nie uważa pan? – spojrzał na mnie badawczo.

– Ten obraz to raczej moje hobby. Przyjechałem do Anglii rzeczywiście w celach turystycznych, ale skoro już byłem na miejscu... – usiłowałem uśmiechnąć się rozbrajająco.

Być może mi się to udało, bo inspektor zaprzestał dalszych pytań. Przypomniał mi o pogrzebie Nicka i zaofiarował się podwieźć na cmentarz, bo dochodziła już jedenasta.

– Powiadają, że morderca zawsze przychodzi na miejsce zbrodni – powiedział otwierając drzwiczki samochodu. – Może także przychodzi na pogrzeb ofiary. W każdym razie muszę tam pojechać.

Pani Dalloway była bardzo podobna do swojego brata. Tak samo szczupła, ciemnowłosa, o spokojnych ruchach. Przez wiele lat była nauczycielką angielskiego na południu Francji i pewnie dlatego nigdy się z nią nie zetknąłem podczas moich poprzednich pobytów w Anglii. Żona

Nicka umarła kilka lat temu. Innych krewnych Nick nie miał, toteż siostra mojego przyjaciela przyjechała z zagranicy, by zająć się formalnościami spadkowymi i zamieszkać w pozostawionym domu. Załatwienie tych wszystkich spraw byłoby dla niej zapewne wielkim ciężarem, gdyby nie fakt, że teraz procentowały zalety charakteru Nicka. Był on altruistą z czynów i przekonania, otoczony zawsze gronem prawdziwych przyjaciół. Zjawili się teraz, by w imię tej przyjaźni zaopiekować się osamotnioną panią Dalloway.

Kiedy zbliżyłem się do niej, by złożyć kondolencje, zobaczyłem na jej zapłakanej, zmęczonej twarzy ból i jakby cień niedowierzania. Nie mogła się wciąż pogodzić z myślą, że jej spokojny brat, zajęty tak bardzo pokojowym zajęciem, jakim jest konserwacja obrazów, został nagle brutalnie zamordowany z niewiadomego powodu.

I znów, jak dwadzieścia lat temu, pomyślałem sobie, że powinienem odnaleźć tego, kto tak nisko cenił życie ludzkie, że nie zawahał się zabić człowieka, rujnując jednocześnie życie innym. Od czasu mojego pierwszego postanowienia minęło wiele lat, w ciągu których nie udało mi się dokonać prawie niczego. Teraz jednak miałem uczucie, że mimo, a może właśnie przez to, że zginął jeszcze jeden człowiek – jestem już blisko celu.

Przerwałem moje niewesołe rozważania i wyszedłem z cmentarza, przedtem jeszcze raz rozejrzawszy się za moim bratankiem. Wypatrywałem go w czasie ceremonii i byłem zdziwiony jego nieobecnością. Adam w ciągu swojego dwumiesięcznego pobytu w Anglii zdążył zaprzyjaźnić się z Nickiem i wiedziałem, że musiałby mieć bardzo ważny powód, żeby nie zjawić się na pogrzebie.

Ponieważ nie było go wciąż nigdzie widać, pojechałem sam do hotelu. Czekając, aż wreszcie mój bratanek da jakiś znak życia, usiadłem w pokoju ze szklanką szkoc-

kiej w jednej, a słuchawką telefoniczną w drugiej ręce. Przez ponad godzinę załatwiałem najprzeróżniejsze telefony, po czym był już najwyższy czas, by jechać na spotkanie z Lorraine.

Do restauracji wszedłem nieco spóźniony. Rozejrzałem się po sali, lecz nigdzie nie dostrzegłem dziewczyny i ogarnęła mnie obawa, że może Lorraine obraziła się na mnie za ten niewybredny wczorajszy telefon i w ogóle nie przyjdzie. Jednak dostrzegłem ją nagle, usadowioną przy narożnym stoliku w małej loży.

„No, oczywiście – pomyślałem samokrytycznie – ale ze mnie dureń. Nie mogła się na mnie obrazić. Nic z tych rzeczy, skoro szef zażyczył sobie, by mnie do niego sprowadziła. Dlatego, wbrew swoim prawdziwym uczuciom zapewne, będzie dla mnie słodka i uczynna niczym Kordelia".

Na powitanie powiedziałem pierwszy banał, jaki mi przyszedł do głowy:

– Wygląda pani dzisiaj jeszcze śliczniej niż przy naszym pierwszym spotkaniu.

Było to zresztą całkowicie prawdą. Dziewczyna miała na sobie dopasowaną sukienkę z ciemnoturkusowej moherowej wełny, a jako jedyne ozdoby – złoty łańcuszek i kilka cienkich kółek na przegubie ręki. Włosy związała w ciasny węzeł w tyle głowy, a jej twarz była prawie nie umalowana. To umiarkowanie w podkreślaniu urody dawało w rezultacie efekt całkowicie odwrotny. O tym, że nie jest to tylko moje wrażenie, mogłem się łatwo przekonać po zainteresowaniu, jakie budziła przy sąsiednich stolikach.

Lorraine nie zwracała na to najmniejszej uwagi, przypuszczalnie nie tylko dlatego, że była do tego przyzwyczajona. W popielniczce przed nią leżało już parę niedopałków, mimo że spóźniłem się jedynie kilka minut. Dziewczyna przyszła więc wcześniej i czekała na mnie od

dawna. Na dobitkę musiała być chyba bardzo zdenerwowana. Odbiło się to w słowach, jakimi mnie przywitała:

– Nie wiem, czy j a wyglądam rzeczywiście tak ślicznie, ale widzę za to, że p a n nie jest chyba w najlepszej formie.

Uniosłem pytająco brwi. Lorraine zmitygowała się, a w jej głosie pojawiły się żartobliwe nutki:

– Musiał się pan wczoraj naprawdę świetnie bawić, bo wygląda pan na zmęczonego. Wy mężczyźni jesteście wszyscy tacy sami. Najpierw używacie tych swoich „męskich" rozrywek bez umiaru, a na drugi dzień wyglądacie jak po bardzo ciężkiej pracy. – Powiedziała to wszystko z czarującym uśmiechem.

– Muszę panią rzeczywiście przeprosić za mój wczorajszy wybryk. Wypiłem w tym klubie sporo i... – rozłożyłem ze skruchą ręce. W ten sposób stworzyłem w jej oczach obraz hulaki, którego imają się po pijanemu niewybredne kawały. Sądząc jednak z podsłuchanej przeze mnie rozmowy i tak moja osoba była jej wysoce obojętna.

– Ależ nie gniewam się. W końcu to nawet miłe, że w czasie takiej szampańskiej zabawy pomyślał pan o mnie – to było powiedziane z nutą leciutkiej ironii, ale uśmiech, który temu towarzyszył, powinien był natychmiast zawrócić mi w głowie. I zawróciłby, gdyby nie moja dobra pamięć, dzięki której ciągle jeszcze brzmiało mi w uszach: „Najlepiej go chyba sprzątnąć, nie sądzisz?"

W tym momencie naszej czarującej konwersacji pojawił się przed nami kelner. Po przystawkach, które w moim wypadku składały się z sałatki warzywnej, a w przypadku Lorraine ze szklanki czystej wody, wybraliśmy najbardziej typowy angielski zestaw: stek i kidney pie oraz krem waniliowy na deser. Jak większość cudzoziemców nie przepadam za mało pomysłową angielską kuchnią, ale Lorraine uparła się, że „kiedy wpadłeś między

wrony, musisz krakać jak i one" i wkrótce zajadaliśmy tę mdłą kwintesencję angielskiej cuisine.

Przy kawie Lorraine zapaliła kolejnego papierosa i wyciągnęła z torebki zapisany karteluszek.

– Zdobyłam dla pana nazwisko sprzedawcy obrazu. Jest tam także jego adres i opis obrazu, jeżeli to będzie panu do czegoś potrzebne – podała mi kartkę.

– Dziękuję, że się pani tak dla mnie trudziła – skłoniłem głowę.

– Och, to nie był żaden trud, doprawdy. Po prostu zadzwoniłam do biura aukcji i zapytałam o to – zaśmiała się swobodnie. – Niech pan nie przecenia mojej pracy.

– W każdym razie dziękuję pani za dobre chęci – uśmiechnąłem się do niej szeroko. – Chyba pójdę do tego człowieka jeszcze dzisiaj. Może się czegoś dowiem.

Jeśli nawet mógłbym do tej pory mieć jakieś wątpliwości co do podejrzanej roli Lorraine w tej sprawie, to pozbyłbym się ich raz na zawsze. Wczoraj Adam drobiazgowo opowiedział mi o tym, że w biurze aukcji nie ma najmniejszej wzmianki o nazwisku sprzedawcy, natomiast dzisiaj panna Southwell częstuje mnie historyjką o swoim nieskomplikowanym telefonie do tego samego biura. Nazwisko, jakie mi podała, jest zapewne pierwszym lepszym wziętym z książki telefonicznej. Zostałem nim poczęstowany, żebym wreszcie odczepił się od Lorraine i jej zagmatwanych interesów, którym widać zagrażałem W jaki sposób – nie miałem pojęcia. Interesowała mnie w końcu tylko ta jedna ikona, a tragiczna historia z nią związana datowała się przecież sprzed ponad dwudziestu lat.

Za kilka dni pójdę pod wskazany mi adres i przekonam się, że nikt tam nic nie wie o obrazie. Wrócę wtedy z powrotem do Lorraine, a ona oświadczy, że nie może odpowiadać za to, co podano jej na aukcji, że pewnie sprzedający umyślnie podał fałszywy adres, nie chcac się

ujawniać. W ten sposób ślad się urwie i przestanę interesować się obrazem. Zręczne posunięcie.

Zastanawiały mnie teraz tylko dwie rzeczy. Po pierwsze: kim był mężczyzna, z którym wczoraj rozmawiała Lorraine? Miał niski głos i nie mogłem określić jego wieku. Czyżby to był sam generał Southwell? Pod maską niefrasobliwej jowialności, jaką mi okazał, mogło się kryć zimne wyrachowanie i zbrodnicza dusza. W końcu nie wiedziałem nawet, czy człowiek, którego dziewczyna przedstawiła mi jako swojego ojca, był nim rzeczywiście.

Kiedy po raz pierwszy przybyłem do ich domu, służba, jaką tam zastałem, wydawała mi się co najmniej dziwna. Teraz spojrzałem na to z innej strony. Wszyscy oni doskonale pasowali do tego domu. Portier przy bramie był po prostu tym, czym był – gorylem od mokrej roboty. Kamerdyner-narkoman i prawdziwy lub fałszywy generał mogli być członkami szajki, natomiast piękne kobiety, takie jak Lorraine, zawsze się przydają – ot, choćby po to, żeby wodzić na pasku zbyt ciekawskich.

Drugim problemem, jaki mnie nurtował, było pytanie, w jaki sposób Lorraine zawiedzie mnie na tym pasku do swojego szefa. Z wczorajszej rozmowy w galerii wynikało, że szef mieszka gdzie indziej i nie kontaktuje się z członkami szajki bezpośrednio. Stąd to przekazywanie poleceń dla Lorraine poprzez kogoś trzeciego – być może był to generał.

Moje rozważania przerwało niespodziewane pojawienie się kelnera. Podszedł do naszego stolika:

– Miss Southwell, jest pani wzywana do telefonu – nachylił się ku mojej towarzyszce.

Znał jej nazwisko, a więc musiała być tu częstym i znanym gościem. Być może zawsze sprowadzała tutaj tych, którzy dawali się oczarować jej urodą i chłodnym wdziękiem, nieświadomi, kim Lorraine jest naprawdę.

Nie chciałem demonizować tej kobiety, ale wszystko wskazywało na to, że ta niewinnie wyglądająca osóbka i jej jowialny tatuś byli zamieszani w jakiś sposób w sprawę interesującego mnie obrazu. A tym samym mogli mieć coś, a może nawet bardzo wiele wspólnego ze śmiercią Nicka. Kółko się zamykało.

Lorraine wróciła po kilku minutach.

– Dzwoniła moja przyjaciółka odwołując spotkanie, jakie miałyśmy za pół godziny. W ten sposób mam więcej czasu dla pana – uśmiechnęła się promiennie.

Udałem, że wierzę.

– Proszę mi jeszcze opowiedzieć coś o tych ikonach! – poprosiła z przejęciem. – To takie egzotyczne i interesujące! Wie pan – paplała dalej – my, Anglicy, znamy dobrze nasze własne muzea, bo są na miejscu, sztukę egipską dzięki wyprawom lorda Elgina i Carnavona, francuskie katedry dzięki turystyce, ale prawie nic nie wiemy o sztuce staropolskiej.

– Sztuka staropolska w odniesieniu do ikon nie jest najwłaściwszym określeniem – sprostowałem.

– Och, przecież mówił pan wtedy coś o Kijowie i tak dalej. To przecież obszar Słowian, prawda?

Nie czułem się powołany walczyć z morzem ignorancji, jaką przejawiała chwilami Lorraine.

– Tak, proszę pani, możemy o tym porozmawiać, jeśli to panią naprawdę interesuje – zgodziłem się posłusznie.

– Poza tym – Lorraine nie zwróciła na moje słowa większej uwagi – ciekawi mnie bardzo, po co panu ten adres sprzedawcy ikony. Powinien się pan raczej interesować fakturą obrazu, techniką, jaką został namalowany, no, ostatecznie jego bardzo odległą historią, ale po co panu współczesność?

Naiwną ignorancję zastąpiła teraz dociekliwość. Lorraine nieustannie zmieniała role i maski, od pierwszej

naiwnej począwszy, na inkwizytorze skończywszy. Tyle że nie robiła tego jeszcze dostatecznie sprawnie.

– Może poprzedni właściciel będzie mógł mi powiedzieć coś o historii obrazu, w jaki sposób trafił w jego ręce i kiedy. Takie rzeczy też interesują badaczy. W końcu jesteśmy historykami sztuki – uśmiechnąłem się do niej – interesuje nas historia.

– A może przyjdzie pan dzisiaj do nas? Razem pooglądamy ten obraz... – dziewczyna patrzyła na mnie wyczekująco.

A więc, zaczęła już, zgodnie z planem, namawiać mnie na wizytę u siebie! Lecz ja nie miałem zamiaru być posłuszny planom jej mitycznego szefa. Zastanawiające było, że zapraszała mnie do siebie do domu. Czyżby szef miał tam swoją kwaterę główną? Dlaczego w takim razie Lorraine otrzymała polecenie przez pośredników?

Miałem coraz więcej pytań, a żadnych jeszcze odpowiedzi.

– Dziękuję pani bardzo za zaproszenie, ale chciałbym wpaść dzisiaj pod ten adres i spróbować się czegoś dowiedzieć.

– Och, to chyba nie ma sensu – skrzywiła się dziewczyna. – Ten człowiek na pewno powie panu, że kupił obraz na aukcji lub u handlarza starzyzną i że to było dawno temu. Prawdziwy kolekcjoner nie zdradzi źródeł swoich zakupów, a amator może nawet nie pamiętać.

– W tym, co pani mówi, jest niewątpliwie wiele racji, ale jednak zaryzykuję – upierałem się.

– Myślę, że nic pan nie wskóra. Naprawdę odradzam panu tę wizytę. Niepotrzebnie dałam panu ten adres – dąsała się Lorraine.

Oczywiście odradzała mi pójście pod ten adres, abym nie przekonał się, że jest fałszywy. Tym bardziej prowokowało mnie to do uporu.

W oczach Lorraine zapaliły się niecierpliwe błyski.

– Zgoda, niech pan tam pójdzie, ale wieczorem – dziewczyna położyła dłoń na mojej ręce. – Chodźmy teraz do mnie, pokażę panu jeszcze raz galerię. Akurat zbliża się tea-time. Powinien pan poznać ten typowo angielski posiłek. Napijemy się herbaty, posiedzimy chwilę... – Lorraine kusząco zaglądała mi w oczy.

– Nie – obstawałem przy swoim. – Jest pani bardzo miła, ale wolałbym tam pojechać.

Wreszcie Lorraine ze wzruszeniem ramion dała za wygraną.

– Niech pan wpadnie do mnie kiedyś – rzekła chłodno na pożegnanie.

– Ależ oczywiście, z przyjemnością.

Rozstaliśmy się z największą rewerencją, ale czułem, że Lorraine jest wściekła na mnie za popsucie jej szyków. Czekała ją teraz pewnie reprymenda od szefa. Miałem nadzieję, że nie będzie zbyt ostra.

Ponieważ mimo wszystko Lorraine była piękną dziewczyną.

Guzik dzwonka naciskałem już kilkakrotnie, ale wciąż jeszcze wahałem się, czy odejść. Wreszcie zdecydowałem się na desperacki krok – zacząłem walić pięścią w zamknięte na głucho ściany. Było późne popołudnie i zapewne lokatorzy sąsiednich domków jeszcze nie wrócili z pracy. Gdyby tak było, to moje opętańcze walenie w Bogu ducha winne drzwi sprowadziłoby tu już pół dzielnicy.

W końcu usłyszałem jednak szurgot za drzwiami i po chwili na progu stanął Adam. Był rozczochrany i przecierał sennie oczy.

– Tak właśnie myślałem, że na pewno siedzisz w domu i kimasz, a ja tu w głowę zachodzę, gdzie cię diabli noszą – przywitałem go niezbyt przyjaźnie.

– I dlatego walisz w drzwi, jakbyś chciał je z zawiasów

wyrwać? – mruknął Adam w tej samej tonacji. – Wiesz przecież, że ci twoi znajomi mnie nie popieszczą, jak po powrocie z wakacji zastaną dom z rozwalonymi drzwiami. W końcu to do ciebie będą mieć pretensję, bo co prawda ja tu mieszkam, ale to ty mnie polecałeś.

– Może mimo wszystko wpuściłbyś mnie do mieszkania, co?

– Właź – Adam zrobił zapraszający gest ręką. – Tylko cicho.

– A to czemu? Boisz się, że pobudzisz sąsiadów o wpół do czwartej po południu?

– Nieee... Ciii... – Adam miał niezbyt wyraźną minę.

– Co się stało?! – zdenerwowałem się w końcu.

– No to patrz! – Adam desperackim, ale jednocześnie delikatnym gestem uchylił drzwi od pokoju.

Popatrzyłem. Potem zamknąłem cicho drzwi i pociągnąłem chłopaka do kuchni. Usiedliśmy obydwaj przy stole, Adam nalał ze stojącego na stole termosu kawy, ja wyciągnąłem z kieszeni papierosy. Przez chwilę paliliśmy w milczeniu i dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że Adam może tak siedzieć do końca świata nie odezwawszy się ani słowem. Zresztą to do mnie należał początek.

Nabrałem w końcu oddechu i już miałem wygłosić swój speech, w którym miało się roić od różnych niepochlebnych przymiotników, kiedy Adam powstrzymał mnie gwałtownie:

– Zaraz wygłosisz mowę, więc od razu ci mówię, żebyś sobie darował. To nie jest takie oczywiste, jak myślisz.

Adam działał w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak, ale tym razem ja też byłem nastawiony bojowo.

– Bez względu na to, co sobie myślę, to chciałbym się dowiedzieć trochę faktów. Skąd ona się tu wzięła? – wykonałem gest w kierunku zamkniętych drzwi.

Milczenie.

– Adam, posłuchaj – powiedziałem łagodniej. – Nie chcę i nie zamierzałem ci prawić żadnych kazań. Ale czuję się odpowiedzialny za twój charakter, a więc pośrednio za twoje czyny. Znasz tę dziewczynę bardzo krótko i spotkałeś ją w momencie, kiedy była roztrzęsiona i nie mogła sobie znaleźć miejsca na świecie. Nic dziwnego, że sama ci w takiej sytuacji idzie w ręce. Ale to nie znaczy, że możesz to wykorzystywać. To w taki sposób budzi się twój rycerski duch? – mówiłem z pasją, starając się go przekonać.

Traciłem z minuty na minutę cały zapał pedagogiczny. Kiedyś, dwadzieścia lat temu, tylko dzięki mojej uporczywej walce ze wszystkimi „czynnikami wychowawczymi", rodziną i rozmaitymi „życzliwymi" udało mi się przekonać otoczenie, że chcę i mogę zaopiekować się małym Adamem.

Rychło jednak przekonałem się, że podjąłem się ogromnego zadania. Nagle na kark zwaliły mi się problemy, z jakimi jeszcze nigdy nie miałem do czynienia. W jaki sposób nakarmić takiego brzdąca, żeby nie krztusił się źle przetartymi papkami? Jak go uciszyć po kilkugodzinnym płaczu? Jak pogodzić moje studia z opieką nad takim maluchem?

Patrząc wstecz dziwię się, że nikt nie odebrał mi wtedy opiekuństwa. Byłem stanowczo za młody i zbyt niedoświadczony. Zdaje się jednak, że moja desperacja w sprawowaniu tej opieki była wszystkim na rękę. W rodzinie nie było nikogo, kto mógłby to robić, a wszelkie domy dziecka i inne placówki tego typu miały aż nadto chętnych na wolne miejsce.

Prawdziwe problemy zaczęły się, gdy Adam znalazł się w szkole. Dzieci natrętnie wypytywały go, dlaczego nie ma ani taty, ani mamy, a jedynie wujka. Kiedy unikał rozmów na ten temat, zaczynały z niego drwić i wykluczać z zabaw. Niełatwo wtedy przychodziło mi wypers-

wadować Adamowi, że nie jest wcale gorszy od innych dzieci. Od najmłodszych lat starałem się ustawić nasze stosunki na koleżeńskiej stopie, chciałem zastępować mu raczej starszego brata niż ojca.

Przez te wszystkie lata nie zależało mi na tym, by Adam miał w szkole same piątki, ale abym nigdy nie musiał żałować, że podjąłem się jego wychowania. Dlatego surowiej karałem go, kiedy zaczął skarżyć, by odpłacić się za złośliwe żarty kolegom, niż wtedy, gdy rozbił szybę w przedpokoju. Uczyłem go, że trudniej jest utrzymać przyjaciół, niż ich zdobyć i że w tym celu należy o wiele więcej z siebie dawać, niż brać. Uczyłem go fair playu i uporu w sprawach tego godnych. Prostowałem jego skrzywione przez ciągłą walkę o zaakceptowanie przez różne grupy poczucie hierarchii wartości. Chciałem go nauczyć etycznego postępowania w każdej sytuacji. Pragnąłem, by miał nie tylko wiedzę fachową, której zdobywanie przychodziło mu zresztą bez trudu, ale i mocny, prawy charakter.

Jak dotąd, zawsze sądziłem, że mi się to wszystko udało. Dziś jednak patrzyłem na Adama z uczuciem klęski.

Nim którykolwiek z nas zdążył coś powiedzieć, usłyszeliśmy za sobą dźwięczny głos:

– Proszę, niech pan nie robi mu wymówek! – w drzwiach stała rozbudzona Monika. – Nie jesteśmy dziećmi i nie powinien się pan mieszać do naszych spraw – patrzyła na mnie wojowniczo.

– Ależ zrozum, dziewczyno – wyciągnąłem do niej ręce – chodzi mi tylko o twoje dobro. Po prostu wydaje mi się, że się trochę zawiodłem na charakterze tego gagatka – pokazałem ręką w stronę lekko skofundowanego chłopaka.

Monika spojrzała na Adama niepewnie.

– Myślę, że najlepiej będzie, kiedy i twojemu wujkowi

opowiem całą historię. Inaczej będzie to następna osoba, która nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

– Następna po tym Matcie, tak? – spojrzał domyślnie Adam. – Masz rację, tak chyba będzie najlepiej. Zrobię może herbatę – poderwał się z miejsca.

Monika tymczasem usiadła z podkulonymi nogami w fotelu pod ścianą. Chwilę milczała, nerwowo bawiąc się bransoletką. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała na mnie z determinacją:

– Wiem, że Adam już panu opowiadał o tym, co było wczoraj, więc ja może tylko o tym, co dzisiaj... – zaczęła z wahaniem. – Chociaż nie, w ten sposób nic pan nie zrozumie. Ja...

Nie pomagałem jej. Widać było, że trudno jej cokolwiek wykrztusić. Dziewczyna zaczerpnęła jeszcze raz powietrza i wreszcie zaczęła mówić płynniej:

– Byłam w Anglii rok temu. Poznałam tu chłopaka. Spotkaliśmy się na party, a potem przez cały czas mojego pobytu nie odstępował mnie na krok. Był bardzo fajny, wyjeżdżaliśmy na weekendy poza Londyn, wszędzie chodziliśmy razem. Matt potrafił być czarujący, kiedy mu na tym zależało, a ja... zakochałam się w nim po uszy. Myślałam, że on też, ale po jakimś czasie okazało się, że to niezupełnie jest tak. Matthew jest bardzo przystojny – ciągnęła Monika – i miał zawsze dużo pieniędzy, więc nic dziwnego, że wciąż wokół niego było wiele dziewczyn. Byłam o to zazdrosna, raz nawet zrobiłam mu scenę. Odpowiadał mi wtedy, że łączą go z nimi tylko interesy i żebym nie była naiwna. Na początku dziwiłam się nawet, skąd ma ciągle tyle pieniędzy, chociaż jest, jak mówił, studentem. Kiedy go o to zapytałam, roześmiał się i powiedział, że ma bogatych rodziców. Uwierzyłam. Początkowo rzeczywiście byłam okropnie naiwna, ale przebywałam przecież z nim cały czas i w końcu otworzyły mi się oczy.

Dziewczyna urwała na chwilę, po czym zapaliła nerwowo papierosa. Adam skończył robić herbatę i usiadł obok niej, rzucając jej pokrzepiające spojrzenie. To ją ponownie zmobilizowało.

– Widzi pan – zwróciła się do mnie przygryzając wargi – to brzmi dla mnie w tej chwili strasznie, ale ja bardzo późno zorientowałam się w czym rzecz. Zajmował się naganianiem takich różnych głupich dziewczyn, często cudzoziemek, zawodowym sutenerom. Najpierw je podrywał, bałamucił przez kilka dni, po czym zmuszał lub namawiał, żeby zaczęły pracować dla jego „przyjaciół". Nim się dziewczyna spostrzegła, była już dobrze ubraną, chronioną, ale i pilnowaną call girl. Mną też się zainteresował w tym celu, ale mu się spodobałam i zostałam jego dziewczyną. Nie sądzę jednak, żeby mnie naprawdę kochał – dodała w zamyśleniu.

Znów przerwała na chwilę, po czym podjęła na nowo:

– W każdym razie ja za nim szalałam i kiedy wreszcie zrozumiałam, skąd ma pieniądze i czym się naprawdę zajmuje, nie potrafiłam od niego odejść. Namawiałam go, żeby rzucił to wszystko, ale bezskutecznie. Mówił, że jest to taki sam dobry sposób zarobkowania jak każdy inny, a praca przynajmniej nie jest trudna, bo głupich dziewcząt nie brak na świecie. Wie pan – rzuciła mi wyjaśniające spojrzenie – to były takie dziewczyny, które po raz pierwszy znalazły się na zachodzie, zachłysnęły się blichtrem i dawały się wziąć na lep miłych słówek i pieniędzy. A potem były za głupie, żeby się wycofać. Tym bardziej że poznały już smak atrakcyjnego, zamożnego życia.

– Potem wróciłam do kraju – ciągnęła dalej – i przez cały rok zastanawiałam się, co zrobić. Nie potrafiłam się z nim rozstać, ale nie chciałam, żeby dalej tkwił w tym półświatku, a ja u jego boku. W końcu postanowiłam, że przyjadę tutaj i spróbuję go odciągnąć od tego towarzystwa. Tym bardziej że oni tam wszyscy byli groźni. Dziew-

czyny, które chciały zerwać z nimi, potrafili pobić tak, że zabierano je do szpitala, a chłopaka, który kiedyś chciał się wycofać z tego naganiania, o mało nie zabili, kiedy zagroził, że wyda ich policji. Widzi pan – uśmiechnęła się z zażenowaniem – byłam tak naiwna, że sądziłam iż mam jakiś wpływ na Matta, poza tym ciągle się o niego bałam...

– Kiedy tylko przyjechałam do hotelu – ciągnęła dalej dziewczyna – wydarzył się ten straszny wypadek w pana pokoju. Gdy wezwano nas do identyfikacji ciała i na przesłuchanie, byłam zdenerwowana, bo wciąż zastanawiałam się nad tym, jak rozwiązać tę sprawę z Mattem. Być może dlatego nagle wydało mi się, że to właśnie jego ciało mi pokazano. Ten pański przyjaciel jest oczywiście o wiele od Matta starszy, ale kolor włosów i sylwetki mają podobne, poza tym patrzyłam tylko przez sekundę. Cały czas podświadomie bałam się, że te typy spod ciemnej gwiazdy zrobiły Mattowi coś złego. Tym bardziej że Matt miał na mnie czekać w hotelu i kiedy po przyjeździe okazało się, że go nie ma, a zaraz potem znaleziono ciało jakiegoś zabitego człowieka, to... – popatrzyła na mnie speszona.

– Wiem – mówiła po krótkiej chwili Monika – że byłam wtedy głupia, ale... Tak mocno wyobraziłam sobie, że to właśnie Matt przyszedł do hotelu i został zabity przez kogoś z tamtych, że podczas przesłuchania byłam wręcz o tym przekonana.

– I dlatego pani tak płakała wieczorem w hotelu? – zapytałem.

– Tak. Oczywiście, to była bezpodstawna histeria, ale ja naprawdę traciłam wszelki rozsądek, jeśli o niego chodziło – przyznała Monika.

– Ale następnego dnia poszła pani jednak się z nim zobaczyć, czyli nie była pani pewna tej identyfikacji – podsunąłem.

– Tak – potwierdziła dziewczyna. – Tam właśnie wi-

dział mnie Adam. Stan, ten „neadertalczyk", jak go nazwał Adam, powiedział mi, że Matt wyjechał i że mam się tam więcej nie pokazywać... – urwała, wciąż jeszcze przeżywając te chwile.

– A kim była ta dziewczyna? – spytałem po chwili.

– To moja następczyni – uśmiechnęła się gorzko. – Chyba dopiero jej widok uleczył mnie z tej głupiej miłości. Zrozumiałam, że nie byłam dla Matta ta jedyna, wybrana, i że przez cały czas tylko się oszukiwałam, myśląc że ma do mnie inny stosunek niż do tych naganianych przez siebie dziewczyn – zakończyła z westchnieniem.

Dziewczyna była teraz odprężona, uspokojona. Ta „spowiedź", mimo że byłem dla niej prawie zupełnie obcym człowiekiem, sprawiła jej widoczną ulgę.

– Dzisiaj poszłam tam raz jeszcze – podjęła opowieść – chciałam porozmawiać z Mattem osobiście. Najpierw w ogóle nie chciał widzieć się ze mną, ale w końcu zgodził się na rozmowę. To było okropne. Ten człowiek miał mnie absolutnie w nosie i nie ukrywał tego. Przekonywanie go o czymkolwiek było bez sensu, ale próbowałam. W końcu pokłóciliśmy się i... – zawahała się. – Uderzył mnie kilka razy. Wtedy wpadł do pokoju Adam i rzucił się na niego. Okazało się, że Adam cały czas bez mojej wiedzy chodził za mną. Poprzedniego dnia ja nawet sprawdziłam, czy nikt mnie nie śledzi, bo gdyby Matt naprawdę został zabity z zemsty za odejście od tamtych, jak to sobie wyobrażałam, to mogliby i mnie śledzić. Nie zauważyłam jednak Adama. Natomiast drugiego dnia już w ogóle niczego nie sprawdzałam...

– Całe szczęście, że za tobą chodziłem – wpadł jej w słowa Adam. – Inaczej ten drań by cię przecież zabił!

– No, może nie byłoby tak źle, ale dzięki tobie wydostałam się stamtąd bezpiecznie – uśmiechnęła się do niego.

– Adam poroznosił tam wszystko na strzępy – dodała tonem pełnego dumy wyjaśnienia w moim kierunku.

– Bez przesady, Moniko, wykorzystałem tylko trochę judo – roześmiał się chłopak.

– Wyobrażam sobie! – mruknąłem. – I co było dalej?

Teraz inicjatywę przejął Adam.

– Zabrałem Monikę stamtąd jak najszybciej, zanim mieli czas się pozbierać. Wskoczyliśmy do taksówki i przyjechaliśmy tutaj – mówił pospiesznie. – Ten drań jednak zdążył trochę Monikę poturbować, więc musiałem ją najpierw opatrzyć. A potem... – Adam zawahał się prawie niedostrzegalnie i ciągnął dalej – zapakowałem ją do łóżka, żeby wreszcie przespała wszystkie smutki. Przed twoim przyjściem ja też się trochę zdrzemnąłem i dlatego... – znów się zawahał.

– I dlatego nikt panu tak długo nie otwierał – dokończyła za niego dziewczyna.

– Ach tak? – popatrzyłem kolejno po ich twarzach.

– Proszę pana – zaczęła gwałtownie Monika. – Ja bym nigdy panu nie opowiedziała tych fragmentów z mojego życiorysu, normalnie nie przeszłoby mi to przez gardło nawet w stosunku do najbliższej przyjaciółki, a co dopiero wobec pana. Ale widziałam, że muszę to zrobić, żeby nie winił pan o nic Adama. Nie ukrywałam przed panem, w jakim towarzystwie się obracałam, ale chciałabym, żeby pan zrozumiał, że nie jestem taka, jak oni wszyscy. Jednym słowem: ani Adam nie wykorzystuje sytuacji, ani ja nie jestem jedną z dziewczyn Matthewa. Chciałabym, żeby pan to zrozumiał. Zależy mi na pańskiej przyjaźni. – Dziewczyna patrzyła na mnie wzrokiem pełnym przejęcia i żarliwości.

Zapaliłem papierosa i podszedłem do okna.

Adam w swojej pospiesznej wypowiedzi zbyt często się wahał i zacinał, bym mógł uwierzyć, że jest to ostateczna i prawdziwa wersja wydarzeń tego popołudnia. Nie zale-

żało mi jednak na tym, by bawić się w świętą inkwizycję i cokolwiek od nich wyciągać. Zależało mi tylko na tym, by Adam nie skrzywdził Moniki.

Odwróciłem się od okna i spojrzałem na nich. Adam obejmował czułym gestem Monikę. Na jej twarzy zobaczyłem szczęśliwy uśmiech, pierwszy, jaki ujrzałem od momentu, kiedy ją poznałem.

Zbyt pochopnie więc potępiłem Adama za wykorzystywanie dla przelotnego flirtu uwikłanej w trudną sytuację dziewczyny. Dla obydwojga mimo tak krótkiej znajomości była to chyba poważna sprawa. Nie było sensu zachowywać się jak stara ciotka na kanapie, która „siedzi i ma za złe".

Zgasiłem papierosa i wyciągnąłem ku nim ręce w żartobliwym geście:

– Pójdźcie, o dziadki, pójdźcie wszystkie razem..." jak mówi wieszcz. Niniejszym udzielam wam błogosławieństwa i więcej czepiał się nie będę. Howgh!

Roześmieliśmy się wszyscy i kiedy w pół godziny później opuszczałem dom, zostawiałem ich równie rozbawionych.

Rozdział szósty

– Witam pana. Pan, zdaje się, chciał ze mną rozmawiać? Jestem Andrew Smith.

Odwróciłem się od okna i zobaczyłem stojącego w drzwiach człowieka. Podchodził ku mnie, wyciągając na powitanie rękę. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, średniej tuszy i wzrostu. Poruszał się bardzo sprawnie i szybko, miał szerokie, budzące zaufanie ruchy, ale mimo to wyczuwałem w nim poza tą swobodą jakieś napięcie czy też może po prostu dużą siłę. Wrażenie to było jednak przelotne, gdyż zaraz po powitaniu gospo-

darz usadowił się w fotelu i czekając na wezwanego lokaja swobodnie i wesoło omawiał ze mną nieśmiertelny angielski temat – pogodę. Od szczegółowego rozstrząsania subtelności klimatycznych Albionu wybawiło nas wejście lokaja z kieliszkami na tacy. Spojrzałem na wychodzącego przelotnie i coś w jego wyglądzie wydało mi się znajome. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo uprzejmy gospodarz podał mi kieliszek i podjął rozmowę.

– Co pana sprowadza na takie odludzie? Tutaj mało kto przyjeżdża z Londynu poza mieszkańcami wracającymi z pracy. Hampton jest, jak wiele innych przedmieść, wielką sypialnią stolicy. W ciągu dnia wszyscy pracują w Londynie, a wieczorami wracają tutaj do domów. A pan – popatrzył na moją wizytówkę – jest chyba cudzoziemcem, więc jeszcze bardziej z daleka, prawda?

– Tak. Przyjechałem z wycieczką turystyczną z Polski.

– Ach tak. Z Polski – gospodarz popatrzył na mnie z zainteresowaniem. – To bardzo ładny kraj. Lasy, lepszy niż w Anglii klimat...

– Zna pan Polskę? Był tam pan kiedyś? – Teraz ja wyraziłem uprzejmie zainteresowanie.

– Drogi panie – uśmiechnął się pobłażliwie Smith – w moim wieku zna się już większość zakątków tego świata, a Polska jest szczególnie malowniczym miejscem. Czym więc mogę panu służyć? – zwrócił się ku mnie.

– Dowiedziałem się, że był pan poprzednim właścicielem pewnego obrazu. Ściślej mówiąc, była to ikona z XVII wieku przedstawiająca walkę świętego Jerzego ze smokiem. Czy mógłby mi pan powiedzieć, w jaki sposób trafiła w pańskie ręce?

Smith zmarszczył brwi.

– Prawdę mówiąc, to pytanie jest dosyć niezwykłe. Jestem kolekcjonerem obrazów – powiódł ręką po otaczających nas ścianach, na których znajdowało się kilka-

naście pieczołowicie rozmieszczonych cennych obrazów – a jak panu wiadomo – kolekcjonerzy nie lubią zdradzać swoich źródeł zakupu. Chciałbym wiedzieć, do czego jest to panu potrzebne? – Gospodarz popatrzył na mnie pytająco.

– Och, to dosyć trudno wytłumaczyć – odpowiedziałem. – To skomplikowana historia.

– Jest pan historykiem sztuki – Smith jeszcze raz popatrzył na moją wizytówkę. – Czy interesuje się pan tą ikoną z powodów naukowych? To rzeczywiście dosyć cenny obraz.

– Niezupełnie – postanowiłem być szczery, gdyż miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się skłonić Smitha do udzielenia mi informacji. – Interesuję się tym ze względów osobistych. W związku z tym chciałbym odnaleźć wszystkich poprzednich właścicieli ikony. Toteż gdyby mógł mi pan powiedzieć, od kogo pan ją kupił... – popatrzyłem na Smitha wyczekująco.

Ten spojrzał na mnie w zamyśleniu, po czym zapytał:

– Czy to właśnie w sprawie tego obrazu przyjechał pan do Anglii?

– Tak. To naprawdę bardzo ważna dla mnie sprawa – rzuciłem na niego desperackie spojrzenie. Flegma i spokój tego Anglika zaczynały mnie wyprowadzać z równowagi.

– Przykro mi – Smith rozłożył ręce – ale chyba nie będę mógł panu pomóc. Nie wiem nic o poprzednich właścicielach. Wie pan, to była taka kolekcjonerska okazja. Byłem kiedyś na targowisku różności i wśród tysięcy rupieci dostrzegłem kawałek sczerniałej deski. Wyciągnąłem to na światło dzienne i oczywiście zorientowałem się, że rzecz jest o wiele cenniejsza niż wszystkie inne przedmioty obok razem wzięte. Handlarz trochę się targował, lecz nie wiedział, co mi sprzedaje, i w rezultacie była to wspaniała okazja. Ale nie zbieram

ikon i dlatego pozbyłem się jej szybko, zarabiając oczywiście na tym bardzo dobrze. Obraz był u mnie bardzo krótko i doprawdy nie mam pojęcia, kto był jego poprzednim właścicielem. Nie mogę więc panu w niczym pomóc – Smith uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

W czasie jego długiej przemowy wsłuchiwałem się w dobiegające z zewnątrz pokoju dźwięki. Usłyszałem najpierw coś jakby tętent konia, potem trzaskanie drzwi. Nagle zobaczyłem, że drzwi, naprzeciw których siedziałem, uchylają się powoli. W chwili, gdy Smith dopowiadał właśnie ostatnich słów, drzwi zostały pchnięte gwałtownie i do salonu wpadła dziewczyna.

Każdy miłośnik światłocienia oddałby pół życia za widok, jaki w tej chwili ujrzałem. Dziewczyna stała na progu zdyszana, z zarumienionymi lekko policzkami, z rozrzuconymi w artystycznym nieładzie włosami. Zachodnie słońce, padające z okien wprost na miejsce, w którym stała, oświetlało jej jasne włosy, przydając im złotego blasku i wzniecając w jej szeroko rozwartych oczach migające iskierki. Reszta twarzy i sylwetki tonęła w półcieniu rzucanym przez framugę drzwi.

Nie miałem czasu chłonąć tego zjawiska dłużej, bo dziewczyna wykrzyknęła wysokim, urywanym głosem:

– Dlaczego mówisz, że kupiłeś ikonę na bazarze? Przecież to nieprawda! I od kiedy ten obraz przestał być dla ciebie ważny, co? Moim zdaniem on jest dla ciebie aż nadto ważny! Przecież to przez niego kazałeś... – dziewczyna urwała, gdyż w tym momencie stanął za nią jakiś mężczyzna i położył jej rękę na ustach.

Człowiek ten był bardzo wysoki, chyba mojego wzrostu. Nie był szczupły, ale to, że marynarka opinała się na nim, trzeba było przypisać raczej silnie rozwiniętym mięśniom niż otyłości. Najbardziej przykuwał wzrok wygląd jego twarzy. Każdy trener bokserski rozpoznałby złamany nos, kwadratowe rysy i źle zrośnięte łuki brwio-

we jako typowe cechy byłego zawodnika. Ponadto ten człowiek miał jeszcze jedną cechę, całkowicie indywidualną – kompletny brak inteligencji w małych, ponurych oczach.

Poderwałem się z fotela widząc jego bezceremonialne postępowanie z dziewczyną, ale Smith okazał się szybszy. Zatrzymał mnie gestem i zwrócił się rozkazująco do mężczyzny:

– Zabierz ją natychmiast do jej pokoju!

Opierająca się ze wszystkich sił dziewczyna i mężczyzna, który ją mocno trzymał, zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Smith, sadowiąc się na powrót wygodnie w fotelu, zwrócił się do mnie z przepraszającym uśmiechem:

– Musi mi pan wybaczyć to małe zamieszanie. To była moja córka. Żona zmarła przy porodzie, a Joan całe życie wychowywało mnóstwo ludzi, którzy usiłowali zastąpić jej matkę. Pewnie dlatego jest trochę za bardzo rozpieszczona i muszę czasem opanowywać jej wybryki – tłumaczył mi to spokojnie, nalewając kolejnego drinka.

Ja jednak daleki byłem od takiego spokoju.

– Bez względu na to, czy pańska córka jest rozpieszczona, czy nie, to i tak z jej słów jasno wynika, że powiedział mi pan nieprawdę. Co pan na to? – mój głos brzmiał może twardziej, niż zamierzałem.

Gospodarz przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu. Nagle na stoliku obok niego zadzwonił telefon. Smith szybko podniósł słuchawkę.

– Tak! – jego głos zabrzmiał szorstko. – Nie, zostawcie ją. Później tam przyjdę... Nie, niech mi nikt nie przeszkadza – odłożył energicznie słuchawkę.

– Jak jest więc z tą ikoną? – ponowiłem uparcie pytanie.

– No dobrze – Smith odstawił kieliszek i spojrzał na mnie zdecydowanym wzrokiem. – Skoro pan tak nalega, to powiem prawdę.

Podszedł do okna i zapatrzywszy się na ogród zaczął mówić spokojnym, opanowanym głosem.

– Poczęstowałem pana bajeczką o wspaniałej okazji kolekcjonerskiej, ale moim zdaniem takie rzeczy zdarzają się tylko w opowieściach. Jestem zbieraczem od wielu lat i wszystkie obrazy kupiłem za ciężką gotówkę, a nie zdobyłem za grosze w przypadkowy sposób. Tak było i z tą ikoną, jakkolwiek przyznaję, ma ona trochę niecodzienną historię. Miałem mianowicie przyjaciela, który był początkowo kolekcjonerem, tak jak ja. Ale w przeciwieństwie do mnie nie był zamożny, natomiast ambicje zbieracza miał większe ode mnie. Żeby zdobyć pieniądze na nowe zakupy, zaczął robić drobne machlojki przy sprzedażach i zakupach. Kiedy się o tym dowiedziałem, próbowałem go powstrzymać, ale nie chciał mnie słuchać i wkrótce potem rozstaliśmy się. Nie chciałem mieć nic wspólnego z tymi drobnymi przestępstwami. Nie interesuje mnie taka droga zdobywania dzieł sztuki – popatrzył na mnie twardym wzrokiem.

– Po wielu latach – ciągnął po krótkiej przerwie Smith – ten człowiek zwrócił się znów do mnie. Był zupełnie bez pieniędzy i wyglądał na całkiem zaniedbanego. Myślałem, że chodzi mu o pożyczkę i byłem gotów jej udzielić. Ale okazało się, że mój przyjaciel, Maurice, nie chciał nic ode mnie pożyczać. Miał ze sobą cenny obraz, właśnie ową ikonę, i chciał mi go sprzedać. Zdziwiłem się, bo Maurice nie wyglądał wtedy na człowieka, który mógłby handlować tak cennymi rzeczami. Zacząłem go więc wypytywać o pochodzenie ikony. Powiedziałem, że jeśli mi tego nie powie, nie kupię obrazu. Maurice'owi zależało na tym bardzo, gdyż rzeczywiście był bez grosza, więc chcąc nie chcąc przystał na to. Powiedział, że obraz został nielegalnie wywieziony z Polski. Zapytałem, czy przez niego i Maurice nie zaprzeczył. Dodał jeszcze, że ikona nigdy nie była w posiadaniu żadnego muzeum i nie

badano jej ani nie opisywano w żadnym katalogu, nie istnieje zatem niebezpieczeństwo, że polskie muzea mogą upomnieć się o zwrot własności. Nie chciałem oczywiście ryzykować i wystawiać obrazu na sprzedaż. Gdyby ktoś wskazał na niego, jako na przedmiot ukradziony w innym kraju, moja reputacja kolekcjonera byłaby zniszczona. Obraz był jednak naprawdę piękny, więc spełniłem życzenie Maurice'a i kupiłem go.

– Jak brzmi nazwisko pańskiego przyjaciela? – zwróciłem się do Smitha.

– Maurice Cady, ale to nic panu nie da. Dość powiedzieć, że Maurice'owi wiodło się nadal źle. Otrzymane ode mnie pieniądze przepił szybko i po kilku miesiącach zmarł, jak to określił lekarz, z powodu wyniszczenia organizmu. Tak więc pański ślad urywa się zupełnie – Smith rozłożył ręce. – Nawiasem mówiąc – podjął po chwili – skoro opowiedziałem panu szczerze całą historię, to może w zamian za to powie mi pan, z jakich powodów interesuje się tą ikoną. Należała może do pana? To panu ukradł ją Maurice? – spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Och, nie – roześmiałem się. – To nie był mój obraz. Ale wiedziałem, że został nielegalnie wywieziony z Polski. W naszym kraju zagrabiono już tak wiele cennych zabytków sztuki, że jesteśmy szczególnie czuli na tym punkcie.

– Ach tak – popatrzył na mnie przeciągle Smith. – W każdym razie rozumie teraz pan, dlaczego nie chciałem ujawnić pochodzenia obrazu. Nawet wtedy, kiedy w końcu zdecydowałem się go sprzedać jednemu z kupców zajmujących się ikonami, nie podałem żadnych szczegółów. Musiałem pozbyć się tej ikony – tłumaczył Smith – bo był to zamrożony kapitał, nawet dosyć spory, a ja, jak już mówiłem, nie zbieram ikon w ogóle, więc i tak niewiele traciłem. Chociaż trzeba przyznać, że to piękny

obraz, piękny... powtarzał w zamyśleniu. – No cóż – spojrzał na mnie – oczywiście bardzo żałuję, ze względu na pański piękny kraj, że ikona została wywieziona, ale sam pan rozumie, że obecnie nie może być przez Polskę odzyskana. To już zbyt stare dzieje, dowodów nie ma żadnych, a biedny Maurice i tak nie żyje...

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziałem. – Interesuje mnie jeszcze jedno. Czy na obrazie, w chwili kiedy został panu sprzedany, były rysy na odwrotnej stronie?

– Rysy? – spojrzał pytająco Anglik.

– Tak. Zadrapania na odwrocie ikony. Czy były już wtedy, kiedy kupował pan obraz?

– Zdaje się, że tak – odpowiedział powoli. – Nie jestem tego pewien, ale chyba tak. Czy to coś ważnego?

– Jeszcze nie wiem. W każdym razie – powiedziałem podnosząc się z fotela – dziękuję panu ogromnie za pomoc i tyle czasu, który mi pan poświęcił.

– Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, to oczywiście zapraszam – skłonił się mój gospodarz. – Może odwieźć pana do stacji?

– O, nie, wolę się przejść – zaprotestowałem.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, słońce już zaszło i otaczającą mnie okolicę widać było w ciemniejącym z minuty na minutę świetle zmierzchu. Rozejrzałem się wokół.

Hampton Court, rezydencja Andrewa Smitha, składał się z niedużego pałacyku z białego kamienia i rozległego parku kończącego się na granicy lasów porastających okolicę. Przed pałacykiem znajdował się duży, wysypany czarnym żwirem dziedziniec. W tej chwili był prawie pusty, tylko w rogu, przy drewnianej balustradzie, stał koń. To jego tętent zapewne słyszałem niedawno. Rozpieszczanie córki Smitha obejmowało najwyraźniej również jej konne przejażdżki. Sądząc po urodzie i szlachetności konia, kaprysy Joan musiały być dość kosztowne. Sądząc

jednak z kolei z wyglądu pałacyku i jego stylowych wnętrz, nietrudno było chyba Smithowi zaspokajać jej żądania.

W końcu nie interesowała mnie pozycja materialna Joan, ale ona sama. Jej słowa, wykrzykiwane w progu salonu, dawały mi wiele do myślenia. Chciałem więc porozmawiać z nią osobiście, i to bez wiedzy ojca.

W pałacyku były zapalone światła tylko w dwu oknach. Pierwsze należało do salonu, z którego wyszedłem. W przeciwległym skrzydle paliło się drugie światło i od tego miejsca postanowiłem zacząć poszukiwania dziewczyny. Cicho wślizgnąłem się do domu. Miałem nadzieję, że nikogo po drodze nie spotkam. Od drzwi wejściowych prowadził w głąb domu długi korytarz z kilkoma parami drzwi po obu stronach. Ruszyłem w kierunku jednych z nich starając się stąpać jak najciszej. Nagle zatrzymałem się gwałtownie, gdyż rozległy się jakieś głosy. Dobiegały z salonu. Przysunąłem się bliżej, ale słychać było tylko poszczególne dźwięki, a nie można było zrozumieć słów. Pamiętałem, że zanim Joan wbiegła do salonu, najpierw powoli i bezszelestnie uchylała drzwi. W takim razie i mnie nie groziło, że mogą one w czasie otwierania zaskrzypieć. Poruszyłem ostrożnie gałką i pchnąłem drzwi otwierając je na kilka centymetrów. Zacząłem słuchać dobiegających mnie teraz wyraźnie słów.

– ...więc co w końcu z niego wyciągnąłeś?

– Niewiele, ale za to istotne rzeczy –to był głos Smitha. – Nie wiem dokładnie dlaczego, ale rzeczywiście interesuje się historią tej cholernej ikony, a nie nią samą. Poza tym nie wiem skąd, ale on wie o rysach na odwrocie.

– Niemożliwe! O planie nie wiedział nikt poza tobą. A ty nam powiedziałeś też dopiero niedawno! – W głosie tego drugiego brzmiało zaskoczenie i jakby przestrach. Zresztą ten rysunek został zatarty, a potem dokładnie

zamalowany. Żadnych rys nie było już widać. Kto mu o tym powiedział, u diabła?!

– On przyjechał z Polski, może tam ktoś wiedział – zastanawiał się Smith.

– W każdym razie trzeba go jak najszybciej sprzątnąć. Zbyt wiele wie. Lorraine od razu tak radziła!

– Lorraine jest głupia i ty też! – Głos Smitha był pełen hamowanego wzburzenia. – Nie wiemy przecież, co on naprawdę wie i kto za nim stoi. Nie możemy poza tym plątać się teraz w żadną mokrą robotę. Lorraine zamiast dawać rady, ma się zająć tym Polakiem. Niech będzie dla niego miła, niech się z nim prześpi, niech robi, co chce, ale musi od niego wydobyć, co on wie. A poza tym...

Chwila milczenia i znowu głos Smitha:

– On jest Polakiem. To jest właściwie to, czego nam potrzeba. Słuchaj Mike, Lorraine musi owinąć sobie tego faceta wokół palca! On jest nam bardzo potrzebny! – rzekł rozkazującym tonem Smith.

W tym momencie usłyszałem szelest. Obróciłem się i zobaczyłem o kilka kroków ode mnie lokaja z tacą. Jego oczy błysnęły nienaturalnie ostrym blaskiem i wtedy zrozumiałem, dlaczego ta twarz wydawała mi się przedtem znajoma. Nie znałem tego człowieka, ale widziałem już takiego lokaja. Był – tak jak i jego kolega po fachu w domu Southwellów – narkomanem. Wychudzone ciało i twarz, trzęsące się ręce i ten intensywny blask w czarnych i rozszerzonych źrenicach wskazywały nieomylnie na narkomana w dość zaawansowanym stadium.

Na dalsze obserwacje nie miałem czasu. Lokaj wykrzyknął przenikliwym głosem: „Szefie!". Z salonu wypadł Smith, a za nim mężczyzna, który wyprowadzał z pokoju Joan. Po tym pierwszym okrzyku lokaja zapadła zupełna cisza. Lokaj stał trochę gapiowato, wciąż jeszcze trzymając tacę w dłoniach. Na jego twarzy znać było niezdecydowanie. Nie wiedział, czy jestem tutaj intru-

zem, czy też gościem, który pomylił drzwi. Ani Smith, ani Mike, nie mieli tych wątpliwości. Okrążali mnie z dwóch stron, podchodząc w czujnym skupieniu. Twardy wzrok i nawleczona na łańcuch kłódka, którą wyciągnął z kieszeni Mike, wskazywały niedwuznacznie na ich zamiary. Taka kłódka w rękach fachowca jest morderczym narzędziem. Mike od pierwszego wejrzenia nie wydawał mi się amatorem i dlatego rzuciłem się bez wahania w kierunku stojącego wciąż nieruchomo lokaja. Ten ocknął się wreszcie i usiłował odciąć mi drogę od drzwi wejściowych. Rzucił się ku mnie, starając się podciąć mi nogi, ale jego refleks był zdecydowanie zwolniony przez jednostronną dietę, złożoną zapewne głównie z białego proszku. Zrobiłem unik, szarpnąłem klamkę i wypadłem na dziedziniec. Tam jednak zatrzymałem się na sekundę. Ucieczka wprost przed siebie nie miałaby sensu, zwłaszcza że w bocznym skrzydle budynku widziałem duży garaż, a zatem rezultat pościgu za mną byłby z góry przesądzony.

Całe to rozumowanie przeprowadzałem już w biegu i był to tylko rodzaj refleksji post factum. Moja podświadomość zareagowała bowiem znacznie szybciej, wybierając jedyną dostępną możliwość.

Gdy trójka ścigających stanęła w drzwiach pałacyku, ja już poganiałem do galopu konia Joan. W normalnych warunkach zastanowiłbym się dwa razy, zanim wsiadłbym na nieznanego mi, płochliwego i nerwowego, jak wszystkie rasowe, konia. Tutaj jednak nie miałem wyboru i mogłem tylko być wdzięczny losowi, że kasztan Joan okazał się zupełnie posłuszny moim ruchom. Przejeżdżając przez bramę usłyszałem za sobą dźwięk zapuszczanego motoru. Na razie jeszcze jechałem szeroką parkową aleją zupełnie sam, ale nawet najgorszy samochód potrafi łatwo doścignąć pędzącego konia i wtedy szanse na powodzenie mojej ucieczki stawały się takie same, jak-

bym biegł piechotą.

Przynagliłem kasztana do biegu. Koń chętnie i sprawnie reagował na moje ruchy. Nie na darmo oceniłem zachciankę Joan jako kosztowną! Koń, który tak lekko i pewnie galopował w prawie zupełnych ciemnościach, musiał być bardzo cenny.

Odrzewiona aleja skończyła się tymczasem i wyjechałem poza granice posiadłości. Na wprost mnie rósł gęsty, dość wysoki las, a za nim znajdowały się domy, stacja kolejowa, a przede wszystkim – dużo, dużo ludzi. Jednym słowem – mój ratunek. Nie mogłem jednak jechać prosto. Drzewa rosły w lasku zbyt gęsto i poza tym nierówne, pełne dołów i niewidoczne w ciemnościach poszycie mogło łatwo spowodować upadek konia. Musiałem więc wybrać coś innego. Z lewej strony las okrążała łagodnym łukiem bita droga. Znałem ją już dobrze, bo jechałem nią dwie godziny temu, i łatwo na niej byłoby mi kierować galopującym koniem. Ale jeszcze łatwiej jazda po tej drodze przyszłaby ścigającemu mnie samochodowi, którego długie światła rzucały już blask na drzewa przy końcu alei.

Wybrałem więc trzecią, prawie idealną drogę. Jedynym jej mankamentem było to, że nie była drogą.

Z prawej strony lasu znajdowały się poogradzane drutem kolczastym pastwiska i kilka sadów otoczonych żywopłotami. Teren był nierówny i mógł kryć rozliczne pułapki, ale wyłącznie tam miałem szansę ucieczki. Samochód ma bowiem przewagę nad koniem w szybkości i wytrzymałości, ale nie potrafi jednej rzeczy – nie umie skakać.

Właśnie zbliżaliśmy się do pierwszego żywopłotu i miałem nadzieję, że kasztan Joan będzie umiał wykorzystać tę naturalną przewagę nad samochodem. Dojeżdżając do przeszkody poderwałem konia w górę i... kasztan, cudowny kasztan, zachował się tak, jakby biegł w tej

chwili po wielką wygraną w Ascot, i to na oczach królowej. Jego skoki ponad kolejnymi ogrodzeniami i płotami były płynne, doskonale wymierzone w czasie i zakończone pewnymi, mocnymi lądowaniami. Te skoki byłyby zapewne słabe, jeśli nie w ogóle niemożliwe, gdyby robił to w zupełnej ciemności. Jednakże wybrana przeze mnie trasa miała jeszcze jedną zaletę – oświetlały ją skąpe, ale często rozmieszczone światełka zawieszone na rogach ogrodzeń i żywopłotów.

Światła samochodu zniknęły, gdy tylko skręciłem w bezdroża, a warkot motoru zaczął się oddalać. Smith wiedział, że nie zdoła mnie gonić po ogrodzonych łąkach, ale wiedział, też, w jakim kierunku podążam. Nie miałem w tej chwili ochoty zobaczyć Smitha inaczej, jak z okien odjeżdżającego pociągu. Wtedy mógłbym nawet pomachać mu białą chusteczką. Na razie jednak byłem wciąż w Hampton Court i mogłem mieć tylko nadzieję, że dojadę pierwszy do stacji. Przynagliłem kasztana do biegu. Po kilku minutach ujrzałem światełka pierwszych domów.

Na donośny dźwięk tętentu konia uchylały się w domach firanki, zatrzymywali się na krętych uliczkach przechodnie. Ja jednak gnałem naprzód nie zważając na nic i wypatrując budynku stacji jak zbawienia, czym zresztą był.

W pewnym momencie zatrzymałem się raptownie. Zobaczyłem bowiem tarasujący mi drogę samochód i stojących wokół niego ludzi. Myślę, że gdybym zobaczył wśród nich Smitha, to spiąłbym konia do skoku ponad samochodem, nie zważając na konsekwencje.

Podjechałem jednak bliżej i ujrzałem dwóch młodych ludzi krzątających się wokół wozu. Maska była podniesiona i nad silnikiem pochylał się z zaaferowaną miną człowiek w nasuniętym na czoło kaszkiecie. Drugi podbiegał właśnie do mnie, wymachując rękami.

– Czy mógłby nam pan pomóc? Trzeba popchnąć trochę samochód.

Zeskoczyłem ze zmęczonego konia kilka kroków od nadbiegającego. Zwykłe, pospolite słowa tego człowieka przywróciły mi poczucie bezpieczeństwa. Nagle znalazłem się z dala od przemocy i zbrodni, wśród zwyczajnych ludzi, przejętych kłopotami codziennego życia.

– Niech pan przywiąże konia do płotu, nic mu się nie stanie – przynaglał mnie młody człowiek. – Kolega już naprawił wóz, ale chyba trzeba trochę popchnąć...

– Zaraz – przerwałem chwytając go za ramię. – Czy moglibyście mi pomóc? Ścigają mnie!

– Kto?! – zdziwił się tamten.

– Nieważne kto – odparłem niecierpliwie. – Popchnę z wami samochód, ale jeżeli ruszy, to podwieziecie mnie na najbliższy posterunek, dobrze?!

– Gotowe! – zawołał nagle człowiek w kaszkiecie. Wyprostował się i zatrzasnął energicznie maskę. – Może nawet obejdzie się bez popychania. Zaraz spróbuję!

Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Posłyszeliśmy wycie maszyny, ale samochód ruszył powoli.

Odetchnąłem z ulgą.

– W porządku! – ucieszył się stojący obok mnie młody człowiek. – Niech pan wsiada! Podwieziemy pana. Konia niech pan tu zostawi, jego chyba nie ścigają, co? – błysnął zębami w uśmiechu.

Posłuszny zapraszającemu gestowi ręki pochyliłem się ku tylnemu siedzeniu samochodu. Nagle zamarłem w półskłonie. Przede mną, rozparty wygodnie i złośliwie uśmiechnięty, siedział... Andrew Smith.

W tym momencie poczułem z tyłu głowy silny ból i przed oczyma zapadła mi ciemność.

Rozdział siódmy

Przepaść, w jaką leciałem, była bez dna. Usiłowałem ze wszystkich sił zaczepić się o coś, ale to potęgowało we mnie uczucie spadania i ciemności. Nagle uderzyłem w coś niezwykle twardego, mokrego i zimnego. Ten gwałtowny kontakt z niegościnną powierzchnią spowodował, że ponownie zapadły wokół mnie przepastne ciemności.

I znów, po nie wiem jak długim czasie, powróciło uczucie bolesnego upadku. Takie okresy spadania w ciemność, przerywane na krótko uczuciem bólu, wilgoci i zimna, powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem uczucie zapadania się w nicość było krótsze, a bolesna przerwa dłuższa. W końcu pozostało mi tylko dojmujące uczucie ciągłego uderzania w coś twardego i zimnego. Wtedy zacząłem otwierać oczy.

Szło mi trudniej niż normalnie każdego ranka, kiedy na dźwięk budzika zaciskam najpierw mocno powieki, po czym długo i z wysiłkiem przecieram oczy, a następnie powoli i ostrożnie otwieram jedno oko. Tym razem musiałem zatrzymać się na tym pierwszym etapie. Zacisnąłem najpierw powieki, ale w ogóle nie mogłem przetrzeć oczu. Ta zaskakująca niemożność pobudziła mnie do natychmiastowego otworzenia oczu. Doznałem jednocześnie kilku rzeczy. W tyle głowy poczułem ostry ból, na przegubach rąk odczułem gwałtowny ucisk, kiedy spróbowałem wyciągnąć rękę w kierunku głowy, zaś całym moim ciałem wstrząsnął dreszcz zimna.

To było stanowczo zbyt wiele, jak na jedno przebudzenie. Otworzyłem oczy szerzej i tym razem spojrzałem już przytomnie. Wszystkie doznawane do tej pory uczucia nie były częścią jakiegoś snu. Była to niestety nieprzyjemna rzeczywistość.

Wydawało mi się przed chwilą, że spadam na twardą

i wilgotną powierzchnię. Powierzchnia ta okazała się być mokrym i lodowato zimnym betonem, tyle że na niego nie spadałem. Już tam leżałem i to, sądząc po przemoczonym ubraniu, dosyć długo, a ból całego ciała nie pochodził od jednorazowego uderzenia w beton – towarzyszył mi przez cały czas.

Uczucie niemożności przetarcia zapuchniętych oczu też było zgodne z rzeczywistością. Nie mogłem tego zrobić, gdyż moje ręce były związane kawałkiem mocnego kabla w przegubach. Tak samo nogi. Leżałem rozciągnięty pomiędzy dwiema prostopadle wychodzącymi ze ściany rurami. Do jednej przywiązane były moje ręce, do drugiej nogi. Powiodłem wokoło wzrokiem.

Pomieszczenie było piwniczną kotłownią. Ściany zrobiono z szorstkiego betonu, który podszedł wilgocią. Najbardziej wilgotna była podłoga – w kilku miejscach wytworzyły się kałuże wody. W największej z nich leżałem ja. W świetle słabej, zabrudzonej żarówki dostrzegłem stojące przy przeciwległej ścianie kotły czy też zbiorniki. Biegła do nich plątanina rur. Dwie z nich zaczynały się nisko nad ziemią. Poprowadzone były równolegle do podłogi na odcinku około metra, po czym wyginały się prostopadle do góry i razem z masą innych rur dochodziły do kotłów. Do tych właśnie dwóch rur zostałem przywiązany z godną podziwu starannością. Sądząc po tonach pyłu i kurzu oraz arktycznym zimnie, jakie panowało w piwnicy, kotłownia nie była chyba używana od przedpotopowych czasów.

W czasie, kiedy biernie kontemplowałem otaczającą mnie ponurą rzeczywistość, moja zdolność koncentracji zwiększyła się na tyle, że mogłem zacząć zastanawiać się nad tym, jak się stąd wydostać.

Piwnica była jednak przykładem doskonałości w dziedzinie więziennictwa. Na podłodze nie leżały żadne sprzęty ani narzędzia, których mógłbym użyć do przecię-

cia więzów. Zresztą nawet gdyby były, to jak miałbym wziąć je do ręki. Nie mogłem także potoczyć się w jakimkolwiek kierunku, bo węzły przytrzymujące moje związane wokół rury ręce nie dawały się zerwać mimo energicznego, aczkolwiek bolesnego dla moich opuchniętych już rąk szarpania.

Zacząłem w desperacji rozważać rozmaite sposoby wydostania się z tej piwnicy. Przez kilkanaście minut myślałem intensywnie i jedynym tego rezultatem był logiczny, choć może cokolwiek pesymistyczny wniosek, że najpewniejszym sposobem będzie poczekanie, aż od panującej wokół wilgoci dostanę artretyzmu, kości u rąk zgrubieją mi i rozsadzą wiążący mnie kabel. Pomysł był nęcący, tyle że musiałbym poczekać tak z osiemdziesiąt lat. Aż tyle czasu nie miałem, porzuciłem więc z westchnieniem tę możliwość i ponownie przyjrzałem się wnętrzu. Powiodłem wzrokiem po rurach. Były chropowate, miejscami oblepione nierówno zaschłym cementem. To już było coś. Ocierając o tę szorstką powierzchnię węzły mógłbym je może przerwać. Spróbowałem tego natychmiast, ale jedynym rezultatem było bolesne pulsowanie w opuchniętych przegubach i nowe, głębokie skaleczenia.

Dokonując skomplikowanej operacji przesuwania się wzdłuż szorstkiej rury, rzuciłem mimochodem okiem na rękaw mojej kurtki. W tym momencie zacząłem pisać peany na cześć naszego rodzimego przemysłu odzieżowego. Latami całymi broniłem się uparcie przed spodniami z fioletowej krempliny, szafirowymi marynarkami ze złotymi guzikami w ilości dziesięciu sztuk na każdym egzemplarzu, obwisłymi garniturami o kroju, jakiego nie zaakceptowałby nawet mój dziadek, a które nosiły dumną metkę „nowość" – jednym słowem, walczyłem z potworkami naszego przemysłu i wzornictwa. Kiedyś jednak, przyciśnięty koniecznością, zakupiłem ortalionową

kurtkę. Kolor miała na szczęście czarny, ale za to pomysłowy projektant zaopatrzył ją w dużą ilość kieszeni w najróżniejszych nieprzewidzianych miejscach. Między innymi były umieszczone na rękawach. Zostały przyszyte po jednej kieszeni na przedramieniu i łokciu, a ponadto jeszcze jedną, malutką, wszyto zupełnie niewidocznie na samej górze rękawa. Ten ktoś, kto mnie tutaj przyniósł i tak skrupulatnie związał, nie zapomniał o dokładnym opróżnieniu moich kieszeni. Jednakże żadnemu normalnie rozumującemu człowiekowi nie mogło przyjść do głowy istnienie kieszeni w tak kretyńskim punkcie ubrania, więc tego miejsca nikt nie przeszukał. Pocierając rękawem kurtki o ścianę, przy której leżałem, wyczułem w kieszeni zgrubienie.

Poprzedniego dnia, idąc do domu Lorraine, zabrałem ze sobą oprócz latarki scyzoryk. Włożyłem go do tej kieszeni, żeby nie wypadł, gdy przeskakiwałem przez mur, i potem zapomniałem wyjąć. Błogosławiłem teraz sklerozę i niewydarzone pomysły projektantów mody.

Przekręciłem się jak najbardziej w prawo i chwyciłem zębami rękaw. Przez kilka dobrych minut rozrywałem materiał kurtki. Przy każdym szarpnięciu odzywał się w mojej czaszce ból, który kazał mi się zastanowić, czy targając głową nie uderzam przypadkiem o betonową ścianę za mną. Nie uderzałem. Ściana była za daleko. W końcu „dogryzłem się", dosłownie i w przenośni, zbawczego scyzoryka. W głowie czułem teraz jednostajne pulsowanie, wszystkie poszczególne bóle w moim ciele zlały się w jeden, za to potężny. Starałem się jednak odsunąć od siebie tę świadomość jak najdalej, gdyż najtrudniejsze zadanie miałem dopiero przed sobą. Wyłuskałem zębami scyzoryk z kieszeni i naprężając się lub skręcając na przemian w kierunku moich związanych rąk zdołałem pochylić głowę w kierunku dłoni. Następnie wypuściłem scyzoryk pomiędzy stulone dłonie

i schwyciłem go mocno palcami. Palce miałem napuchnięte i prawie bez czucia, gdyż krew nie przepływała przez skrępowane przeguby, otworzenie scyzoryka zabrało mi więc mnóstwo czasu. Kilka razy o mało nie wypadł mi z dłoni, co byłoby zupełną klęską, bo ręce miałem przywiązane do rury jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią i nie sięgnąłbym palcami do podłogi.

Począłem niezgrabnie manipulować palcami, przesuwając ostrze wzdłuż grubego kabla. Mogłem przesuwać scyzoryk jedynie pięć centymetrów w tę i z powrotem, i to bardzo powoli. Mocny kabel opornie poddawał się żmudnemu piłowaniu, chwilami wydawało mi się, że chyba szybciej przegryzłbym to świństwo zębami. Minęły całe wieki, kiedy wreszcie zdołałem przepołowić ostatni węzeł i opuścić uwolnione ręce ku ziemi.

Przez chwilę leżałem zupełnie bez ruchu, masując tylko pozbawionymi czucia palcami nabrzmiałe przeguby. Krew, która zaczynała krążyć, zdawała się wręcz rozsadzać mi żyły i czułem w dłoniach ukłucia tysięcy drobnych szpileczek. Ale mimo wszystko wolałem to uczucie niż kompletną drętwotę, jaka panowała wciąż w moich skrępowanych nogach.

Przecinanie więzów na nogach szło mi oczywiście o wiele szybciej.

Wreszcie wstałem z podłogi. „Wstałem" nie jest może tu najbardziej odpowiednim słowem. Chyba że nazwie się wstawaniem powolne, chwiejne i ponawiane kilkakrotnie unoszenie się z pozycji horyzontalnej do klęczek. Początkowo myślałem, że idzie mi tak niemrawo ze względu na opuchnięte i zdrętwiałe stopy. Kiedy jednak znalazłem się wreszcie w pozycji pionowej, błyskawicznie zrewidowałem swoją opinię co do stanu rzeczy. Poczułem jednocześnie szarpiący ból i mokrą strużkę spływającą po łydce lewej nogi. Spojrzałem w dół. Tuż nad kolanem miałem głęboką, szarpaną ranę. Nie miałem

pojęcia, skąd się to wzięło, ale wiedziałem na pewno, że leżenie na zabłoconym betonie nie było najlepszą kuracją w takim wypadku. Nie znajdowałem się jednak w Baden-Baden, tylko w piwnicy przestępców, i rozsądniej było rozejrzeć się w poszukiwaniu jakiegoś pręta czy rury niż bandaży. Spenetrowałem piwnicę dokładnie, ale znalazłem tylko zardzewiałą śrubę trzydziestocentymetrowej długości. Marne to było narzędzie obrony w przypadku, gdyby za drzwiami kotłowni stał jakiś strażnik. Z drugiej strony, w myśl zasady „jaki pan, taki kram", ten marny kawałek żelaza świetnie harmonizował w moją obecną zdolnością do walki. Zresztą i tak niczego innego w piwnicy nie było.

Podszedłem do drzwi. Nacisnąłem klamkę, odsuwając od siebie myśl, że może drzwi są zamknięte lub też siedzi za nimi goryl Smitha z pistoletem. Następnie zdarzyły się jeden po drugim dwa cudy. Cud numer jeden: drzwi w ogóle nie były zamknięte. Cud numer dwa: za drzwiami nie było nikogo. Nie byłem jednak w stanie się tym ucieszyć. Niedobrze było ze mną, jeżeli moje przetrwanie zależało już tylko od cudów.

Poszedłem ostrożnie wąskimi schodkami na górę. Prowadziły do dużego korytarza oświetlonego bocznymi kinkietami. Po obu stronach było kilka par drzwi. Rozpoznałem ten korytarz i jedne z drzwi – te, które wiodły do salonu. Znajdowałem się w domu Smitha, a on sam być może siedział teraz w salonie. Byłem jednak daleki od sprawdzania tego. Poszedłem w głąb domu. Jedne drzwi były lekko uchylone i dobiegały zza nich podniesione głosy. Przesunąłem się bliżej. Obok drzwi znajdowała się podtrzymująca w tym miejscu strop kolumna. Stanąłem za nią. Ponieważ interesujący mnie pokój mieścił się na samym końcu korytarza i dalej była już tylko ślepa ściana, miałem w tym miejscu zabezpieczone tyły, w razie gdyby znowu jakiś gorliwy kamerdyner plątał się

w pobliżu z kieliszkami. Nie miałbym oczywiście nic przeciwko temu, żeby mi taki kieliszek zaofiarował, ale moje uprzednie doświadczenia sugerowały, że w tym domu mogłem spodziewać się czegoś innego niż serwowania trunków.

Odpędziłem więc od siebie kuszącą wizję szklaneczki whisky i wytężyłem słuch.

– ...ale Steve wam nie wystarczył! Czy tego Polaka też tak potraktujecie?! Wreszcie otworzyły mi się oczy! Specjalnie dostarczałeś Steve'owi coraz większych dawek, żeby go od siebie uzależnić! I pomyśleć, że ja mu nie wierzyłam, kiedy mi tłumaczył, że jesteś bezlitosnym i okrutnym człowiekiem i że nigdy nie będziemy mogli się pobrać, jeśli ty będziesz w pobliżu nas! Myślałam wtedy, że Steve po prostu nie chce się ze mną ożenić, bo mnie nie kocha! Ale już przestałam być naiwna. Nie wmawiaj mi teraz, że Steve miał wypadek. Wypadek! W wyniku którego ma się kulę na środku czoła, tak? Kazałeś zabić najbliższego mi człowieka i potem pytasz, dlaczego jestem dla ciebie opryskliwa! Nie jestem opryskliwa, ja ciebie po prostu nienawidzę!

W głosie córki Smith'a brzmiały histeryczne nutki, ale nie słyszałem w nim płaczu, tylko zaciętość.

– Córeczko, uspokój się. Ktoś ci powiedział nieprawdę o Stevie. Nic mu się nie stało, musiał tylko wyjechać na kilka dni... – rozległ się uspokajający męski głos.

A więc Smith nie pozostał jednak w salonie, a mnie pisane widać było natykać się na niego w czasie, gdy prowadził ważne rozmowy. Tyle że w tej scenie główne kwestie wygłaszała Joan.

– Nikt mi nie powiedział nieprawdy! Widziałam Steve'a na własne oczy! Mógłbyś przynajmniej wobec mnie nie kłamać. Dość już dzisiaj powiedziałeś kłamstw temu cudzoziemcowi. I nie próbuj mi wmawiać, że sam upadł na te blachy w garażu! Zaraz mi powiesz, że on też musiał

wyjechać, tak? Wyjechał związany z garażu do kotłowni, a za dwa dni wyjedzie stąd na cmentarz, tak? Jak Steve!!! Ty nie jesteś kolekcjonerem obrazów, jesteś kolekcjonerem zbrodni!

W tym momencie musiałem się gwałtownie cofnąć za kolumnę, gdyż dziewczyna niespodziewanie wybiegła z pokoju, mijając mnie zaledwie o centymetry. Przez chwilę widziałem jej twarz. Malowało się na niej napięcie i wzburzenie. Nie widziałem ani rozpaczy, ani łez. Nie podobał mi się jednak nerwowy tik wykrzywiający jej regularne rysy co kilka sekund.

Odczekałem chwilę, ale Smith nie zdradzał chęci podążenia za córką. Poszedłem więc za nią ja.

Joan tymczasem znalazła się przy schodach na środku korytarza i zaczęła wbiegać na górę. Poczekałem sekundę i podążyłem jej śladem. Już po kilku krokach przekonałem się, że nie powinienem był odczekiwać ani chwili, jeżeli chciałem dotrzeć tam, gdzie Joan, w ciągu najbliższego kwadransa. Ze względu na moją rozharataną nogę mogłem tylko wspinać się mozolnie po jednym schodku. Z rany skapywała kroplami krew. Schody były wyłożone ciemnoczerwonym chodnikiem, ale i tak pozostawiałem za sobą ciemne plamy. Ogólnie rzecz biorąc znacznie przyczyniłem się do zrobienia nieporządków w tym domu. Najpierw rozbiłem lokajowi kieliszki na tacy podczas ucieczki, potem zostawiłem w piwnicy poprzecinany dobry, wielce użyteczny kabel, a teraz te plamy. Potrząsnąłem ze smutkiem głową nad swoim flejtuchostwem i z wysiłkiem pokonałem ostatnie schody podestu.

Na piętrze rozkład wnętrz był identyczny jak na parterze. Duży korytarz ze spiralą schodów na środku i szeregiem drzwi po obu stronach. U sufitu wisiał olbrzymi kryształowy żyrandol, teraz nie zapalony, na ścianie znajdowało się kilka olejnych obrazów w ciężkich złotych ramach. Podłoga była wyłożona czerwonym grubym

dywanem, wzdłuż ścian biegła wysoka, dębowa boazeria. Całość w rezultacie różniła się wyglądem od co większego teatru lub staroświeckiego hotelu tylko kosztownością poszczególnych elementów – stopień brzydoty był ten sam.

Zastanawiałem się właśnie, czy takie same nuworyszowskie gusta ma Joan, która wydawała mi się być ulepiona z zupełnie innej gliny niż jej uroczy tatuś. Miałem to sprawdzić na własne oczy, gdyż dziewczyna wbiegła tymczasem do jednego z pokoi, pozostawiając za sobą uchylone drzwi. Korytarz był zupełnie pusty, więc nie kryjąc się poszedłem szybko w tamtą stronę. Uchyliłem ostrożnie drzwi i spojrzałem do wnętrza. Słusznie oceniłem gust Joan jako zupełnie odmienny od ojcowskiego. Pokój, na który spoglądałem, był sypialnią. Ściany od góry do dołu wyłożono matami. Na samym środku stało ogromne niskie łóżko przykryte białą atłasową narzutą, na której leżało kilka seledynowych poduszek. Poza tym przy łóżku stała mała szafka z jasnego drewna, a pod ścianą na szerokiej ławie ustawiony był połyskujący niklem sprzęt hi-fi. Ponadto w wielu punktach pokoju ustawiono wazony z mnóstwem kwiatów. Kontrast prostoty tej sypialni z przeładowanymi i nużącymi czerwonozłotymi wnętrzami w pozostałej części domu, był rzeczywiście uderzający.

Na skrzyp uchylanych przeze mnie drzwi poderwała się leżąca na łóżku Joan. Zanim miałem czas cokolwiek zrobić, dziewczyna sięgnęła pod poduszkę i w tej samej chwili znalazłem się wobec wymierzonego we mnie pistoletu.

Mimo głębokiej niechęci do spotykania na swojej drodze Mr Smitha wolałbym jednak, żeby w tym momencie trzymał tę broń jednak ojciec Joan, niż ona sama. Kobiety na granicy histerii, zaskoczone nagle wejściem obcego człowieka, mogą być bardziej niebezpieczne od oddziału

komandosów palestyńskich. Toteż bardzo cicho i spokojnie powiedziałem:

– Panno Smith, nie zamierzam pani zrobić nic złego. Proszę odłożyć broń.

– Niech pan stąd idzie! Jeśli ojciec chce mnie zabić, to niech to zrobi osobiście, a nie przez pośredników! – wykrzyknęła Joan. Znów te histeryczne nutki w głosie.

Uniosłem lekko brwi do góry.

– Przecież pani doskonale wie, że pani ojciec mnie uwięził, więc nie mogę być przez niego przysłany. I to jeszcze po to, żeby panią zabić!

– Ale teraz jest pan wolny, a nikt nie potrafi się sam uwolnić, kiedy Mike go zwiąże. Ja już nikomu nie wierzę. Mój własny ojciec okazał się mordercą, a więc pan może być jego najemnikiem! – Dziewczyna nie wypuszczała pistoletu z dłoni i wcale nie wyglądało na to, że ma zamiar to zrobić w najbliższej przyszłości.

Nie miałem czasu ani ochoty na długie rozhowory. Zwłaszcza wobec pistoletu wycelowanego w moją pierś. Chwyciłem się nagle za lewe udo i zachwiałem się. Potem wydałem z siebie artystyczny jęk. Zabrzmiał niezwykle przekonywająco, nie tyle dzięki moim aktorskim zdolnościom, ile rzeczywistej wzbudzającej mdłości fali bólu, jaki przeszył moją wciąż krwawiącą nogę. Chwyciłem się framugi drzwi i jęknąłem jeszcze raz. Efekt był natychmiastowy.

– Pan jest ranny! – podbiegła do mnie przestraszona dziewczyna. – Niech pan nie staje na tej nodze, trzeba to zaraz opatrzyć – pochyliła się nade mną w opiekuńczym geście.

Więcej nie było mi trzeba. Chwyciłem ją za przegub ręki i energicznie wyszarpnąłem z jej zaciśniętej dłoni pistolet. Odsunąłem się o krok i stanąwszy za nią objąłem ją, kładąc jednocześnie rękę na jej ustach.

– Niech pani nie krzyczy. Nie zrobię pani nic złego,

chcę tylko z panią porozmawiać – powiedziałem szybko uspokajającym tonem.

Dziewczyna stała zupełnie nieruchomo, ale nie miałem złudzeń. Nie żywi się sympatii do kogoś, kto grając na samarytańskich uczuciach potrafi tak zdradzać zaufanie. A ja niestety potrzebowałem teraz jej sympatii bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Pchnąłem drzwi tak, że zamknęły się z cichym trzaskiem, po czym podprowadziłem Joan w kierunku łóżka i zapytałem:

– Jeżeli odkryję pani usta, nie będzie pani krzyczeć?

Potrząsnęła przecząco głową. Opuściłem więc rękę i wstałem, cofając się z wymierzonym w jej kierunku pistoletem. Dziewczyna odetchnęła głęboko i patrząc na mnie z wyraźną nienawiścią powiedziała cedząc słowa:

– I pomyśleć, że panu zaufałam! Steve zawsze mi tłumaczył, że dobroć nie popłaca. No, niech pan strzela! Na co pan czeka!

– Nie słuchała pani tego, co mówiłem przed chwilą – powiedziałem spokojnie. – Nie przysłał mnie pani ojciec, wręcz przeciwnie, on nie podejrzewa, że tu jestem. Jest przekonany, że leżę w kotłowni, bo jak pani sama powiedziała, Mike umie dobrze związywać ludzi. Udało mi się jednak stamtąd wydostać. – Pokazałem jej moje miejscami fioletowe, miejscami czerwone, a wszędzie jednakowo opuchnięte przeguby rąk. – Chciałem z panią porozmawiać, ale bez pośrednictwa tej zabawki – mówiąc to zabezpieczyłem pistolet i schowałem go do kieszeni.

Ta ostatnia demonstracja była chyba bardziej przekonywająca niż słowa. Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma, w których nie było już nienawiści, ale wciąż pozostawało przerażenie.

– Niech pani posłucha – mówiłem z naciskiem. – Jesteśmy po jednej stronie. Pani ci ludzie zabrali Steve'a, a mnie aż kilka bliskich osób. Chciałbym, żeby pani

wysłuchała, co mam do powiedzenia, a potem zrobi pani to, co zechce. Ale musi pani uwierzyć, że jestem przyjacielem, a nie wrogiem – patrzyłem na nią w napięciu.

– Skąd pan wie o Stevie? – Joan nadal spoglądała na mnie nieufnie.

– Słyszałem przed chwilą pani rozmowę z ojcem, a poza tym skojarzyłem kilka faktów.

– Kim pan właściwie jest? Dlaczego zamknęli pana w piwnicy? Jest pan naprawdę Polakiem? – zasypała mnie pytaniami.

To był dobry znak, skoro doszła do głosu ciekawość – znikała nieufność.

– Opowiem wszystko po kolei, a potem może pani pytać o szczegóły, dobrze? Chciałbym, żeby mnie pani dobrze zrozumiała, więc opowieść będzie raczej długa.

Podszedłem do stojącego pod oknem krzesła i usiadłem na nim ciężko. Zacząłem macać po kieszeniach, ale oczywiście nie znalazłem papierosów. Zapewne Mike wiążąc mnie nie omieszkał ich zabrać wraz z portfelem i zapalniczką. Joan, spojrzawszy na mnie domyślnie, podała mi dunhille i zapalniczkę. Przez chwilę paliłem w milczeniu. Wreszcie spojrzałem na przyglądającą mi się w skupieniu dziewczynę.

– Niech pani sobie wyobrazi, że opowiadam bajkę – zacząłem cicho. – Dawno, dawno temu w dalekim kraju żył sobie pewien pan i pewna pani. Bardzo się kochali, więc wzięli ślub i po pewnym czasie urodził im się ukochany synek. Wiodło im się również w pracy zawodowej. Pewnego dnia znaleźli w starej cerkiewce zabytkową ikonę. Ponieważ byli historykami sztuki, więc to znalezisko było dla nich bardzo cenne.

Urwałem na chwilę. Zgasiłem jednego papierosa i niemal natychmiast sięgnąłem po drugiego.

– W tym miejscu – podjąłem opowieść suchym głosem – bajka przestaje być wesoła. Zła wróżka pozazdrościła

szczęścia tej parze. Na scenie pojawił się złoczyńca. Ukradł ikonę, zabijając przy tym bohatera bajki. W wyniku szoku zmarła żona naszego bohatera, a ich mały syn został sierotą. Zaopiekował się nim jego wuj, brat naszego bohatera... I to już koniec bajki. Niestety, źle się kończy – zgasiłem papierosa.

Joan patrzyła na mnie z rozszerzonymi oczyma.

– Nie rozumiem, dlaczego pan mi to opowiedział – rzekła marszcząc brwi.

– O, chyba rozumie pani całkiem dobrze. To właśnie o tej ikonie rozmawiałem dziś z pani ojcem – odpowiedziałem patrząc na nią uważnie.

– Czy... czy to znaczy, że ktoś tę ikonę ukradł i popełnił morderstwo? Ależ to niemożliwe! Ten obraz był u nas, odkąd tylko pamiętam – dziewczyna patrzyła na mnie nieufnym wzrokiem. – Pan musi mieć jakieś złe informacje!

– Proszę pani, moje informacje są jak najbardziej prawdziwe – powiedziałem z krzywym uśmiechem. – Jest to rzecz, której jestem tak pewien, jak niczego na świecie. To ja jestem bratem tamtego człowieka.

Joan zerwała się z miejsca.

– Ależ...

– Chwileczkę – przerwałem jej. – Niech mnie pani wysłucha do końca. Wtedy, wiele lat temu, kiedy się to wydarzyło, byłem młody i zapalczywy. Poprzysiągłem sobie, że odnajdę mordercę. Dziś nie jestem już tak młody i gwałtowny, ale nie zmieniłem postanowienia. Jedynym śladem tego człowieka była ta ikona. Dwa miesiące temu obraz pojawił się po raz pierwszy na aukcji w Londynie. Przyjechałem tutaj. Byłem umówiony z moim przyjacielem, który zdobył dla mnie tę informację i obiecywał listownie przekazać dalsze wiadomości przy spotkaniu. Kiedy przybyłem do hotelu, mój przyjaciel był w moim pokoju. Zamordowany strzałem w głowę.

W pokoju zapadło milczenie. Miałem rozpalone ciało, w lewej nodze czułem tępy ból, który rósł z minuty na minutę, ponadto goryle Smitha zadbali, żeby wszystkie punkty mojego ciała były równomiernie pobite. Rozejrzałem się wokół, po czym zapytałem bez nadziei w głosie:

– Nie ma pani przypadkiem trochę whisky? Tam w kotłowni było trochę zimno ... – uśmiechnąłem się blado, ale mój uśmiech nie zmylił Joan.

– Pan traci siły. Trzeba się położyć. Przecież tę nogę powinno się natychmiast opatrzyć. Zaraz pójdę po bandaże – podniosła się z miejsca.

– Niech pani zostanie – zatrzymałem ją. – Czy sądzi pani, że ojciec byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że człowiek, którego kazał tak pieczołowicie związać, jest na wolności i rozmawia właśnie z jego córką?

Joan zawróciła od drzwi.

– Nie trzeba mi na razie żadnych bandaży – zapewniłem ją. – Wystarczyłaby odrobina whisky.

– Tak, mam trochę. – Joan posłusznie sięgnęła do szafki. – Od czasu, kiedy ze Steve'em zaczęły się kłopoty... – urwała.

Wziąłem do ręki podaną mi butelkę i łyknąłem, nie korzystając ze stojącej obok szklanki. Moja noga domagała się natychmiastowej akcji, cywilizowany sposób picia mógłby taką akcję opóźnić. Piekąca żywym ogniem whisky spłynęła mi do gardła i po chwili odczułem jej błogosławione skutki. O ile przed chwilą czułem się tak, jakby moją nogę szarpała jedna żarłoczna barrakuda i pięć piranii, to teraz barrakuda i co najmniej jedna pirania opuściły moje towarzystwo. Usiadłem obok Joan i zapaliłem kolejnego papierosa. Po chwili powiedziałem:

– Na czym skończyłem? Ach tak, mówiłem o śmierci Nicka, mojego przyjaciela. Domyślałem się, że ma to

– Zostaw mnie! Nie chcę niczyjej pomocy! Mój własny ojciec ... – głos Joan łamał się, ona sama odtrąciła mnie i upadła na łóżko, zakrywając twarz rękami.

Pochyliłem się nad nią i powiedziałem miękko:

– Ja wcale nie powiedziałem, że to twój ojciec był mordercą mojego brata. Tę ikonę kupił od przyjaciela. To on ukradł ją w Polsce i zabił mojego brata. Wydarzyło się to wiele lat temu i możesz o tym nie wiedzieć. Nie myśl już o tamtej historii, trzeba pomyśleć o teraźniejszości. Potrzebuję twojej pomocy i dlatego tutaj przyszedłem. – Starałem się nadać mojemu głosowi sugestywne brzmienie, chciałem odsunąć od niej wspomnienia i rozpacz. Przed chwilą niepostrzeżenie przeszliśmy na ty i miałem nadzieję, że gdy dziewczyna znów przyjdzie do siebie, nie będzie wracała do oficjalnych form.

Mówiłem szczerze prosząc Joan o pomoc. Tylko od niej teraz zależało, czy będę mógł realizować dalej swoje plany i tylko ona mogła być moim sojusznikiem w tym domu. Miałem także nadzieję, że konieczność działania odsunie od niej świadomość tragedii, jaka się wokół niej rozgrywała. Bałem się tylko, czy ta delikatna, rozpieszczana całe życie dziewczyna zdoła znieść natłok przerażających rewelacji, jakie spotykały ją dzisiejszego dnia. Najpierw przypadkowo natknęła się na ciało zamordowanego narzeczonego, potem gadatliwy Mike wyjawił, że to jej własny ojciec jest sprawcą tej tragedii, a na koniec zjawiłem się niespodziewanie ja z moimi ponurymi bajkami, które na domiar złego były prawdziwe.

Patrzyłem na skuloną postać i ogarnęły mnie wątpliwości. Tę dziewczynę należało teraz otoczyć opieką i spokojem, a nie wplątywać w porachunki z szajką. Ale w obecnej sytuacji jedyną opieką, jakiej mogła oczekiwać, była ta, która pochodziła ode mnie; w tym domu nie było bezpiecznie nawet dla niej.

Kiedy tak rozmyślałem, Joan uspokoiła się trochę

i w pewnym momencie podniosła się z łóżka, i zniknęła w przylegającej łazience. Wróciła po chwili uczesana i z suchymi już oczyma, niosąc ze sobą bandaże i środki dezynfekcyjne.

– Już mi przeszło – uśmiechnęła się do mnie niepewnie. – Przepraszam za ten atak histerii. To ja tobą powinnam się zająć, a nie na odwrót – powiedziała cicho. – Znalazłam trochę bandaży w łazience. Chodź, muszę cię opatrzyć.

Zanim miałem czas zaprotestować, dziewczyna przyklękła i zajęła się moją nogą. Podczas naszej burzliwej rozmowy na moment wręcz zapomniałem o tym, co się dzieje w okolicach mojego lewego uda. Samo dotknięcie nawilżonego spirytusem tamponu przypomniało mi o tym w mgnieniu oka falą bólu znacznie silniejszego niż dotychczas. Poszarpane brzegi rany zaczęły znów obficie krwawić, a uszkodzonym mięśniem szarpały co sekundę skurcze. Sięgnąłem po kolejną whisky, myśląc jedynie w przelocie, że jeżeli wyjdę kiedykolwiek z tej historii żywy, nie zabity ani szybko z rewolweru Smitha, ani powolnie przez gangrenę, to i tak mam w perspektywie delirium tremens. W ciągu ostatnich dwóch dni wypiłem więcej takich szklaneczek whisky niż przez ostatnie półrocze.

Joan była widać tego samego zdania, bo skończywszy opatrunek, wyjęła mi z ręki szklankę i powiedziała z lekką przyganą:

– Nie powinieneś tyle pić. Potrzeba ci pomocy lekarskiej, a nie whisky.

Spojrzałem na przejętą twarz Joan i zrozumiałem, co ją popchnęło w kierunku Steve'a. Ta dziewczyna miała w sobie niewyczerpane zapasy uczuć. Całe życie spędziła w nieprzytulnych internatach, podawana sobie z rąk do rąk przez stale zmieniające się płatne opiekunki nie miała nigdy matczynej opieki. Ojciec, zajęty gangsterski-

mi interesami, na pewno nie poświęcał jej zbyt wiele czasu, dbając jedynie o to, by nie brakowało jej żadnych dóbr materialnych. W tych warunkach w Joan wytworzyła się naturalna skłonność do opiekowania się innymi, obdarzania uczuciami tych, którzy są jakoś pokrzywdzeni. Była podobna do June Forsyte z powieści Galsworthy'ego – tak samo opiekowała się „kulawymi kaczętami" Takim „kulawym kaczęciem" był Steve – narkoman, człowiek słabego charakteru, a teraz stałem się nim i ja – więziony przez jej ojca i w stanie fizycznym, który kwalifikował się do udzielenia wyspecjalizowanej pomocy lekarskiej. Dlatego pewnie Joan tak spontanicznie zajęła się pielęgniarską pomocą dla mnie.

Ze względu na to, co się działo z moją nogą, wolałbym, żeby ta pomoc nie trwała zbyt długo, ale ze względu na Joan mógłbym być inwalidą do końca życia. Coś z tego musiało się chyba odbić w wyrazie mojej twarzy, bo nagle Joan spuściła głowę i zaczęła nerwowo zbierać rozrzucone bandaże. Po chwili spojrzała na mnie znowu.

– Musisz stąd jak najszybciej uciekać, zanim oni odkryją, że uwolniłeś się z tej kotłowni. Pomogę ci wydostać się z domu, ale nie możesz stąd uciec samochodem, bo by usłyszeli. A ta twoja noga ... – spojrzała zafrasowana na przesiąkające już bandaże. – Czy będziesz mógł iść piechotą?

– Czuję się świetnie – zapewniłem ją z pokrzepiającym uśmiechem, chociaż to stwierdzenie było dalekie od prawdy. – Ale nie mogę teraz uciekać. Najpierw chciałbym się dowiedzieć od ciebie kilku rzeczy, a potem powiem ci, co będzie dalej.

– Pytaj – odpowiedziała zrezygnowanym głosem. – Skoro nie mam już Steve'a, to może będę mogła chociaż tobie jakoś pomóc.

– Zanim mnie pochwycili, udało mi się podsłuchać rozmowę twojego ojca z Mike'em. Rozmawiali o jakimś

planie czy rysunku, który był na odwrocie ikony i został potem zamalowany. Oglądałem obraz i rzeczywiście są tam ślady usuwania czegoś. Czy wiesz, o jakim planie mowa? – spytałem słuchającą mnie uważnie dziewczynę.

– Nie, nie oglądałam ikony z odwrotnej strony. Zresztą ojciec nigdy nie wtajemniczał mnie w swoje plany i sprawy. Na przykład dopiero dzisiaj wieczorem powiedział mi, że jutro rano wyjeżdżamy za granicę.

– Za granicę? Kiedy ci to powiedział? – zainteresowałem się.

– Teraz, zanim przyszedłeś do mojego pokoju – odrzekła Joan. – Oczywiście nie zgodziłam się na takie dysponowanie moim życiem, jakbym była pięcioletnim dzieckiem. Powiedziałam mu to, a potem także o Stevie... – urwała nagle.

– Tak, wiem, co wtedy powiedziałaś – pomogłem jej. – Czy wiesz, dlaczego macie tak nagle wyjechać? Czy ojciec chce uciec przed policją?

– Och, nie! – zaprzeczyła dziewczyna wruszając ramionami. – To miał być wyjazd na kilka dni, gdzieś na północ czy wschód, bo ojciec kazał mi spakować cieplejsze rzeczy. Powiedział, że tam jest chłodniejszy klimat. Chwileczkę – Joan zmarszczyła brwi wytężając pamięć. – Ojciec powiedział jeszcze coś dziwnego. Zapytałam go, dlaczego tak się spieszy z tym wyjazdem jak do pożaru. A na to on roześmiał się i odparł, że nie do pożaru, ale wprost przeciwnie, do powodzi. Że musi zdążyć właśnie przed powodzią. Nie rozumiem, co to miało oznaczać – spojrzała na mnie pytająco.

– Ja na razie też nie – wzruszyłem lekko ramionami. – Spróbuję się tego niedługo dowiedzieć. Czy możesz mi teraz pomóc? – spytałem chwytając ją za rękę.

– Tak, oczywiście. Nie chcę, żeby i ciebie dopadli. Boże, jak ja ich wszystkich nienawidzę – wzdrygnęła się dziewczyna.

– Ale ja nie chcę uciekać – wyprowadziłem ją z błędu. – Przynajmniej nie tak zupełnie. Muszę się teraz wydostać z tego domu i znaleźć najbliższy telefon. Wrócę niedługo i chciałbym, żebyś przez ten czas pilnowała wejścia do kotłowni. Gdyby ktoś chciał sprawdzić, czy tam jestem, to musisz go jakoś powstrzymać. Czy potrafisz to zrobić?

– Ale ... ale dlaczego? Dlaczego nie uciekasz? – Joan patrzyła na mnie zdziwiona.

– Jestem umówiony z kimś w Warszawie, kto czeka dzień i noc na mój telefon. Muszę więc za wszelką cenę zadzwonić, ale jednocześnie nie mam zamiaru zrywać tak mile zaczętej znajomości z twoim ojcem i jego świtą. – Uśmiechnąłem się do niej trochę krzywo. – Nic się nie bój, oni nie zrobią mi nic złego. Potrzebują mnie – powiedziałem uspokajająco. – Gdzie jest najbliższy telefon?

– Na farmie, trzysta jardów stąd – odpowiedziała szybko Joan.

– Nie, to na nic – przerwałem jej. – To musi być publiczna budka telefoniczna.

– Są automaty na skraju osady, za lasem, ale to prawie półtorej mili stąd, i to najkrótszą drogą. Przecież nie możesz iść z taką nogą! – protestowała gwałtownie.

– Może i nie mogę, ale na pewno muszę – powiedziałem stanowczo. – Czy możesz mi pomóc wydostać się z tego domu niepostrzeżenie i potem pilnować kotłowni?

– Ale dlaczego ... – dziewczyna przerwała, gdyż położyłem jej palec na ustach.

– Nie pytaj. Musisz mi po prostu zaufać. Zgadzasz się zrobić to, co powiedziałem? – spytałem z naciskiem.

– Tak. – Głos dziewczyny nabrał mocy. – Wyprowadzę cię stąd, jeśli sobie tego życzysz. Tu jest boczne wyjście, mam do niego klucz. Nikt nie będzie cię widział.

– Dobrze – odparłem podnosząc się z miejsca. – Zabieram ze sobą twój pistolet. W moich rękach jest przydat-

niejszy niż w twoich. Daj mi też trochę drobnych monet, dobrze? Idziemy, nie ma wiele czasu – podałem jej rękę.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i w milczeniu wyprowadziła mnie na korytarz.

Była już głęboka noc i w całym domu panowała niczym nie zmącona cisza. Przeszliśmy ostrożnie przez hall i Joan otworzyła wyjętym z torebki kluczem boczne drzwiczki. Za nimi były wąskie schodki prowadzące bezpośrednio na podwórko. Przebiegliśmy skuleni przez dziedziniec pogrążony w egipskich ciemnościach. Za bramą zatrzymaliśmy się.

– Trzeba pójść tą drogą – pokazała ręką Joan. – Cały czas prosto, a kiedy będzie rozwidlenie – w prawo. Dojdziesz w ten sposób do stacji benzynowej, nieczynnej w nocy. Jest tam kilka automatów.

– Czy można z nich dzwonić do innego miasta?

– Tak. Kiedyś nawet dzwoniłam do Paryża do mojej szkoły, kiedy telefon u nas był zepsuty i nie mogłam zawiadomić internatu o terminie mojego powrotu z wakacji zimowych – odrzekła Joan.

– No dobrze, idę. Uważaj na siebie. – Ścisnąłem rękę dziewczyny i chciałem ruszyć naprzód.

– To ty bądź ostrożny – zatrzymała mnie Joan. – Boję się o ciebie... Jak masz na imię? – spytała mnie nagle.

– Marcin.

– Good luck, Marcin! – powiedziała cicho i odeszła szybkim krokiem.

Zostałem sam wobec niemiłej perspektywy półtoramilowej wędrówki ze zranioną nogą. Na domiar złego ten marsz musiałem odbywać szybko, gdyż nie mogłem skazywać Joan na długotrwałe czatowanie w pobliżu kotłowni. Nie miałem pojęcia, czy uda się jej w razie czego zapobiec sprawdzeniu mojej obecności w piwnicy. Wolałem nawet nie myśleć o konsekwencjach, w razie gdyby się jej nie udało.

Chyba tylko ta świadomość ponaglała mnie do marszu. Teraz nie tylko moja noga, ale całe ciało protestowało przeciw temu, co robiłem. Droga, którą podążałem, z pewnością nie była ścieżką zdrowia. Co prawda były na niej najrozmaitsze przeszkody w postaci błotnistych i piaszczystych odcinków na przemian, w których jednakowo beznadziejnie grzęzłem, niespodziewanych wyrw i rozrzuconych gałęzi, o które się potykałem, ale nie sądziłem, żeby moje zdrowie miało się poprawić po tym marszu.

Minęła wreszcie wieczność cała i znalazłem się przy zamkniętej na głucho stacji benzynowej. Okna budynku były ciemne. Tabliczka zawieszona na drzwiach głosiła, że stacja Jacka Milla jest na usługi kierowców w godzinach od szóstej rano do jedenastej wieczorem. W pozostałych godzinach radzono kierowcom podjechać do stacji kolejowej, gdzie znajdowała się stacja benzynowa czynna przez całą dobę.

Obok budynku stały dwie budki telefoniczne. Wszedłem do jednej z nich. Automat rzeczywiście był przystosowany do międzynarodowych rozmów telefonicznych, a co najważniejsze – nie był zepsuty. Załatwiłem najpierw kilka długich, a owocnych telefonów zamiejscowych, po czym wykręciłem numer Adama. Nikt jednak nie podnosił słuchawki. Poczekałem chwilę, a potem spróbowałem jeszcze raz, również bez rezultatu.

„Pewnie Miłość przez duże M pomiędzy moim zwariowanym bratankiem a Moniką kwitnie i rozwija się. Na pewno gdzieś się razem włóczą – pomyślałem westchnąwszy z rezygnacją. – Trzeba wracać".

Pokuśtykałem z powrotem ku Hampton Court.

Rozdział ósmy

Śniło mi się, że byłem z Adamem na wycieczce. Szliśmy długą parkową aleją. W pewnym momencie zapadła ciemność i nagle przed nami pojawił się olbrzymi koń. Galopował wprost na nas i rzuciłem się w kierunku Adama, żeby usunąć go z drogi rozszalałego zwierzęcia. Ale Adam nagle wskoczył na tego konia i zmienił się w Smitha. Ojciec Joan spinał do skoku konia i raz po raz koń lądował czterema kopytami na moim ciele. Usiłowałem uciec, ale Smith wciąż mnie doganiał i tratując wykrzykiwał: „Wstawaj do cholery, wstawaj! Nie myśl, że to pensjonat!"

Otworzyłem szeroko oczy. Nade mną zamiast Smitha na koniu stał Mike, ale słowa, które wykrzykiwał, były te same. Leżałem na mokrej podłodze w kotłowni, a obok mnie leżały przecięte więzy, które z pomocą Joan zamotałem tak skwapliwie kilka godzin temu. Mike stał nade mną trzymając pistolet i kopał mnie raz po raz. Jeżeli chodziło mu o sprawienie mi bólu, to mógł oszczędzić sobie wysiłku. Przed ponownym związaniem w kotłowni zerwałem z nogi bandaże, które założyła mi Joan. Rana oczywiście zaczęła na nowo krwawić, ale zdaje się, że to, czy były na niej jakieś bandaże, czy nie, nie miało większego znaczenia. I tak całą nogę miałem spuchniętą, rozognioną i przeszywał ją rwący ból przy każdym poruszeniu. Poza tym wszystkie pobite wczoraj miejsca, a zwłaszcza tył mojej czaszki, natychmiast po moim ocknięciu zaczęły dobitnie a dotkliwie przypominać o swoim istnieniu. W tej sytuacji nie sprawiało mi już większej różnicy, czy Mike wyżywa się na moich bokach, czy nie.

Jednak po którymś szczególnie dotkliwym ciosie podkutych butów podniosłem niechętnie głowę i burknąłem nieprzyjaźnie:

– Czego chcesz? Smith ci płaci od każdego kopniaka?

– O, ścierwo jeszcze mówi! – ucieszył się rozkosznie Mike. – Za mało dostałeś, co?

Znów poczułem kopnięcie, które odrzuciło mnie aż na ścianę.

– Zapisałeś się do klubu piłkarskiego? – stęknąłem. – Trenujesz na mnie, bo na piłkę mama nie dała pieniążków?

– Zamknij się! – warknął Mike i przysunął się znów do mnie.

– Zostaw go! – padł od drzwi ostry rozkaz.

– Dlaczego? – Mike obrócił się do stojącego w progu Smitha. – Takiemu s..., który pcha nos nie w swoje sprawy, warto czasem kości porachować.

– Powiedziałem, zostaw go – głos Smitha był zimny. – Jest nam potrzebny.

– Potrzebny? – zdziwił się niepomiernie Mike. – Do czego takie coś – tu trącił mnie pogardliwie butem – może być potrzebne?

– To przekracza twoją kurzą inteligencję, ale być może w przyszłym życiu, jeżeli takie pokraki jak ty w ogóle mają jakieś przyszłe życie, dostaniesz większy mózg i wtedy zrozumiesz – zabrałem głos w dyskusji.

Skutek był natychmiastowy. Mike, nie zważając na nic, rzucił się ku mnie z nienawiścią w oczach. Ale ja byłem przygotowany na jego atak, który sam celowo sprowokowałem. Kiedy się zamachnął, żeby mi wymierzyć potężnego kopniaka, sprężyłem się w sobie i poderwałem nagle z ziemi. Zwaliłem go silnym pchnięciem biodra na podłogę, po czym wymierzyłem mu kilka tylko ciosów, za to włożyłem w nie wszystkie umiejętności plus uczucia, jakie do niego żywiłem. Mike znał judo i karatę w stopniu elementarnym, do bicia kogoś skutecznie potrzebował zawsze jeszcze dwóch trzymających ofiarę kompanów, walka przy równych szansach nie była jego

najmocniejszą stroną. Jednakże jego wyłącznym zadaniem było spełnianie funkcji goryla i w tym celu ćwiczył swoją kondycję, natomiast ja wciąż jeszcze doznawałem przy każdym gwałtowniejszym ruchu zawrotów głowy, nie mówiąc o tym, że lewą nogę musiałem wyłączyć z akcji. Toteż po kilku moich ciosach, przyjmowanych przez Mike'a zupełnie biernie z powodu zaskoczenia, mój przeciwnik zebrał się w sobie i ruszył do ataku. Efekt jego ciosów spotęgowany był jeszcze przez moje poprzednie obrażenia i każde brutalne, dobrze wymierzone uderzenie odczuwałem w sposób zwielokrotniony. Ale nie miałem już ochoty ani powodu do bierności. Zacząłem stosować ciosy, które na treningu karate są tylko markowane i byłem na najlepszej drodze do zatłuczenia Mike'a dosłownie na śmierć, gdyby nie interwencja Smitha:

– Dosyć tego! Rozdzielcie ich!

Na ten rozkaz rzuciło się ku nam dwóch ludzi i chwyciło mnie mocno od tyłu, wykręcając mi ręce. Niechętnie, ale dałem się odciągnąć. Tymczasem Mike pozbierał się już z ziemi. Zrobił kilka chwiejnych kroków, stanął obok mnie i zamachnął się mieląc w zębach słabo artykułowane, ze względu na jego rozbite wargi, ale za to dosadne przekleństwa. Sądząc po dzikiej nienawiści, jaką miał w oczach, mogłem oczekiwać ciosu, który znowu pozbawi mnie przytomności. To, czego oczekiwałem, nie nastąpiło jednak.

– Powiedziałem: dosyć tego! – padł od drzwi twardy rozkaz Smitha.

Mike jak odpędzony pies odsunął się ode mnie, ale jego mina wyraźnie świadczyła, że nasze rachunki nie są jeszcze zakończone. Ja zresztą też miałem nadzieję, że nie.

– A ty nie bądź taki bojowy, bo oberwiesz jeszcze więcej! – Smith teraz mnie z kolei wpajał dobre maniery.

– To już nie jesteśmy na „pan"? – zdziwiłem się nie-

winnie. – Nie przypominam sobie, żebyśmy w tej piwnicy pili brudzia.

– Szefie, jemu trzeba założyć obrączki, to się uspokoi – wtrącił jeden z trzymających mnie goryli.

– Dobrze! – rzucił Smith odwracając się do wyjścia. – I na górę z nim.

Na górę zostałem poprowadzony z liczną eskortą. Na początku szedłem ja, z rękami skutymi z tyłu solidnymi stalowymi kajdankami, ze mną Mike, mrucząc przy tym szczegółową, choć niecenzuralną charakterystykę moich przodków i trzymając pistolet wbity cały czas w moje żebra. Pochód zamykało dwóch pozostałych ludzi Smitha.

W salonie oczekiwał mnie komitet powitalny złożony ze Smitha i jakichś dwóch ludzi, których nie znałem. Smith nakazał gestem ręki pozostać Mike'owi, a resztę ekskorty odprawił.

Rozejrzałem się wokół. Gęby Mike'a i Smitha były mi znane aż za dobrze, poświęciłem więc uwagę pozostałej dwójce.

Jeden stał pod oknem wsparty o futrynę. Nosił okulary w grubej, ciemnej oprawie. Twarz miał wąską, o szarej, niezdrowej cerze. Jego krótko przystrzyżone włosy i luźne, nie najlepiej skrojone ubranie miały ten sam szarawy odcień. Szczupłe, drobne ręce machinalnie bawiły się ołówkiem. Ten człowiek w niczym nie przypominał uśmiechniętych i brutalnych ludzi z przybocznej gwardii Smitha. Tuż obok niego stał pochylony do przodu niski człowiek w ciemnym garniturze. Jego okrągła twarz świeciła się od potu, wąskie oczy świdrowały mnie niespokojnie. Na nerwowo bębniących o klapę marynarki palcach połyskiwały złote sygnety. Ponieważ wygląd tych dwóch wykluczał pełnienie przez nich funkcji Smithowych goryli, to musiałem widocznie stać przed tutejszym trustem mózgów.

Jeszcze raz demonstracyjnie rozejrzałem się wokół.

– No proszę, aż tyle osób zebrało się, żeby mi powiedzieć „dzień dobry"! A co z moją uroczą znajomą, panną Southwell? Nie będzie jej?

– Miss Southwell? – uniósł brwi Smith. – Znasz ją, Skolimowski?

– Nie udawaj, Smith, przecież wiesz, że tak. To dziewczyna z twojej bandy – skrzywiłem się. – Byliście cały czas z nią w kontakcie.

– A mówiłem, że to on włamał się do galerii, kiedy Lorraine rozmawiała ... – wykrzyknął tryumfalnie niski człowiek pod oknem.

– Zamknij się! – przerwał ostro Smith. – Jasne, że on. Gdybyś tego nie zrobił – zwrócił się do mnie pogardliwie – to Lorraine wodziłaby cię za nos do tej pory.

A więc moje kunsztowne telefoniczne „alibi" nie przekonało ich, ale postanowiłem choć teraz nie dać im ani cienia satysfakcji.

– Nie, tego, że piękna Lorraine ma coś na sumieniu, domyśliłem się dużo wcześniej – zaprzeczyłem. – Od momentu, kiedy u „Marty's" napadł na mnie Mike (bo to był on, prawda?) ze swoimi kompanami. Jedyną osobą, oprócz kierownika naszej wycieczki, która wiedziała, że wybieram się właśnie tam, była panna Southwell. Ten napad nastąpił natychmiast potem, kiedy zdradziłem swoje zainteresowanie obrazem. To jest pierwsza sprawa, ale nie ostatnia. Oto punkt drugi: podczas naszego spotkania dużo rozmawialiśmy. Być może nawet zbyt dużo, bo Lorraine stała się niekonsekwentna. Najpierw stwierdziła, że nie zna się na sztuce i zajmuje wyłącznie sportem, a zaraz potem zaczęła szczegółowo wypytywać mnie o sztukę cerkiewną, zadając przy tym dość szczegółowe pytania. Wszystko to było zapewne z góry przygotowane i miało na celu zorientowanie się, czy rzeczywiście jestem tym, za kogo się podaję, czyli historykiem

sztuki. W pewnym momencie panna Southwell posunęła się nawet do tego, że zaproponowała mi spotkanie z profesorem Dickinsonem, wyłącznie dlatego, żeby sprawdzić, czy znane mi są nazwiska i osoby fachowców z tej dziedziny. Kiedy już ustaliła, że naprawdę jestem historykiem sztuki, wyszła z pokoju pod pretekstem przygotowania herbaty i zadzwoniła do szefa po instrukcje – przerwałem na chwilę i rozejrzałem się po pokoju.

Smith i pozostali słuchali mnie bardzo uważnie. Jedynie mężczyzna w okularach stał cały czas ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby nie zwracając w ogóle uwagi na otoczenie. Ciekaw byłem jego funkcji w bandzie, ale przypuszczalnie i tak nie zmieniało to w niczym mojego położenia, nie zaprzątałem więc sobie tym na próżno głowy. Na razie znacznie bardziej absorbował mnie stan mojej nogi. Pokuśtykałem wolno w kierunku stojących w rogu foteli i bezceremonialnie wyciągnąłem się w jednym z nich. Smith powiódł za mną wzrokiem, po czym podszedł i zdjął mi z rąk kajdanki. Usiadł naprzeciw i zapytał z ironią w głosie:

– No i jak wygląda dalsza część dedukcji, Sherlocku Holmesie?

– Tak samo nieskomplikowanie, jak część poprzednia. – wzruszyłem ramionami i zacząłem rozcierać przeguby rąk. – W czasie, kiedy Lorraine dzwoniła po instrukcje, generał, jeśli w ogóle jest generałem i jej ojcem na dobitkę, podjął się zabawiania mnie opowiastkami o nocnym życiu Londynu. Potem panna Southwell wróciła z odpowiednimi poleceniami co do mojej osoby i Southwellowie pożegnali mnie z promiennymi uśmiechami.

– Tu się mylisz, Skolimowski – przerwał mi z satysfakcją Smith. – Generał Southwell jest autentycznym generałem i ojcem Lorraine, tylko że nie ma pojęcia o tym, czym naprawdę zajmuje się jego córka. Poza tym Lorraine wyszła wtedy, żeby polecić Mike'owi ostrzeżenie cie-

bie u „Marty's", a nie po instrukcje do mnie. Lorraine wydała to polecenie bez mojej wiedzy i zgody. Ja bym takiego głupiego kroku nie zrobił – oświadczył z wyższością.

– Możliwe – odparłem obojętnie. – Te drobiazgi i tak niczego nie zmieniają. W każdym razie u „Marty's" czekało na mnie to, jak wy to nazywacie, „ostrzeżenie". Pech chciał, że ja lubię nocne spacery, a nie lubię ostrzeżeń. Tu przechodzimy do punktu trzeciego, żeby utrzymać tę systematykę. Poszedłem więc do galerii i usłyszałem fragment rozmowy na mój temat. To wystarczyło, żebym nie miał złudzeń co do jej osoby. Punkt numer cztery – ciągnąłem pedantycznym tonem. – Tutaj przyznaję, że dałem sobie zamydlić oczy. Usłyszałem, że panna Southwell ma za zadanie zwabić mnie na spotkanie z szefem, ale myślałem, że będzie to robić w sposób oczywisty. Tymczasem ona rozegrała to bardzo sprytnie, udając, że nie chce, żebym jechał do Hampton Court. Oczywiście pojechałem i w ten sposób zrobiłem dokładnie to, czego ode mnie oczekiwaliście. I wreszcie piąty ślad, jaki mnie naprowadził na to, że Lorraine Southwell prowadzi ze mną jakąś grę, został dostarczony przez ciebie, Smith – zwróciłem się do niego. – W naszej rozmowie o obrazie ani razu nie zapytałeś mnie, w jaki sposób tu trafiłem, choć sam podkreślałeś, że twoje nazwisko było zastrzeżone przy transakcjach związanych z ikoną. Ani razu też nie zapytałeś mnie, u kogo jest obecnie obraz i w ogóle nie było w rozmowie żadnej, naturalnie przecież się nasuwającej wzmianki o Southwellach. Nawet gdybym nigdy przedtem nie podejrzewał, że panna Southwell jest tutaj dobrze znana, to i tak nienaturalne milczenie w tym punkcie zwróciłoby moją uwagę. Popełniłeś błąd, Smith. Notabene – dodałem po chwili – co za tragiczna pomyłka, że „trefna" ikona znalazła się nagle w publicznej sprzedaży! Na szczęście

kupiła ją matka Lorraine, ale mimo to mieliście trochę kłopotów, prawda?

– Dosyć! – przerwał ostro Smith. – Bezczelny jesteś, Skolimowski. Widać Mike powinien ci więcej dołożyć.

– On rzeczywiście dużo wie – odezwał się nagle stojący pod oknem nieznany mi mężczyzna. – Ciekawe, skąd się w nim wzięła ta detektywistyczna żyłka, co?

– Mogę ci to powiedzieć, Bill – chrapliwie roześmiał się stojący obok niego mężczyzna.

Moja prawa ręka masująca zdrętwiały przegub lewej ręki znieruchomiała nagle i tylko wysiłkiem woli zdołałem wprawić ją w dalszy, miarowy ruch. Nonszalancko prowokowałem przeciwników do reakcji na moje słowa, ale ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że podcinam gałąź, na której siedzę. Jeśli Joan powtórzyła ojcu wszystko o moich nocnych wyprawach... Albo jeśli zdołali jakimś niepojętym sposobem sprawdzić, dokąd dzwoniłem i teraz bawią się tylko ze mną w kotka i myszkę...

– Czy wiesz, Andy, kim jest Mr Skolimowski? – zwrócił się ze swobodnym uśmiechem krępy mężczyzna do Smitha. Moja prawa ręka zaczęła niepostrzeżenie wędrować w kierunku buta z wysoką cholewką, w którym miałem ukryty pistolet Joan.

– Facetem, który miesza się w nie swoje sprawy, Jim – odburknął zagadnięty ponuro.

– O, nie masz racji – zaprotestował łagodnie tamten. – Mr Skolimowski jest jak najbardziej zainteresowany historią obrazu. Dowiedziałem się, że nazwisko człowieka, który odkrył zabytkową ikonę w Polsce i został potem zabity przez nieznanego sprawcę, brzmiało... Skolimowski! Sądząc po wieku, to pański brat, prawda? – stwierdził bardziej, niż zapytał Jim.

Nie odpowiedziałem, patrząc uważnie na Smitha. Ten z kolei spoglądał zaskoczony i wściekły na swojego kompana.

– Prowadzisz podwójną grę, Jim? – zapytał cicho. – Nic mi o tym nie mówiłeś, chociaż wczoraj jeszcze pytałem cię, dlaczego ten człowiek może się tak interesować historią ikony. Właśnie historią, a nie samą ikoną.

– Spokojnie, Andy – odparł Jim. – Jeszcze wczoraj nie miałem tych danych. Dopiero dzisiaj... – Jim przerwał nagle, rzucając Smithowi nie wiadomo dlaczego spłoszone spojrzenie.

– Dopiero dziś – podjął po chwili – uzyskaliśmy tę informację. Niezłe, co? – Jim uśmiechnął się krzywo do mnie. – Rodzinna wendetta!

Smith milczał patrząc na mnie ciężkim wzrokiem. Przez chwilę czułem w głowie zamęt. O moich rodzinnych sprawach wiedziała tylko Joan, ale chyba to nie ona mnie zawiodła. Skąd więc, u licha, ten Jim miał informacje? Smith nie wydawał się zachwycony takim obrotem rzeczy i musiałem się mieć na baczności przed jego reakcjami. Lecz mimo to ogarnęło mnie irracjonalne poczucie bezpieczeństwa. Dopóki tylko Smith nie znał treści moich nocnych rozmów telefonicznych, dopóty czułem się bezpieczny. Wewnętrznie rozluźniłem się nieco i odpowiedziałem Jimowi:

– Ma pan rację. Chodziło o rodzaj zemsty rodzinnej.

– Mówiłem ci przecież, że Maurice, który przywiózł obraz z Polski, nie żyje – wtrącił gwałtownie Smith.

– Tym lepiej dla niego – odparłem chłodno. – I tak nie miałby przed sobą długiego życia.

Smith chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zreflektował się i zamilkł.

– Może wreszcie dowiem się, jak długo zamierzacie mnie tu trzymać – przejąłem inicjatywę.

– A skąd wiesz, czy w ogóle stąd wyjdziesz? – zapytał nieprzyjemnym głosem Smith.

– Jestem tego pewien – wzruszyłem ramionami. – Wczoraj jadąc tutaj powiedziałem kierownikowi naszej

wycieczki, że wybieram się właśnie do Hampton Court. Jeśli nie wrócę do dzisiejszego popołudnia Kurowski będzie alarmował pod niebiosa, bo jest odpowiedzialny za każdego uczestnika wycieczki i nie może nikogo spuścić z oka dłużej niż na parę godzin. A mnie nie ma już całą noc.

To był oczywiście wielki blef, bo nikogo o niczym nie informowałem, ale moje słowa i tak były niesprawdzalne w tej chwili, a poza tym zawsze miałem w zanadrzu koronny argument w tej rozgrywce – pistolet Joan.

– Zapewne blefujesz, Skolimowski – nie dał się podejść Smith – ale to nie ma znaczenia. Za godzinę zameldujesz się swojemu kierownikowi i to jeszcze z bardzo ważną sprawą. Mianowicie zrezygnujesz w ogóle z wycieczki – wyjaśnił z pogodną miną.

– Co takiego? – uniosłem brwi.

Nie mieli zamiaru mnie zabić, a przynajmniej nie teraz – to był dobry znak. Czekałem jednak na dalsze wyjaśnienia. Smith zrobił to bardzo przystępnie:

– Mike zaraz odwiezie cię do hotelu. Pójdziesz do kierownika i odwołasz swój dalszy udział w wycieczce. Powiesz, że miałeś wczoraj wypadek samochodowy i stąd to twoje zniknięcie bez uprzedzenia na całą noc...

– Wypadek? – przerwałem Smithowi.

– Tak. Spójrz w lustro. Zresztą sama twoja lewa noga starczy za dowód – zaniósł się niemiłym śmiechem.

– A więc dlatego tak mnie urządziliście! – Spojrzałem na niego ze zrozumieniem.

– Oczywiście – odparł Smith. – Nie na darmo Mike przyjrzał się przedtem dokładnie, jak wyglądają średnio ciężkie obrażenia przy wypadkach samochodowych. Spreparował cię jak pokazowy model. – Smith wyszczerzył zęby w okrutnym uśmiechu.

Znajdowałem się w miłym towarzystwie, nie ma co! Życie i zdrowie ludzkie nie miało dla nich najmniejszej

wartości. Gdzieś wśród tych otaczających mnie ludzi znajdował się morderca Nicka, wiedziałem także o zamordowaniu Steve'a, który sprowadził na nich kłopoty, nie wiedziałem na pewno o wielu innych, którzy także z jakichś powodów zawadzali i zostali „uciszeni". Ja, co prawda, jeszcze żyłem, ale wyłącznie dlatego, że byłem im potrzebny. Nie zawahali się za to „spreparować", według słów Smitha, na mnie śladów podtrzymujących wersję wypadku.

– I co dalej? – spytałem, nie kryjąc zainteresowania.

– Dalej to Kurowski się zgodzi. Dostanie od nas telefon, który go przekona, że wersja o wypadku jest prawdziwa. Ale to nie twoja sprawa – wzruszył ramionami. – Ty zademonstrujesz obrażenia, i to wszystko. Nasza w tym głowa, żeby twój kierownik nie protestował.

– No dobrze – przerwałem. – Ale po co ta cała szopka?

– Szok po wypadku plus obrażenia, jakie odniosłeś, są wystarczającym powodem, żeby zrezygnować z wycieczki i wracać do domu – odparł spokojnie Smith.

– Do domu?

– Tak, pojedziesz do Polski.

– Chcecie, żebym zniknął z waszego terenu?

– Niezupełnie – wtrącił Jim. – Pojedziesz do Polski, ale z nami.

Nareszcie! Myślałem już, że w ogóle tego nie usłyszę! Nie należało jednak zdradzać, że jest to rzecz, jakiej przez cały czas oczekiwałem. Zrobiłem więc zaskoczoną minę i zapytałem niepewnie:

– Po co?

– Zdziwiłeś się, co? – zaśmiał się Smith. Dowiesz się niedługo. A teraz trochę cię opatrzymy, żebyś był biały od bandaży, jak na ofiarę wypadku przystało, i pojedzie z Mike'em do hotelu.

– Wszystko to bardzo ładnie i pięknie, ale nie zapytaliście mnie wcale o zgodę – powiedziałem powoli.

– Nie musimy – wyszczerzył zęby w uśmiechu Smith. – Mike potrafi ci to wyperswadować, przekonałeś się już o tym.

– Mike potrafi mi to wyperswadować w Hampton Court, ale nikt nie będzie mógł mnie zmusić do tego w Londynie – odparłem chłodno.

Na pewno Smith miał jeszcze jakieś niespodzianki dla mnie w zanadrzu i chciałem od razu wysondować grunt. Ponadto zbyt skwapliwa i pospieszna zgoda na ich plany mogłaby się wydać podejrzana. Należało się spodziewać, że zaraz któryś z nich wyciągnie pistolet i z tym kawałkiem żelaza wepchniętym pod żebra pojadę do Londynu i z powrotem. Nie pomyliłem się.

Mike podszedł do mnie wolno i stając tuż nade mną powiedział cicho:

– Właśnie dlatego, żebyś nie miał żadnych głupich pomysłów w czasie naszej wycieczki do Londynu, pojadę z tobą. Nawiasem mówiąc, dziś rano przestrzelałem swój rewolwer – to mówiąc zaczął uważnie oglądać colta, którego nie wypuścił z ręki od czasu, kiedy Smith zdjął mi kajdanki. Przyłożywszy nagłym ruchem rewolwer do mojego policzka powiedział tonem groźby: – Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek, Skolimowski, bo nie jesteś dla mnie tak cenny, jak dla Andy'ego. Mógłbym cię niechcący zastrzelić, gdybyś nie chciał wypełniać moich poleceń, a potem dopiero będę się martwił, że Andy da mi za to burę. Więc nie próbuj! – zakończył ostrzegawczym tonem.

Myślałem, że to już wszystkie groźby na dzień dzisiejszy, ale okazało się, że Smith był bardziej przewidujący, niż mogłem przypuszczać.

– Zaczekaj, Mike – odezwał się Smith. – Ten facet jest dość sprytny, mógłby cię przechytrzyć w rozmowie z kierownikiem. Skąd wiesz, czy nie znajdzie nagle okazji, żeby porozmawiać z nim na osobności albo czy w czasie

rozmowy przy tobie nie powie po polsku czegoś, czego nie zrozumiesz. Nie warto ryzykować, Mike. Mr Skolimowski – głos Smitha zabrzmiał nagle podejrzanie uprzejmie – nie będzie próbował żadnych sztuczek, co więcej: będzie sam dbał o to, żeby pomyślnie załatwić wszystkie formalności.

– A to dlaczego? – zapytałem z rozbudzoną nagle czujnością.

– Bill – zwrócił się do stojącego wciąż pod oknem mężczyzny w okularach – zrób to, o co cię prosiłem.

Wezwany wyszedł energicznym krokiem z pokoju. W salonie zapanowała atmosfera napiętego oczekiwania. Mike i Jim spoglądali niepewnie na swego szefa, widać oni także nie mieli pojęcia, jaką to niespodziankę szykuje Smith. Był to dla mnie dobry znak. Wśród moich przeciwników nie było jedności i zaufania, nawet w tej krótkiej rozmowie wyszło na jaw, że Jim i Smith nie informują się nawzajem o wszystkich swoich posunięciach. Ten brak ufności pomiędzy nimi był rzeczą mogącą mi się jeszcze przydać, była to struna, którą zamierzałem szarpać tak długo, aż pęknie.

Nasze milczące oczekiwanie przerwało wejście Billa. Stanął w drzwiach, obrzucając wzrokiem wnętrze, po czym na ledwo dostrzegalne skinięcie Smitha, usunął się z progu. Do salonu wszedł, a raczej wpadł popchnięty przez stojącego za nim Mike'a... mój bratanek Adam!

Zerwałem się z fotela, ale w tym samym momencie uczułem pod żebrami bolesny ucisk lufy colta.

– Siedź spokojnie! – zabrzmiał nad moim uchem zimny głos Mike'a.

– Marcin! – Adam patrzył na mnie uradowany, ale bez zdumienia. – Co ci się stało w nogę? – Mój spostrzegawczy bratanek od razu zauważył, w jakim stanie się znajduję.

Gwałtowne poderwanie się z fotela sprawiło, że przed moimi oczyma pojawiły się wszystkie konstelacje, jakie

tylko istnieją. Zapanowałem jednak nad tym i skupiłem swój wzrok na Smithu.

– Skąd on się tu wziął? – spytałem ostrym tonem.

– Spokojnie, spokojnie – odrzekł Smith. – To jest nasza asekuracja na wypadek, gdybyś właśnie chciał porozmawiać ukradkiem z kierownikiem wycieczki albo nie wypełniał dokładnie naszych poleceń.

Adam zrobił krok do przodu i zwrócił się do mnie pełnym napięcia głosem:

– Zadzwonili dziś w nocy, żebym natychmiast tu przyjechał, bo jesteś w niebezpieczeństwie i potrzebujesz mojej pomocy. Zanim zdołałem zapytać, kto dzwoni, przerwano połączenie. Bałem się o ciebie, więc poleciałem natychmiast na stację. Ale o tej porze metro nie jeździ, więc musiałbym poczekać ze dwie godziny na pierwszy pociąg. Wyszedłem na ulicę i zacząłem spacerować. Wtedy podjechała taksówka, wiesz – zaczął mi wyjaśniać – nie taka normalna czarna, tylko z tych wzywanych telefonicznie. Przy kierownicy siedział jaskiniowiec taki jak ten – Adam wskazał ręką na Mike'a, który poruszył się niespokojnie – i zapytał, czy mnie nie podwieźć. A ja, barania głowa, zgodziłem się oczywiście. Jeszcze go poganiałem, idiota, a temu, rzecz jasna, to było na rękę. Zawiózł mnie, a jakże, elegancko pod sam dom – ciągnął z goryczą chłopak – i jeszcze drań za kurs forsę wziął. Ten drugi – Adam wskazał teraz na Billa – wyszedł na spotkanie i powiedział, że kazałeś mi na siebie czekać i sam wszystko wyjaśnisz, kiedy przyjedziesz. Trochę na ciebie czekałem, aż wreszcie zacząłem się denerwować i wtedy... – Adam urwał i popatrzył na mnie niepewnie.

– I wtedy ktoś zaszedł cię od tyłu i rąbnął w głowę – dokończyłem za niego.

– Skąd wiesz? – spytał mnie zaskoczony.

– Znam ich metody – odparłem krótko.

No cóż, ze słów Adama wynikało, że nie tylko ja prowadziłem ożywioną działalność tej nocy.

– A ty skąd się tutaj wziąłeś? – spytał mnie z kolei Adam. – Ciebie też tak zwabili? I o co w ogóle chodzi? Ten neandartalczyk – Adam mówiąc o nieznanym mi kierowcy Smitha wyraźnie preferował antropologiczne porównania – nie chciał nic powiedzieć, tylko walił mnie prawym prostym. Oddałbym mu, ale drań trzymał cały czas spluwę w garści – mówił ponuro mój bratanek.

– No, starczy już tych opowieści – odezwał się nagle Mike. Wypowiedział te słowa po polsku. Jego polszczyzna była co prawda poniżej filologicznych standardów, ale dosyć płynna. Rozmowę z Adamem odbyłem po polsku i przez chwilę miałem nadzieję, że nikt z ludzi Smitha nie rozumie tego języka i będę mógł się porozumiewać bez przeszkód. Smith należał jednak do ludzi, którzy umieją przewidzieć wszystko. Uprowadzenie Adama i obecność Mike'a przy tej prowadzonej po polsku rozmowie, były dostatecznymi dowodami, że nie pozostawiał niczego przypadkowi.

– Wyprowadźcie chłopaka – rzucił rozkaz Smith.

Mike'owi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Z okrutną gorliwością dźgnął Adama lufą rewolweru w plecy i pomagając sobie jeszcze obutą w mocne buciory nogą zmusił chłopaka do wyjścia z pokoju.

– No i jak ci się to podoba, Skolimowski? – zapytał mnie Smith z krzywym uśmiechem.

– Wcale mi się nie podoba – odrzekłem szczerze.

– Sam teraz rozumiesz – ciągnął nie zrażony moim brakiem entuzjazmu Smith – że w takiej sytuacji nie tylko musisz grzecznie pojechać z Mike'em do hotelu, ale i jeszcze starać się bardzo, żeby nikt nie miał zastrzeżeń co do twojego nagłego wyjazdu. Nie będziesz posłuszny – w głosie Smitha brzmiała nie maskowana groźba – i po bracie stracisz bratanka.

Na samą myśl o tym zaczęło się wszystko we mnie gotować, ale starałem się zachować spokój.

– Do czego jestem wam potrzebny? – spytałem powoli. – Dlaczego chcecie, żebym jechał z wami do Polski?

– Za dużo chciałbyś wiedzieć – odburknął Jim. – Już i tak dużo wiesz. Uważam, że trzeba wpakować mu kulę w łeb i spokój. – Jim zwrócił się przynaglającym tonem do Smitha, rzucając mi jednocześnie wrogie spojrzenie.

– O nie, Jim, nie psuj mojego mistrzowskiego posunięcia – zaoponował Smith. – Trzymamy małego Skolimowskiego, żeby dyktować warunki staremu, a jego z kolei... – tu urwał nagle, jakby żałując, że cokolwiek powiedział. – Nie bój się – zwrócił się do mnie – szczeniakowi włos nie spadnie z głowy, póki będziesz robił to, co ci powiemy.

– A jaką mam gwarancję, że nic nie zrobicie Adamowi, kiedy pojadę z wami do Polski?

– Żadnej – odpowiedział Smith bez ogródek. – Tym bardziej powinno ci zależeć na tym, żeby nas zadowolić.

Przyszłość nie rysowała się zbyt różowo.

– Panie Marcinie, gdzie pan był, na miłość boską?! – powitał mnie zdesperowanym okrzykiem Kurowski. – Dlaczego ja zawsze muszę mieć przez pana kłopoty? Najpierw ten nieboszczyk, przez którego było tyle zamieszania i nieprzyjemności, a teraz pan sam znika nie wiadomo gdzie! – wykrzykiwał zdenerwowany kierownik.

Mike przysunął się bliżej i dopiero wtedy Kurowski go spostrzegł.

– A pan kim jest? – zapytał ze zdziwieniem.

– Miałem wypadek... – przerwałem mu.

– Wypadek? – Kierownik dopiero teraz przyjrzał mi się uważniej. Gdyby nie był tak zaaferowany i zaprzątnięty kłopotami, jakich mu niewątpliwie przysporzyłem, zauważyłby od razu mój niecodzienny wygląd.

Na twarzy miałem kilka nieregularnych, fioletowieją-

cych już siniaków i dwa głębokie skaleczenia pod okiem. Moja warga była rozcięta i opuchnięta, a z tyłu głowy, tam gdzie inkasowałem kolejne, oszałamiające mnie uderzenia, wykwitł spory guz. Najbardziej okazale prezentowała się moja grubo obandażowana lewa noga.

Przed moim wyjazdem do hotelu Smith sprowadził Joan, aby opatrzyła mi ranę. Dziewczyna, jakkolwiek wciąż jeszcze wstrząśnięta wczorajszymi wydarzeniami, postępowała dokładnie tak, jak jej poleciłem. Kiedy weszła do pokoju, rzuciła mi spojrzenie księżniczki zajmującej się z religijnego obowiązku dobroczynnością wśród galerników, po czym zaczęła spełniać swoje pielęgniarskie czynności z najwyższą obojętnością. W dalszym ciągu spoglądała na ojca niechętnym wzrokiem, ale nie próbowała stawać w mojej obronie, tak jak to zrobiła poprzedniego dnia. Smith patrzył na nią nieufnie, wyraźnie pamiętając gwałtowną deklarację nienawiści do niego. Toteż polecił Mike'owi nie odstępować mnie na krok podczas opatrywania rany. Słysząc ten rozkaz rzuciłem ukradkowe porozumiewawcze spojrzenie na dziewczynę. Joan pojęła mnie natychmiast. Kiedy tylko Smith z Billem i Jimem opuścili pokój, mówiąca zazwyczaj łagodnym tonem dziewczyna zaczęła ostro zwracać się do pilnującego nas Mike'a. Polecała mu co chwila przynosić ze znajdującej się w odległej łazience apteczki różne medykamenty. Bandaże, które posłusznie przynosił, były zbyt wąskie lub zbyt szerokie, nagle okazywało się, że zamiast jodyny potrzebna będzie gencjana, niechcący wylał się spirytus i trzeba było przynieść nowy – jednym słowem Mike kursował z poleceniami jak autobus. Piętrowy zresztą, jeżeli wziąć pod uwagę gabaryty goryla.

W chwilach, kiedy mój cerber był nieobecny, mogliśmy zamienić kilka słów. Pospiesznie zreferowałem Joan moją poranną rozmowę ze Smithem, prosząc ją jednocześ-

nie, by zorientowała się w możliwościach przekazania Adamowi wiadomości ode mnie. Pod nieobecność Mike'a udało mi się także napisać kilka słów, które chciałem przy nadarzającej się okazji przekazać Robsonowi.

Konieczność donoszenia przez Mike'a coraz to nowych opatrunków miała tę jeszcze zaletę, że Joan mogła bardzo starannie mnie opatrzyć. Kiedy skończyła, a środki uśmierzające ból zaczęły działać, poczułem się (przynajmniej w porównaniu z moimi poprzednimi doznaniami) jak młody bóg.

W takim też stanie zjawiłem się przed obliczem Kurowskiego. Ten jednak miał chyba odmienne zdanie na ten temat, bo kiedy przyjrzał mi się dokładniej, zrobił przerażoną minę i zawołał:

– A to co znowu? Był pan w szpitalu, czy co? Co to za wypadek?! – Zadawał mi chaotyczne pytania.

Inicjatywę przejął Mike. Przedstawił się Kurowskiemu jako mój serdeczny przyjaciel z dawnych lat.

– Mr Skolimowski miał wczoraj wypadek na szosie wylotowej na północ od Londynu. Był tam duży karambol około dwudziestu samochodów – tłumaczył spokojnie. – Napisali o tym nawet w dzisiejszych gazetach. Przypadkiem znalazłem się w pobliżu i brałem udział w ratowaniu poranionych.

Samarytanin, psiakrew! Gdyby ten słuchający w zadziwieniu Kurowski mógł wiedzieć, że mój rzekomy przyjaciel potrafi raczej przysparzać rannych temu światu, niż ich ratować...

Mike ciągnął dalej bez mrugnięcia okiem:

– Między lżej rannymi zobaczyłem Mr Skolimowskiego. Jako cudzoziemcowi byłoby mu na pewno trudno poradzić sobie w niezwykłej i trochę niemiłej sytuacji, całe szczęście więc, że się spotkaliśmy. Oczywiście, zaraz zająłem się przyjacielem. – Mike uśmiechnął się życzliwie w moim kierunku.

A więc samarytańska działalność miała objąć także i mnie. Coraz lepiej!

– Zawiozłem Mr Skolimowskiego na opatrunek, a teraz przyjechałem tutaj, gdyż prosił mnie o pomoc w pewnej sprawie.

Teraz była kolej na moją kwestię w ułożonej przez Smitha roli.

– Chciałbym zrezygnować z tej wycieczki, panie Kurowski – zacząłem stanowczym tonem.

– Ależ dlaczego!? – wykrzyknął zaskoczony kierownik.

– Nie czuję się zbyt dobrze po wypadku. Wie pan, szok i tak dalej... Zresztą nie mógłbym niczego zwiedzać, bo stan mojej nogi nie pozwala na zbyt intensywne chodzenie – tłumaczyłem. – Poza tym wycieczka i tak kończy się za kilka dni, więc niewiele stracę.

– No tak, ale formalności... – spojrzał na mnie zupełnie zdezorientowany. – Przecież bilet powrotny ma pan zbiorowy, trzeba to też załatwić z władzami...

W tym momencie podeszła do kierownika recepcjonistka.

– Telefon do pana.

– Już idę. Przepraszam na chwilę. – Kurowski pospiesznie wyszedł z pokoju.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Mike syknął cicho:

– Tylko pamiętaj, bez żadnych sztuczek, Skolimowski!

Wzruszyłem ramionami i zapaliłem papierosa. Kurowski wrócił po pięciu minutach.

– Miałem właśnie interwencję w pańskiej sprawie – spojrzał na mnie zafrasowany. – Żeby panu nie utrudniać i tak dalej. Ale...

– No przecież to drobiazg – wtrącił bagatelizująco Mike. – O ten zbiorowy bilet proszę się nie martwić, po prostu będzie miał pan jedno miejsce nie wykorzystane.

Ja pomogę Mr Skolimowskiemu załatwić bilet na indywidualny powrót. Chyba w ogole pojedziemy razem do Polski, prawda? – Mike spojrzał na mnie przynaglającym wzrokiem.

– Tak, oczywiście, panie Kurowski, proszę się mną nie kłopotać. Poradzę sobie – podtrzymałem wersję Mike'a.

Kurowski załamał się wreszcie pod ciężarem argumentów. Co prawda, chyba po raz pierwszy w swojej pracy spotkał się z facetem, który dobrowolnie rezygnuje z tak atrakcyjnej wycieczki, ale cóż mógł na to poradzić. Zresztą to była ostatecznie moja strata, że nie zobaczę Tower, trzech innych muzeów, zmiany warty przed pałacem Buckingham, przedstawienia Jezus-Christ-Superstar, na które już były zamówione bilety, i wielu jeszcze innych atrakcji, opłaconych i przewidzianych programem. Poza tym byłem tak niesubordynowanym i kłopotliwym uczestnikiem wycieczki, że właściwie może to i lepiej, że rezygnowałem z dalszego udziału... Te wszystkie rozterki można było wyczytać na twarzy Kurowskiego jak w książce. Wreszcie, zdesperowany, machnął na mnie ręką i zajął się formalnościami.

Podpisałem niezliczoną ilość różnych dokumentów, w których zrzekałem się dalszego udziału w wycieczce, nie rościłem pretensji do miejsca w samolocie, nie rościłem ż a d n y c h pretensji do biura turystycznego, w ogóle nie... Podpisywanie i wypełnianie stosów najróżniejszych druczków trwało prawie godzinę. Widziałem, jak Mike niecierpliwie spogląda na wyciągającego coraz to nowe papiery Kurowskiego, ale nie zaprotestował ani słowem.

Wprost przeciwnie. Udzielał zafrasowanemu kierownikowi różnych rad na temat formalności, jakich należało dopełnić. Wreszcie, kiedy przed Kurowskim wyrósł cały stos papierów i otrzymał moje solenne zapewnienie, że jestem zadowolony z wycieczki i nie będę zgłaszał

żadnych pretensji, kierownik, aczkolwiek niechętnie, zrezygnował z jednego uczestnika swojej grupy. Udało mi się też przypomnieć wciąż jeszcze wytrąconemu z równowagi niespodziewanymi komplikacjami Kurowskiemu, że ma całą gromadę innych wycieczkowiczów wymagających jego opieki i uwagi. Przynaglony tym kierownik pognał do swoich obowiązków, a my poszliśmy do mnie, na górę.

Spakowałem pod czujnym okiem Mike'a swoje rzeczy. Mój anioł stróż (jeżeli oczywiście faceta z coltem pod pachą i bogatą przestępczą przeszłością można nazwać aniołem) popatrywał co chwila z niecierpliwością to na zegarek, to na mnie.

Właśnie kończyłem zapinać paski podróżnej torby, gdy nagle rozległo się mocne i zdecydowane pukanie do drzwi. Znieruchomieliśmy obydwaj: ja pochylony nad torbą, Mike w kącie pokoju. Kiedy pukanie się powtórzyło, Mike stanął błyskawicznie za drzwiami, z prawą ręką pod marynarką, i gestem nakazał mi otworzenie drzwi.

Czyżby Kurowski zmienił zdanie i nie chciał jednak zgodzić się na mój wyjazd? A może Joan, niepomna moich zaleceń, wezwała policję do Hampton Court i teraz przybyli, by aresztować Mike'a? W obu wypadkach, sądząc po niedwuznacznym geście mojego strażnika, który trzymał teraz rękę na spuście pistoletu, skutki mogły być fatalne.

Podszedłem powoli do drzwi i ostrożnie zacząłem je otwierać. Pchnięte energicznie od zewnątrz odskoczyły, otwierając się na całą szerokość. W progu stanęła Monika Rawska.

– Co się z tobą działo? Gdzie jest Adam? Kurowski powiedział, że wracasz dziś do Polski. Dlaczego? – wydyszała wszystko jednym tchem dziewczyna.

Zza drzwi wyszedł Mike. dziewczyna obróciła się w jego kierunku i rzuciwszy na niego przelotnie okiem, spojrzała na mnie z przestraszoną miną.

– Co tu się stało? Kto to jest?

Przez chwilę odczuwałem nieprzepartą ochotę, by wzruszyć ramionami. Jak przekazać zasypującej mnie pytaniami dziewczynie nie tylko bajeczkę Smitha o wypadku, ale i to, co ja sam chciałem jej ukradkowo powiedzieć i co więcej, polecić do wykonania.

Beznadziejnego, moim zdaniem zadania – wytłumaczenia zaniepokojonej dziewczynie, że wszystko jest w porządku – podjął się Mike. Znów wystąpił jako mój przyjaciel (zaczynałem już wzdrygać się na sam dźwięk tego słowa) i opowiedział jej o moim rzekomym wypadku i uporze, z jakim ciągnąłem natychmiast do kraju.

Monika wysłuchała tego wszystkiego spokojnie i nie przerywając, ale na koniec zwróciła się do mnie z niepokojem w oczach:

– No dobrze, ale gdzie jest Adam? Umówiliśmy się na dzisiaj rano, a on nie przyszedł. Nie ma go także w domu.

– Adam musiał wyjechać na kilka dni – powiedziałem bagatelizującym tonem.

– Ależ nic mi o tym nie mówił wczoraj! Poza tym zadzwoniłby przed wyjazdem, żeby odwołać dzisiejsze spotkanie! – upierała się Monika.

We wzroku Mike'a wyczytałem zdenerwowanie. Upór zakochanej dziewczyny w dociekaniu prawdy zaczął poważnie zagrażać planom Smitha.

– Adam wyjechał do Szkocji na parę dni – komponowałem naprędce w miarę wiarygodną historyjkę. – Mamy tam rodzinę, dla której przywiozłem tutaj pewne bardzo ważne i pilne dokumenty. Miałem to sam dziś zawieźć, ale przez ten wypadek wszystko się pokręciło. Poprosiłem więc Adama, żeby mnie zastąpił, tym bardziej że i tak prędzej czy później powinien tej rodzinie złożyć wizytę. Ale Adam rzeczywiście nie mógł cię o tym zawiadomić, bo wyjechał nocnym pociągiem. Jak widzisz, to zupełnie prozaiczna sprawa – uśmiechnąłem się do niej uspokaja-

jąco – i nie ma powodu do niepokoju. Adam wróci za kilka dni i sam przeprosi za ten wyjazd bez uprzedzenia.

Zauważyłem we wzroku Mike'a zamiast dotychczasowego napięcia coś jakby uznanie. Jak dotąd skwapliwie i nadgorliwie wręcz podtrzymywałem wersję o wypadku i wykazałem Mike'owi, że mam zamiar ze względu na bezpieczeństwo Adama być posłuszny żądaniom Smitha. Zarówno w rozmowie z Kurowskim, jak i z Moniką mógłbym w jakiś sposób dać znać, że działam pod przymusem i wtedy plany Smitha wzięłyby w łeb. Byłem jednak posłuszny aż do obrzydliwości i w ten sposób przekonałem Mike'a, że jestem bezwolnym narzędziem w jego ręku. Odprężył się trochę i nie strzegł każdego mojego poruszenia tak uważnie i podejrzliwie. To właśnie chciałem wykorzystać.

Monika stała patrząc na mnie, niepewna jak przyjąć usłyszaną wiadomość. Postawiłem spakowaną torbę przy drzwiach i zwróciłem się głośno do dziewczyny:

– No, Moniko, muszę już jechać na lotnisko. Adam sam się do ciebie zgłosi za kilka dni, nic się nie martw. Gdyby nie to, że to była ważna sprawa, nie wysyłałbym twojego chłopaka tak niespodziewanie. Myślę, że jeszcze zobaczymy się w Polsce po twoim powrocie. Wpadnijcie kiedyś do mnie z Adamem – uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie. – Bardzo cię polubiłem przez te kilka dni. Daj no, niech cię ucałuję na pożegnanie. – Objąłem mocno zaskoczoną dziewczynę.

Z tyłu usłyszałem trzask zapałki. Mike zajęty był właśnie zapalaniem papierosa. Zbliżyłem usta do ucha Moniki i wyszeptałem:

– Nic nie mów. Ten facet trzyma mnie pod bronią.

Jednocześnie wsunąłem jej w dłoń ciasno zwiniętą kartkę przygotowaną w czasie, gdy Joan mnie opatrywała. Teraz wszystko zależało od refleksu i inteligencji Moniki. Miałem nadzieję, że dziewczyna powstrzyma się

od okrzyków zdumienia i przerażenia, nie mówiąc już o gwałtowniejszych reakcjach, do których, jak zauważyłem, była całkowicie zdolna.

Monika przeszła samą siebie. Poczułem, jak jej palce zaciskają się mocno wokół kartki, a ona sama puszcza w moim kierunku ledwo dostrzegalne porozumiewawcze oko.

– Do widzenia, Marcin! – zabrzmiał jej dźwięczny głos. – Oczywiście, że odwiedzimy cię w Warszawie. Ja też cię bardzo polubiłam.

Odsunęliśmy się od siebie. Mike znów nas bacznie obserwował, ale jedyne, co mógł zobaczyć, to całkowicie normalną scenę pożegnania dwojga znajomych. Być może, gdyby przyjrzał się uważniej, zobaczyłby nagłą bladość i starannie maskowane napięcie malujące się na twarzy dziewczyny. Monika musiała być jednak tego świadoma, bo niespodziewanie odwróciła się do drzwi i dopiero od progu rzuciła Mike'owi „do widzenia".

Zamykając drzwi bystra dziewczyna wykorzystała fakt, że osłonięta nimi przez chwilę znajdowała się w zasięgu tylko mojego wzroku i przesłała mi uniwersalny znak życzący powodzenia – kciuk uniesiony w górę.

Rozdział dziewiąty

Jeśli na drodze E-22 nie widziano dotąd postrachu szos, samochodu widma, wehikułu wzbudzającego we wszystkich kontrolerach ruchu żyłkę myśliwską i prowokującego najgwałtowniejsze reakcje znajdujących się w okolicy przechodniów i kierowców – to nasz ford z pewnością tę lukę wypełniał z nawiązką.

Z Anglii wyjechaliśmy dobę temu i jadąc nieprzerwanie autostradami dotarliśmy o dziewiątej rano do granicy polsko-niemieckiej w Zgorzelcu.

Dzień był na szczęście pochmurny, więc na szosie panował nieco mniejszy ruch, ale mimo to co pewien czas wyprzedzaliśmy z gwizdem opon jakiegoś wlokącego się małego fiata czy ciężarówkę. Smith prowadził niezwykle pewnie, ale i tak co jakiś czas przeżywaliśmy na szosie sytuacje, które w podręcznikach do nauki jazdy powinno się opisywać w rozdziale „Oto jak dochodzi do wypadków drogowych". U nas nie doszło do tego chyba tylko dlatego, że nie wszystkim samobójcom udaje się popełnić samobójstwa skutecznie. Smith miał nie tylko szczęście do unikania wypadków. Jeśli wyjedzie się za miasto choćby dwadzieścia kilometrów, to na ogół szanse spowodowania wypadku są małe, za to spotkania kontroli drogowej – ogromne.

My spotkaliśmy tylko dwie. Za każdym razem Smith płacił bez wahania krociowe mandaty i natychmiast odjeżdżał z mniej więcej taką samą szybkością, za jaką go ukarano.

Za drugim razem pozwoliłem sobie na sarkastyczną uwagę:

– Rzeczywiście, Smith, wybrałeś sobie najmniej rzucający się w oczy sposób przebycia tej trasy. Jeszcze dwa mandaty i zawrócą cię do granicy. Nie mówiąc o tym, że fordy cortina nie są na naszych szosach najczęściej spotykanym samochodem i zapamiętają cię nawet sześciolatki. I w ten sposób chcesz niepostrzeżenie dokonać przestępstwa?

– Skąd wiesz, że przestępstwa? – spytał mnie poruszony Mike. W samochodzie było nas czworo. Smith i Joan na przedzie, Mike obok mnie, na tylnym siedzeniu.

– A, nie wiedziałem, że jedziemy do zoo karmić białe słonie! – ucieszyłem się. – Natychmiast wycofuję teorię o przestępstwie.

– Zamknij się! – warknął nie wiadomo do mnie czy do swojego wspólnika Smith. – Nie martw się o nasze

mandaty, tylko o swoją skórę. – To już było na pewno do mnie.

Za Brzegiem, przy ostatnich domach na szosie wylotowej, Smith niespodziewanie zatrzymał samochód.

– Dlaczego stajemy? – zdziwiła się Joan.

Od chwili wyjazdu z Anglii aż do tej pory dziewczyna nie odzywała się prawie wcale. W pewnej chwili chciałem jej pomóc przy przenoszeniu ciężkiej torby. Wzrokiem Joan nie mogła mnie zabić, a żadnej broni nie miała pod ręką. Wyrwała mi jednak torbę z ręki tak gwałtownie, że nawet Smith popatrzył zdziwiony. Zapytał też dziewczynę, dlaczego tak nagle zapałała do mnie nienawiścią. Joan obrzuciła go niechętnym spojrzeniem i z pasją wykrzyczała, że uważa mnie za pośredniego sprawcę śmierci jej Steve'a. Gdybym nie zaczął interesować się tym obrazem, nie byłoby powodu, żeby zabijać Steve'a za tę sprzedaż. Jestem jej tak samo nienawistny jak cała ta banda i kiedy wreszcie zostawimy ją w spokoju.

Smith popatrzył wówczas w zamyśleniu na ten nowy dowód bujnego temperamentu, jaki przejawiała jego córka, ale nic nie powiedział. Zabrał ją ze sobą do Polski, by nie spuszczać z dziewczyny ani na chwilę oka, starał się jednak unikać rozdrażniania jej, więc teraz zaczął wyjaśniać:

– Tym fordem daleko nie zajedziemy. Przynajmniej nie z taką szybkością, jaka jest nam potrzebna. Mamy tu przygotowane coś lepszego.

Smith przynaglił nas do szybszego wysiadania z wozu i zaprowadził wszystkich na tyły jednego z domów. Na środku podwórka stała... karetka pogotowia.

Ten niecodzienny środek lokomocji nie wzbudził we mnie należytego zdumienia. Obok karetki czekała bowiem znacznie większa niespodzianka. „Niespodzianka" patrzyła na mnie z drwiącym, przenikliwym uśmieszkiem i znana mi była doskonale pod nazwiskiem... in-

spektora Trevora McIntosha. Obok niego stał Bill.

– No jak, Mr Skolimowski, nie spodziewał się pan, ze się spotkamy, co? – McIntosh nie mógł powstrzymać kpiącego uśmiechu.

– Szybciej! Wsiadajcie – popędził nas Smith.

– Spieszymy się do chorego? – spytałem z głupia frant.

– Nie gadaj tyle, do cholery, bo oberwiesz! – zaprezentował swoje nienaganne maniery Mike.

– Ale dlaczego mamy tym jechać? – spytała oszołomiona Joan.

– Widziała pani kiedyś, żeby zatrzymywano ambulans jadąc na sygnale do chorego? – zapytałem dziewczynę zgryźliwie.

Trzeba przyznać, że nie zbywało im na pomysłach i sprawnej organizacji.

– Wsiadać! – uciął Smith.

Tym razem Mike usadowił się przy kierownicy i po chwili pruliśmy po szosie prawie setką.

Obok Mike'a znalazł się Bill, my stłoczyliśmy się z tyłu. McIntosh popatrywał na mnie, uśmiechając się z przewrotną satysfakcją.

– I cóż Mr Skolimowski, nie dziwi się pan?

– Mr McIntosh, mam do pana jedno pytanie – uśmiechnąłem się szeroko.

– Tak?

– Ciekawi mnie bardzo jedna rzecz – zacząłem konwersacyjnym tonem. – Czy jest pan skorumpowanym gliną, który sprzedaje siebie i swoje wiadomości przestępcom, czy też na odwrót: jest pan jednym z tej bandy, któremu udało się wkręcić do policji? Oczywiście, to nie zmienia faktu, że nadal jest pan udanym skrzyżowaniem sprzedawczyka z bandytą, ale po prostu chciałbym zaspokoić ciekawość – zakończyłem starannie modulowanym głosem.

– Zamknij się wreszcie! – Smith zaczynał być już

porządnie rozdrażniony. Ale McIntosh nie dawał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi.

– Zaczekaj, Andy, chętnie porozmawiam z Mr Skolimowskim. Jego ciekawość jest zrozumiała, wszyscy naukowcy są tacy – powstrzymywał Smitha uśmiechając się jednocześnie do mnie z wyrozumiałością kota obserwującego ostatnie podrygi złapanej myszy. – Nie jestem wcale sprzedawczykiem. Po prostu przyjąłem pracę w Scotland Yardzie, dzięki czemu mogłem łatwiej i skuteczniej wykonywać pracę dla mojego właściwego szefa. – Wykonał uprzejmy gest w kierunku Smitha. – Myślę, że zaspokoiłem pańską ciekawość, Mr Skolimowski. – McIntosh w przeciwieństwie do Smitha powstrzymywał się od tykania. Być może demonstrował w ten sposób swoją wyższość i ogładę towarzyską w porównaniu ze swoim szefem, ale dla mnie byli ulepieni z jednej gliny.

Milczałem, wpatrzony uważnie w McIntosha, aż „inspektor" poruszył się niespokojnie.

– No, Mr Skolimowski, zrobiłem jednak panu niezwykłą niespodziankę, co? Nawiasem mówiąc – dodał po chwili – to mnie zawdzięcza pan, że Kurowski tak łatwo przyjął pańską rezygnację z wycieczki. Jeden telefon od inspektora Scotland Yardu i załatwione.

– Domyślałem się tego – wzruszyłem ramionami. – To pan zdobył informacje na temat moich rodzinnych powiązań, prawda?

– No oczywiście – odparł swobodnie McIntosh. – Praca w Scotland Yardzie dawała mi oprócz innych rozmaitych korzyści także dostęp do wielu materiałów i archiwów. Polskie władze zwracały się do nas po ukradzeniu ikony o pomoc i w starych aktach zachowało się nazwisko pańskiego brata. Znalazłem te dokumenty i przez Jima przekazałem sprawę szefowi. Musiał być pan wtedy nieźle zaskoczony, co? – zaśmiał się McIntosh. – Tak jak przed chwilą, kiedy mnie pan tu zobaczył.

– Myli się pan, McIntosh. – Nie mogłem sobie odmówić tej małej satysfakcji. – Ten wasz Jim rzeczywiście mnie wtedy zaskoczył, ale pana podejrzewałem już wcześniej.

– Tak? – Było to bardzo ironiczne.

– Pamięta pan naszą rozmowę w komisariacie policji? Zapytał mnie pan, po co miałem się spotykać z Nickiem Dallowayem. Odpowiedziałem, że między innymi w sprawie ikony. Wtedy zadał mi pan pytanie, czy do domu Southwellów także poszedłem w tej sprawie. Tymczasem policja nie mogła wiedzieć o mojej wizycie, bo nikt mnie nie pytał, co robiłem po śmierci Nicka. Robsona interesowało jedynie moje alibi na czas przed znalezieniem ciała, a policyjni tajniacy śledzili mnie dopiero po wyjściu z komisariatu, czyli następnego dnia po mojej bytności u Southwellów. O moim spotkaniu z panną Southwell wiedział więc pan bezpośrednio od niej. Poza tym podczas przesłuchania zadawał mi pan bardzo jednostronne pytania, interesując się jedynie przyczynami, dla których zajmowałem się ikoną. Nie padło za to ani razu tak naturalne pytanie o wrogów Nicka czy też o jego kłopoty. W ogóle interesował się pan bardziej mną niż zamordowanym. Oczywiście, każdy może mieć swoje metody prowadzenia śledztwa, ale to pańskie pytanie o Southwellów... To był duży błąd, McIntosh.

– No, niezły z ciebie ptaszek, Skolimowski – pokiwał głową „inspektor". – Sprytny jesteś, a ja takich nie lubię.

Oczy McIntosha lśniły zimnym blaskiem. Porzucił swobodę, którą tak demonstrował na przesłuchaniu, jak niepotrzebną już maskę. Jeszcze przed chwilą uśmiechał się do mnie drwiąco, rozbawiony, że zdołał sprawić mi niemiłą niespodziankę. Moje dedukcje nie podobały mu się jednak i w jego głosie zabrzmiały twarde tony:

– Trzeba na niego uważać, Andy – zwrócił się do Smitha. – Poradzisz z nim sobie?

– Spokojna głowa, mamy jego chłopaka

– Was też będą mieli! – warknąłem nieopanowanie.

– Zamknij się – rzucił twardo McIntosh. A jednak nie miał zbyt głęboko wpojonych subtelności kindersztuby. Nie byliśmy już na „pan". – Daj, teraz ja poprowadzę – „inspektor" zwrócił się do Mike'a.

Zmienili się miejscami i znów pognaliśmy po szosie z wyciem syreny.

– Nauczyłeś się jeździć samochodami na sygnale w służbie policji Jej Królewskiej Mości, co McIntosh? – spytałem go przez ramię.

– Czy jego naprawdę nikt nie uciszy! – zdenerwował się McIntosh. – Odszczekuje bez przerwy!

– Nikt mnie dotąd nie poinformował, że jadę z wami dla przyjemności i dobrowolnie – odburknąłem.

– Dość! – stracił cierpliwość Smith.

Mimo że w karetce było ciasno, Mike wziął dobry zamach i poczułem zapierający dech cios pięścią w żołądek. Przez chwilę łapałem spazmatycznie powietrze i w momencie, kiedy mój oddech wrócił do normy, otrzymałem następne uderzenie. Tym razem w szczękę. Poczułem spływającą z kącika ust strużkę krwi.

Joan zerwała się z miejsca, ale została natychmiast przytrzymana przez Billa.

– Zostawcie go! – krzyknęła dziewczyna.

– Podobno go nienawidzisz? – Smith przyglądał się jej uważnie.

– Oczywiście, że nie będę po nim płakać – odrzekła Joan opanowując się – ale nie zamierzam oglądać, jak go bijecie!

– W porządku, Miss Smith – odezwałem się z trudem rozwierając opuchnięte wargi – postaram się pani nie przeszkadzać.

Starałem się dotrzymać słowa i nie odzywałem się w ogóle przez resztę drogi. Zresztą co dosyć, to dosyć. Przekonałem ich chyba dostatecznie, że nie mam naj-

mniejszej ochoty na przebywanie w ich towarzystwie i jestem jedynie posłuszny ze względu na Adama. Nie było sensu narażać się na dalsze służenie Mike'owi jako worek treningowy. Miałem zamiar prowokować go nadal, bo człowiek walczący pod wpływem nienawiści, a nie z zimnego, zawodowego wyrachowania, jest znacznie łatwiejszy do pokonania, zwłaszcza w momencie gdy się tego nie spodziewa. Ale ten moment jeszcze nie nadszedł.

Nie odzywałem się więc już wcale przez resztę jazdy. Trwało to dosyć długo. Trasę Zgorzelec – Sanok McIntosh, wyduszając ile się da z ambulansu, pokonał w ponad osiem godzin.

Dopiero za Sanokiem zwolniliśmy. Nie dlatego, że McIntosh zapragnął nagle stać się wzorowym kierowcą, przestrzegającym wszystkich ograniczeń szybkości, ale po prostu dlatego, że szosa, po której jechaliśmy, nie była w ogóle szosą. Stanowiła dopiero zadatek na szosę. Wąska, obliczona tak mniej więcej na półtora samochodu droga miała co pięć metrów wiraż, przy którym wysiadały jugosłowiańskie zakręty śmierci, a co pół metra jakąś wyrwę, wybrzuszenie, kamień – cokolwiek, co tylko mogło podrzucić nas na pół metra w górę.

– Może jeszcze trochę zwolnimy? – spytał w pewnej chwili McIntosh swego szefa.

Na jego twarzy malowało się pełne koncentracji napięcie. Prowadzenie wozu z taką szybkością po tych wybojach groziło co chwila absolutną katastrofą, co McIntosh jako kierowca tej szalonej lokomotywy, uświadamiał sobie najlepiej.

– Nie – warknął Smith zdecydowanie. – Jeżeli tam nie zdążymy na czas, to możesz się już nigdzie w ogóle nie spieszyć.

McIntosh wzruszył ramionami, ale bez sprzeciwu jechał dalej w tym samym tempie.

Daleko za Sanokiem McIntosh nagle zahamował i stanął. Smith otworzył szybko drzwi i zawołał:

– Wysiadać!

Wysiedliśmy na pustą, osłoniętą z obu stron zalesionymi zboczami szosę. Dalej od drogi wznosiły się pokryte mieszanym lasem wzgórza o łagodnych stokach. Szara nitka szosy była widoczna przed nami na kilka metrów, po czym znikała za kolejnym zakrętem.

Zza tego właśnie zakrętu wyjechał nagle samochód. Był to zwyczajny ciemnozielony fiat 125, który podjeżdżając do nas zaczął niespodziewanie zwalniać. Spojrzałem na Smitha, ale on nie okazywał żadnego niepokoju. Wręcz przeciwnie – na jego twarzy odmalowała się ulga i gdy samochód zatrzymał się przy nas, Smith podszedł do niego i otworzył drzwiczki.

– Wszystko w porządku? – zapytał głośno kierowcę.

Mówił po polsku! Jego polszczyzna, tak jak i Mike'a, nie była zbyt doskonała, ale dosyć biegła. Przebywałem w wątpliwie przyjemnym towarzystwie Smitha już drugi dzień, ale dopiero teraz, kiedy to było niezbędne, zdradził się ze swoją znajomością polskiego. Ciekawe ile jeszcze niespodzianek kryła w sobie tak niepozorna postać szacownego kolekcjonera obrazów z Hampton Court?

Zaczynałem odkrywać w Smithu nie tylko bezwzględność, ale zdolność zaskakiwania nie ujawnianymi zdolnościami. Na każdym kroku spotykałem się z dowodami, że umiał przewidywać i planować wiele rzeczy naprzód.

W tej sytuacji czarno widziałem przyszłość moich planów.

Kierowca fiata przez krótką chwilę konferował ze Smithem. Wreszcie Smith wrócił do naszej stojącej przy ambulansie grupki i zwrócił się do McIntosha:

– Wszystko O.K. Łącznicy czekają. Możemy jechać.

– A co z tym profesorkiem? – McIntosh wskazał na mnie.

Znieruchomiałem. Wydawało mi się, że przewidziałem ich plany dotyczące mojej osoby, ale jeśli się pomyliłem? Mike przecież tylko czeka, żeby wyciągnąć colta i zrobić z niego nareszcie użytek...

– Z nim? – Smith wpatrzył się we mnie zimnym wzrokiem. – No cóż – wycedził wolno – naukowcy nie są mi już teraz potrzebni. Przynajmniej nie tacy od obrazów. Bill – Smith rzucił na niego okiem – jest mi przydatny, ale ten...

Zacząłem już w myśli obliczać, ile czasu zajmie mi wydobycie mojej piątki, kiedy nagle Smith rozciągnął wargi w nikłym uśmiechu.

– Proszę, proszę! Takie mamy mocne nerwy! – mówił drwiącym tonem. – Nie musisz zgrywać bohatera, Skolimowski. Nie mam zamiaru cię zastrzelić. Jeszcze nie.

Przyjąłem to z twarzą martwego Indianina. Głównie dlatego, że wszystkie mięśnie, z tymi na twarzy włącznie, miałem napięte do ostateczności. Już wiedziałem, co było najniebezpieczniejszą cechą Smitha. Był nie tylko okrutnym i bezlitosnym przestępcą. Lubił bawić się z podległymi mu ludźmi jak kot z myszą. Wzbudzać w nich strach i odwlekać moment egzekucji jak najdłużej. Zapewne z takim samym okrutnym zadowoleniem jak mnie teraz, obserwował Steve'a, kiedy ten desperacko usiłował wydobyć się z nałogu, a nie mógł, wciąż zaopatrywany w nowe dawki. Wreszcie Smithowi znudziła się ta zabawa i tak jak kot zabija upolowaną mysz jednym uderzeniem łapy, tak on pewnego dnia kazał zlikwidować tamtego człowieka.

Tym razem Smith nie miał czasu na przeciąganie okrutnych zabaw. Popędzani przez niego przesiedliśmy się do fiata. Miejsce kierowcy zajął McIntosh, obok niego Smith. Z tyłu usiadłem ja, oddzielony od Joan potężną i uzbrojoną w pistolet osobą Mike'a. Tym razem podróż nie trwała długo. Ujechaliśmy jakieś siedem kilometrów

i przed ostrym zakrętem w prawo skręciliśmy w boczną drogę.

– Za zakrętem jest miejscowość Kalnica – powiedział do Smitha McIntosh.

– A jak daleko do... Berehu? – ostrożnie wymówił nazwę szef.

– Niecały kilometr.

Po trzech minutach wjechaliśmy na mały mostek nad strumykiem i samochód zatrzymał się.

– Poczekamy tu na Billa, dobrze? – spytał Smitha McIntosh.

– Tak, on zaraz wszystko przywiezie – enigmatycznie odparł zagadnięty.

Po dziesięciu minutach nadjechał motor z przyczepą. Prowadził go człowiek, który poprzednio był kierowcą fiata, za nim siedział Bill.

– Pan inżynier powiedział, że przygotowaliśmy dobry sprzęt – uśmiechnął się z dumą kierowca do Smitha.

– Spróbowalibyście zrobić inaczej. – Smith nie był skory do pochwał. – Bill, jesteś pewien, że masz wszystko, czego ci trzeba? – zawołał do pochylającego się nad przyczepą inżyniera.

– Tak, pomóż mi tylko to zabrać – odpowiedział tamten.

Bill zaczął wydobywać z wnętrza przyczepy zwój liny, dwa kilofy, dwie dosyć ciężkie skrzynki i parę innych owiniętych w brezent narzędzi. Pomagał mu w tym Mike. Kiedy wyjęli już wszystko, Mike skinął na mnie:

– Bierz to – wskazał na zwój liny i kilofy. – Wreszcie się na coś przydasz.

Rozkaz został poparty wymownym ruchem colta, więc schyliłem się bez słowa. Jedną skrzynię wziął Smith, drugą, uginając się nieco, McIntosh. Resztę narzędzi zabrał Mike, nie okazując przy tym żadnego wysiłku. Joan nie niosła niczego.

Prowadzeni przez McIntosha weszliśmy wąską ścieżką w las. Kierowca zaś wprowadził motor, a potem fiata pomiędzy drzewa i pozostał przy nich.

Dzień był pochmurny, ale nieco zamglone słońce prześwitywało przez drzewa. Idąc wąską ścieżką podnosiłem co jakiś czas głowę, by zorientować się w kierunku naszej wędrówki. Szliśmy najpierw na zachód, po czym nagle skręciliśmy na północ. Zatoczywszy duże półkole dotarliśmy na skraj lasu. Na trzy metry przed końcową linią lasu Smith nakazał gestem postój. Wszyscy z ulgą pozbyliśmy się naszych ciężarów. W ramionach czułem głęboko odciśnięte pręgi. Ponadto przy każdym kroku odzywał się w mojej lewej nodze przeszywający ból. Przez chwilę nie mogłem się zdecydować nawet, co ucierpiało w czasie tego marszu bardziej: moje obolałe ramiona czy jeszcze nie zagojona noga. Wreszcie przyznałem pierwszeństwo nodze, nie sprawiło mi to jednak żadnej ulgi.

Pod osłoną drzew zbliżyliśmy się do skraju lasu. Przez chwilę przyglądaliśmy się w milczeniu roztaczającemu się widokowi.

Miejsce, w którym staliśmy, znajdowało się na szczycie pionowego zbocza. Takie same, dość wysokie, pokryte ziemią i piaskiem zbocza otaczały ze wszystkich stron dużą nieckę. Przeciwległy brzeg niecki także był porośnięty lasem, ale ten, w którym staliśmy, był znacznie gęstszy.

Na lewo od nas owalna, głęboka niecka przechodziła w szerokie, osłonięte z obu stron wysokimi brzegami koryto. Jakieś pięćset metrów dalej koryto to rozszerzało się nieco i łagodnym łukiem znikało za zakrętem. Zbocza niecki oraz jej dno były poorane śladami gąsienic traktorów, miejscami widać było drewniane bądź betonowe umocnienia. Cały ten teren nosił ślady sztucznego, dokonanego ręką ludzką uformowania. Ta przeprowadzona z rozmachem poprawa naturalnych warunków terenu

była działalnością, której przyczyn nie trzeba było daleko szukać.

Na prawo, mniej więcej w odległości siedmiuset metrów od miejsca, w którym staliśmy, znajdował się koniec niecki. Została ona zakończona wysoką betonową ścianą. Była to wznosząca się wysoko ponad linię wierzchołków drzew tama.

Od strony niecki tama miała kształt trapezu, odchylonego nieco górną krawędzią w tył i opartego dłuższą podstawą o dno wykopu. U dołu trapezu znajdował się szereg otworów, którymi normalnie, po zbudowaniu tamy, wypływa woda. Na samym szczycie tamy stały dwa identyczne, zbudowane z szarego kamienia budynki. Obok nich, na górnej krawędzi tamy, przebiegała jakaś droga, gdyż dostrzec można było umieszczone na całej długości dwie równoległe poręcze. Od jednego z budynków poprowadzono aż na dno wykopu metalową drabinę przymocowaną do pochyłej ściany żelaznymi klamrami. Tama została zbudowana z ciemnoszarego betonu, a ten, kto ją projektował, nie miał najmniejszego zamiaru zawracać sobie głowy takimi drobiazgami, jak estetyka i lekkość konstrukcji. W efekcie ta ponura jak noc budowla, zwłaszcza przy mglistej, deszczowej pogodzie, stawała się gwarantowaną zakałą nawet najpiękniejszego terenu.

Tutaj teren, porośnięty różnokolorowymi, malowniczo rozmieszczonymi drzewami, był naprawdę piękny i tama brutalnie z nim kontrastowała swoją solidną betonową brzydotą.

Na twarzy Smitha, kiedy przelotnie rzuciłem na niego okiem, malował się jednak niemal zachwyt. Z błogim uśmiechem satysfakcji przyglądał się uważnie tamie. W pewnym momencie wyciągnął z kieszeni kurtki lornetkę i począł lustrować budowlę. Wreszcie skinął głową i zwrócił się do McIntosha:

– W porządku Trevor, zrobiłeś dobrą robotę.

Smith spojrzał na zegarek i wyraz zadowolenia zniknął z jego oblicza jak zdmuchnięty. Zdenerwowany zaprezentował swoją gruntowną znajomość nie drukowanych zazwyczaj subtelności języka angielskiego, tak że Joan spojrzała na niego z oburzeniem. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i rozkazał McIntoshowi:

– Prowadź szybko do chaty!

Zawróciliśmy w miejscu i popędzani przez Smitha w ciągu dwóch minut doszliśmy do ustawionej na wąskiej przecince w środku lasu chaty. Było to coś w rodzaju gajówki, ale bardzo zaniedbanej. Składała się z dwóch izb i małego, ciemnego przedsionka. W jednym z pomieszczeń, tym większym, było okienko. Tam też zostaliśmy wprowadzeni.

W środku, na szerokiej ławie pod ścianą, siedziało dwóch ludzi. Obydwaj byli odziani w ciemne ortalionowe kurtki, na nogach mieli solidne wojskowe buty. Obydwaj byli nieco zarośnięci, mieli grube, pospolite rysy i ponure spojrzenia. Na nasz widok poderwali się z miejsc i zaczęli przypatrywać się nam uważnie. McIntosh zwalił na ziemię ciężar, który dźwigał, gestem nakazał nam zrobić to samo, po czym podszedł do patrzących nieufnie mężczyzn i przywitał się z nimi.

– To jest Mr Smith – przedstawił im szefa.

Smith przywitał się z nimi krótko i zapytał:

– Wszystko załatwione? Samochody czekają?

– Tak – odparł jeden z zapytanych. – Mamy zapewniony transport aż do przełęczy.

– Dobrze – skinął głową Smith. – Idźcie teraz na punkt i czekajcie na nas.

– A pan? – zapytał mężczyzna.

– Nie twoja sprawa! – osadził go ostro Smith. – Nie płacę ci za pytanie.

Mężczyźni popatrzyli po sobie niepewnie, ale przyna-

gleni gestem przez Mike'a wyszli z chaty. Smith odprowadził ich wzrokiem, po czym odwrócił się do mnie.

– Teraz porozmawiamy, Mr Skolimowski. – Jego głos miał nieprzyjemne metaliczne brzmienie. – Mike! Uważaj na niego, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa.

– Nie ma sprawy, szefie! – Mike poparł to zapewnienie energicznym szturchnięciem mnie pod żebra lufą colta.

– Mogę ci teraz powiedzieć, po co tu przyjechaliśmy – powiedział Smith.

– Cały zamieniam się w słuch. – Spojrzałem na niego spod przymrużonych powiek.

– Wyobraź sobie, że jutro rano, a może nawet dziś, za kilka godzin, strażnik odkryje w hali siłowni tamy wielką, wykutą w podłodze dziurę, a obok niej martwego faceta i porzucone materiały wybuchowe. Jaki wniosek wyciągnie wstrząśnięty strażnik? Taki sam, jaki wysuną odpowiednie zawezwane władze. Że ten facet to niebezpieczny szpieg, dywersant, który chciał wysadzić w powietrze tamę, ale mu się nie udało.

– Ciekawe! – mruknąłem. – I co dalej?

– Nic. Mając tak oczywiste ślady i dowody przestępstwa nikt nie będzie dociekał rzeczywistego przebiegu wydarzeń. Obie strony będą zadowolone. Władze zamkną dochodzenie, ponieważ tamy nie wysadzono, a dywersant zginął. Natomiast ja ulotnię się z Polski załatwiwszy pomyślnie swoje interesy, związane właśnie z tą tamą. Domyślasz się zapewne, dlaczego tak szczerze ci to wszystko opowiadam? – zapytał mnie Smith, spoglądając uważnie.

– Zapewne z tego samego powodu, dla którego nie ukrywałeś przede mną wszystkich swoich kontaktów z twoimi ludźmi w Polsce. Nie wydam tych ważnych rzeczy żadnej policji na świecie po prostu dlatego, że to ja mam być tym człowiekiem znalezionym przy tamie.

– Prawidłowa dedukcja – skinął głową Smith.

– Nie zapominaj jednak, że na przejściu sprawdzano moje dokumenty i wiadomo, że przejechałem z wami granicę. Kiedy nie stawię się w Warszawie, zaczną mnie szukać i po pewnym czasie mogą skojarzyć ten fakt ze znalezieniem mojego ciała w Berehu.

Mówienie o sobie samym jako o „ciele" nie sprawiało mi zbytniej przyjemności, ale chciałem zmusić Smitha do wyjawienia możliwie wielu informacji. Smith dawał się do tego nakłonić raczej łatwo.

– O, nie martw się o to – uśmiechał się krzywo. – Ja zawsze pamiętam o istotnych drobiazgach. Bill jest dobrym inżynierem i kiedy już załatwi nasze sprawy, zajmie się spreparowaniem odpowiedniego wypadku. Zostaniesz znaleziony ze zniekształconą zupełnie twarzą. Sprawi to mały ładunek wybuchowy, który eksploduje ci w rękach. W ten sposób specjaliści łatwo zrekonstruują wydarzenia. Usiłowałeś podłączyć ładunek wybuchowy, ale ci się to nie udało i zginąłeś podczas niespodziewanego wybuchu. Poza tym w kieszeni będziesz miał dokumenty na inne nazwisko, co znacznie utrudni identyfikację – wyjaśniał mi nonszalancko.

– Utrudni, ale nie uczyni jej niemożliwą – przerwałem. – Specjaliści szybko zaczną mieć wątpliwości, czy nie jest to sfingowany wypadek. Po pierwsze będą szukać moich wspólników, bo wiadomo, że nie mogłem tej roboty przygotować i wykonywać zupełnie sam. Poza tym, podejrzane wydadzą się im te rany na moim ciele. Następnie...

– To zupełnie nie ma znaczenia – przerwał mi Smith. – Chcę, żeby uwierzono w ten wypadek na krótki czas. Zanim wasza policja zorientuje się, że coś jest nie tak, mnie już nie będzie. Chodzi mi wyłącznie o zyskanie na czasie i ty będziesz mi w tym pomocny. Co prawda w sposób bardzo bierny – dodał uśmiechając się złośliwie.

Zobaczyłem, że wkłada rękę do kieszeni. Wydawało mi się przedtem, że trzyma broń zawieszoną na szelkach pod marynarką, a nie w kieszeni, lecz być może myliłem się. Jeśli tak, to ta pomyłka mogła być dla mnie tragiczna w skutkach. Zatrzymałem Smitha gestem.

– Nie możesz mnie przecież tutaj zabić. Masz zamiar przenosić ciało (zaczynałem się już przyzwyczajać do mówienia o sobie jako o „ciele") przez pół lasu, aż do wnętrza tamy? – zapytałem szybko.

– Masz rację – zgodził się Smith. – Nie byłoby to dogodne. Zamierzam zrobić coś innego.

Wyjął z kieszeni metalowe, połyskujące niklem pudełko.

– Mam zamiar unieszkodliwić cię na czas, kiedy będę załatwiał swoje sprawy. Potem wrócę i zajmiemy się tobą.

– Joan! – Smith przywołał dziewczynę.

– Tak? – Podeszła wolnym krokiem.

Była bardzo blada, z jej rozszerzonych oczu wyzierał strach. Chciałem jakoś dodać jej otuchy, ale Smith i pozostali obserwowali mnie cały czas bacznie i nie mogłem sobie pozwolić na najlżejszy nawet uśmiech.

Smith podprowadził dziewczynę do ławy i położył przed nią pudełko.

– Otwórz! – rozkazał.

Joan usłuchała. We wnętrzu dostrzegłem metalową strzykawkę, kilka igieł i ampułkę.

– Co to jest? – zapytała ze zdumieniem dziewczyna. – Co mam z tym zrobić?

– Nie wiesz? – spojrzał na nią bystro Smith. – Zrobisz Mr Skolimowskiemu zastrzyk, po którym będzie spał słodko aż do naszego przybycia.

– Ależ... – cofnęła się zaskoczona dziewczyna.

– Przecież mówiłaś, że winisz go za śmierć Steve'a. Teraz masz okazję się odegrać. – Patrzył nieubłaganie na

dziewczynę. – Mike! Przyprowadź go tutaj – zakomenderował, zwracając się do swojego podwładnego.

Mike szarpnął mnie brutalnie za ramię i nagłym chwytem wykręcił mi obie ręce do tyłu. Szarpnąłem się, ale na pomoc Mike'owi skoczył McIntosh i już po chwili siedziałem unieruchomiony na ławce.

Joan niechętnie sięgnęła po strzykawkę. Napełniła ją powoli przezroczystym płynem i zawahała się. Pochyliła się nade mną rzucając mi rozpaczliwe spojrzenie.

Rozumiałem jej rozterkę. Joan, tak jak jej kazałem, udawała niechęć do mnie, żeby odsunąć jakiekolwiek podejrzenia co do sojuszu między nami. Nie mogłem jednak przewidzieć ogromu perfidii Smitha i teraz znaleźliśmy się w pułapce. Joan patrzyła na mnie bezradnie i z rozpaczą w oczach. Rzuciłem ukradkowe, szybkie spojrzenia na trzymających mnie McIntosha i Mike'a. Obydwaj byli wpatrzeni w moje obnażone przedramię. Bezgłośnie wyszeptałem do Joan: „Udawaj!"

Dziewczyna spojrzała na ruch moich warg i skinęła niedostrzegalnie głową. Wbiła z rozmachem igłę, ale jednocześnie lekko ją przekrzywiła i cofnęła. Natychmiast wyjęła igłę z mojej ręki i zwróciła się z pretensją w głosie do Smitha:

– Nie mogę mu zrobić zastrzyku, kiedy oni go trzymają. Mięśnie są naprężone i igła nie wchodzi.

– Puśćcie go – rozkazał Smith. – A ty, Skolimowski, nie ruszaj się, bo Mike tylko czeka, żeby ci wpakować kulę w łeb.

– No jasne! – zaśmiał się Mike wstając i wydobywając na nowo colta. Milczałem i nie poruszałem się ani na milimetr. Joan znów pochyliła się nade mną. Ustawiła się tak, że zasłaniała moją rękę od strony Smitha i pozostałych. Najpierw delikatnie wbiła igłę w moje przedramię, a następnie równie ostrożnie wycofała ją. Potem wbiła ostrze w gruby materiał odsuniętego w górę rękawa

mojej kurtki i wpuściła w niego płyn ze strzykawki. Zaraz po tym gwałtownie wyprostowała się i zaczęła pospiesznie składać narzędzia w pudełku.

Smith podszedł do mnie. Rzucił okiem na moją pokłutą rękę i z zadowoleniem skinął głową.

– Dobrze zrobione, córeczko! – pogładził Joan po włosach.

Zobaczyłem, że dziewczyna aż sztywnieje pod jego dotknięciem, ale nie powiedziała ani słowa. Smith tymczasem podszedł do złożonego na kupę sprzętu, by go rozdzielić pomiędzy siebie, Billa i McIntosha. Co jakiś czas rzucał na mnie bystre spojrzenie.

Przez pierwsze trzy minuty siedziałem zupełnie prosto i spokojnie. W trzeciej minucie zacząłem przecierać oczy i tłumić ziewanie. W czwartej – otworzyłem z wysiłkiem oczy na całą szerokość i potrząsnąłem energicznie głową. W piątej – kiwnąłem się na ławie. W szóstej – leżałem już obok niej sapiąc głośno. W siódmej – byłem całkiem nieruchomy.

Posłyszałem szybkie kroki i nagle poczułem silne kopnięcie w żebra. Jęknąłem stłumionym głosem, ale nie poruszyłem się. Następne kopnięcie nie wywołało już żadnej reakcji.

– Już śpi – rozległ się głos Mike'a.

Przynajmniej wiedziałem, komu będę zawdzięczał połamane żebra.

– Tego zostaw – odburknął Smith. – Zostaniesz z Joan i z tą śpiącą królewną, a my idziemy. Masz tutaj warować jak pies i nic nie robić bez mojego rozkazu, zrozumiałeś?

– Tak, szefie! – odparł służbiście Mike.

Usłyszałem trzask drzwi i oddalające się kroki w sieni. Po chwili zapadła zupełna cisza. Jak wynikało z odgłosów, Joan przysiadła w przeciwległym kącie obok wygasłego paleniska. Mike przez chwilę krążył po izbie, aż wreszcie stanął przy znajdującym się po lewej stronie ode

mnie oknie. Przez prawie kwadrans panowała całkowita cisza. Leżałem bez ruchu, w myśli obliczając odległość, jaką mogli już przebyć Smith i jego ludzie.

Wreszcie uznałem, że można zacząć działać. Uniosłem lekko powieki i spojrzałem poprzez rzęsy. Joan siedziała skulona i oparta o piec. Mike stał odwrócony tyłem do izby i cicho pogwizdywał.

Bezszelestnie zmieniłem nieco pozycję i podkuliłem prawą nogę. Potem zacząłem wolniutko przesuwać prawą rękę w kierunku cholewki mojego wysokiego buta. Wsunąłem dłoń za cholewkę i delikatnie wyłuskałem stamtąd piątkę. Nie był to co prawda duży pistolet, ale powinien wystarczyć na moje potrzeby.

– Rzuć to! – zabrzmiał wypowiedziany z wściekłością rozkaz.

Znieruchomiałem. W ręce Mike'a tkwił skierowany prosto we mnie rewolwer.

– Rzuć to natychmiast, bo odstrzelę ci rękę – ponowił rozkaz Mike.

Jego colt był już przygotowany do strzału, natomiast moja piątka nie. Rzuciłem broń.

– Kopnij go w moim kierunku – komenderował dalej Mike. – I zrób to ostrożnie, bo może mi drgnąć ręka. Tego byś chyba nie chciał, co?

Zrobiłem, jak kazał. Mike przytrzymał sunący po podłodze pistolet stopą.

– Sprytny z ciebie ptaszek! – Twarz Mike'a rozjaśnił niedobry uśmiech. – Chciałeś nas przechytrzyć. Ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Bądź pewien, że nie jesteś pierwszym, który próbuje.

– O, w to nie wątpię – odparłem ironicznym tonem.

– Jeszcze się odszczekujesz? – zdziwił się dobrodusznie Mike. – Z tym większą przyjemnością cię zatłukę.

– Będziesz miał nieprzyjemności od szefa.

– Jakoś sobie poradzę – odparł nonszalancko Mike. –

Szef wie, że czasem zdarza mi się komuś zrobić krzywdę, ale jest wyrozumiały. Zresztą taką mam robotę. Na przykład niedawno zatłukłem tego twojego przyjaciela... no... jak mu tam...

– Nicka Dalloway'a? – Poczułem, jak zimny dreszcz przebiega mi po plecach.

A więc to był morderca Nicka!

– Tak, tego faceta w hotelu – przytaknął beztrosko Mike. – W ogóle ostatnio miałem trochę roboty. Szef zlecił mi też zlikwidowanie szprycera od tej smarkatej. – Mike kiwnął głową poza siebie, w kierunku nieruchomo stojącej Joan.

– Jesteś zawodowym mordercą, Mike – powiedziałem cicho.

– No, no, nie tak brzydko – skrzywił się w ponurym uśmiechu tamten. – Widzę, że nie zdążysz się już nauczyć dobrych manier. Koniec z tobą, przyjacielu.

Zaczął podnosić wolno broń do oczu. Naprężyłem wszystkie mięśnie. Nagle wyraz twarzy Mike'a zmienił się. Znikł z niej okrutny krzywy uśmieszek, a pojawiło się skrajne zaskoczenie. Już w skoku widziałem, że powodem tego były ręce Joan niespodziewanie obejmujące go od tyłu za szyję.

Colt Mike'a wypalił, ale kula minęła mnie o jakieś pół metra. W następnej chwili tarzaliśmy się już po podłodze. Mike'a roznosiła furia i bardziej niż kiedykolwiek pragnął skręcić mi kark. Nienawiść Mike'a do mnie była jednak wynikiem chęci zemsty za moje docinki i pogardę, jaką mu okazywałem. Moja nienawiść była większa. Nie miałem wprawdzie wrodzonego instynktu zabijania tak jak on, ale czułem teraz gorącą żądzę zatłuczenia go na miejscu. Nie miałem litości dla mordercy Nicka Dalloway'a.

Przez chwilę koziołkowaliśmy bezładnie po całej podłodze. W pewnym momencie udało mi się przygwoździć

jego prawą rękę trzymającą colta do ziemi. Wyszarpnąłem mu broń z ręki przy akompaniamencie trzasku jego kości. Mike zawył dziko i z nadludzką energią strząsnął mnie z siebie. Poderwaliśmy się jednocześnie. Niestety, nie tylko ja miałem broń w ręku. Podczas naszego tarzania się Mike zdołał pochwycić leżącą na podłodze piątkę. Trzymał ją teraz w lewej ręce. Stał pochylony silnie do przodu, dysząc ciężko. Jego twarz wyglądała odrażająco, z przekrwionymi białkami i grymasem bólu i nienawiści. Przez sekundę mierzyliśmy się nienawistnym wzrokiem. Nagle Mike wyprostował się i zaczął unosić broń ku oczom. Zaczął. Nigdy nie dokończył tego gestu, gdyż kula z colta w ułamku sekundy zatrzymała wszystkie jego ruchy.

Trafiony Mike wyprostował się jeszcze bardziej, po czym upadł ciężko na ziemię. Upuszczony pistolet potoczył się z hukiem po podłodze. Łoskot padającego ciała zlał się w jedno z przenikliwym krzykiem Joan.

Spojrzałem ponad ciałem Mike'a na dziewczynę. Joan stała, z rękami na framudze drzwi, z otwartymi do krzyku ustami i skrajnym przerażeniem w oczach. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że patrzę na nią spoza olbrzymiego rewolweru, a w oczach mam jeszcze nienawistne spojrzenie, jakim mierzyłem przed chwilą Mike'a. Opuściłem powoli broń i powiedziałem cicho:

– Tak było trzeba, Joan. Gdybym nie zdążył, zabiłby nas oboje.

Dziewczyna nie odpowiadała.

– Pomyśl o Stevie. Mike go zabił. Zabił także mojego przyjaciela i pewnie wielu innych. Temu człowiekowi należał się taki los, jaki go spotkał – powiedziałem, powoli podchodząc do niej.

Patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma. Byłem już całkiem blisko niej.

– Joan... – wyciągnąłem rękę.

Dziewczyna znieruchomiała przez chwilę. Nagle jej ciałem wstrząsnął nerwowy dreszcz i wybuchnęła głośnym, spazmatycznym płaczem. Przygarnąłem ją do siebie i objąłem mocno ramieniem. Przez chwilę targał nią niepohamowany płacz. Wreszcie, wciąż jeszcze szlochając, dziewczyna podniosła ku mojej twarzy zapłakane oczy.

– Uciekajmy stąd, zanim tamci wrócą. Szybko!

– Tak, Joan, uciekniemy stąd, ale niezbyt daleko. – Odsunąłem z jej czoła zlepione kosmyki.

– Dlaczego niedaleko? – Nie rozumiała. – Przecież jeżeli oni cię teraz złapią, to...

– Nie, teraz mnie już nie złapią – powiedziałem uspokajającym tonem. – Masz rację, trzeba stąd iść.

– A... on? – Joan spojrzała z wahaniem i odrobiną lęku w kierunku leżącego na podłodze Mike'a.

– Nie myśl już o nim, to przeszłość – odwróciłem jej głowę. – Chodź, mamy mało czasu.

Objąłem dziewczynę ramieniem i skierowałem się do wyjścia. Na progu oślepiło nas krwistoczerwone, jaskrawe słońce zachodu. Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć minut po szóstej.

– Joan, trafisz stąd sama do szosy? – zapytałem szybko.

– Sama? – spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Tak, nie mogę cię tam zaprowadzić. Muszę iść do tamy.

– Ależ oni cię zabiją! – Dziewczyna patrzyła na mnie z lękiem.

– Nic mi nie będzie – uśmiechnąłem się do niej – ale nie mogę się teraz tobą zająć. Idź tędy prosto do szosy, a tam...

– Nigdzie nie pójdę! – wyrwała mi się z roziskrzonymi oczyma. – Nie mam najmniejszego zamiaru rozstawać się z tobą.

Przez chwilę mierzyliśmy się jednakowo stanowczym wzrokiem, aż w końcu ponownie spojrzałem na zegarek i przynaglony widokiem przesuwającej się wskazówki powiedziałem z westchnieniem:

– Ty rzeczywiście jesteś potwornie rozpieszczona. Gdybym to ja cię wychowywał... – wzruszyłem ramionami. – No cóż, chodź, ale pamiętaj, że masz robić dokładnie to, co ci każę.

– O. K. – skinęła potulnie głową.

– No to idziemy. – Zawróciłem na pięcie i wszedłem między drzewa.

Szliśmy bardzo szybko wąską ścieżką. Co chwila spoglądałem na zegarek i za każdym razem przyspieszałem. Słyszałem za sobą ciężki oddech Joan, ale nie zwalniałem. Tuż przed skrajem lasu przystanąłem na chwilę i obejrzałem się na dziewczynę. Dyszała z wysiłkiem, jej twarz była mocno zarumieniona. Sięgnąłem do kieszeni i podałem jej chusteczkę.

– Dziękuję. – Spojrzawszy na mnie z wdzięcznością, zaczęła wycierać spoconą twarz.

– Niestety musimy się bardzo spieszyć – powiedziałem do niej. – Postaraj się zebrać jakoś wszystkie siły, teraz czekają nas jeszcze trudniejsze rzeczy. I na miłość boską trzymaj się z daleka ode mnie, jeśli będą strzelać! Odpoczęłaś trochę? To w drogę!

Las skończył się i stanęliśmy na poboczu wąskiej, nie ubitej drogi. Była to świeżo wytyczona droga, która przebiegała szczytem zbocza i przechodziła przez tamę. Wzdłuż niej ustawiono dwa identyczne jednopiętrowe budynki. Od bliższego z nich dzieliło nas jakieś trzydzieści metrów.

– Joan, pójdę pierwszy, a ty dziesięć metrów za mną. Podchodź do mnie dopiero wtedy, kiedy cię przywołam. W tej chwili w tych budynkach nie ma nikogo poza nimi, ale może postawili kogoś na straży.

– Zaczekaj Marcin! – Joan uczepiła się kurczowo mojego rękawa. – Będę robić to, co mi każesz, ale najpierw powiedz, dlaczego wszyscy tak się spieszą i po co właściwie tam poszli.

Spojrzałem na dziewczynę uważniej. Joan wpatrywała się we mnie z uporem i determinacją.

– No dobrze – zdecydowałem się – powiem ci, ale tylko w dwóch słowach. Ta tama została niedawno zbudowana. Dziś o godzinie dwudziestej zero zero zostaną otwo rzone przepusty wodne. To są te otwory w ścianie tamy, które widzieliśmy z góry. Jest to mechanizm włączany automatycznie przez zaprogramowane uprzednio komputerem urządzenia sterujące. Dlatego nie będzie nikogo w budynkach obsługi tamy i dlatego tak się wszyscy spieszą. Smith musiał przewieźć broń przez granicę, nie mógł więc lecieć samolotem, bo tam nie uniknąłby kontroli. Ale samochodem jedzie się długo i nagle twojemu ojcu zabrakło czasu na realizację planów.

– Nie nazywaj tego człowieka moim ojcem! – przerwała gniewnie Joan.

Rzuciłem na nią przelotnie okiem i podjąłem pospieszną relację.

– Przez to opóźnienie w podróży Smith musiał się tak strasznie spieszyć dlatego gnaliśmy na sygnale przez pół Polski. Inna rzecz, muszę mu to przyznać, że organizację ma doskonałą. Zmienialiśmy samochody jak rękawiczki.

– Trevor był w Polsce w zeszłym roku – odezwała się Joan. – Pewnie wtedy nawiązał odpowiednie kontakty.

– Tak – skinąłem głową. – Zrobił to i zapewne wiele jeszcze innych rzeczy.

– Ale po co to wszystko? Co jest we wnętrzu tamy?

– Dowiesz się niedługo – przerwałem jej. – Teraz musimy już iść.

Poszedłem szybkim krokiem w stronę budynku. Podchodząc do ciemnego milczącego domu miałem niemiłe

uczucie, że za chwilę z któregoś okna wysunie się ręka McIntosha uzbrojona w pistolet i nawet nie będę miał się gdzie skryć, gdyż przestrzeń, jaką miałem do przebycia, była zupełnie odkryta. Wreszcie w kilku susach przebiegłem kilka ostatnich metrów i oparłem się o ścianę. Wokół panowała cisza, nikt nie strzelał, nie słychać było w ogóle żadnego dźwięku. Zajrzałem ostrożnie przez najbliższe okno do wnętrza. Zobaczyłem mały korytarzyk, na który wychodziło kilka par drzwi. Nie widziałem tam nikogo. Przywołałem ruchem ręki Joan stojącą wciąż jeszcze na skraju lasu. Dziewczyna przybiegła do mnie szybko i stanąwszy przede mną wydyszała:

– Jest tam ktoś?

– Nie – zmarszczyłem brwi. – Nie ma zupełnie nikogo. Wchodzimy do środka.

Podszedłem do drzwi i ostrożnie je uchyliłem. Oślepiony blaskiem zachodzącego słońca przez chwilę mrużyłem oczy nic nie widząc. Weszliśmy do wnętrza. Stanąłem na środku korytarzyka i rozejrzałem się. Przede mną był szereg zamkniętych drzwi.

– Poczekaj tutaj chwilę – powiedziałem do dziewczyny.

Podchodziłem kolejno do drzwi i otwierałem je ostrożnie. Trzecie z kolei otworzyłem powoli, ale natychmiast uchyliłem je szerzej. Zrobiłem krok naprzód i ukląkłem na podłodze. Usłyszałem za sobą westchnienie. To Joan przechylała się przez moje ramię.

– Spokojnie! – ostrzegłem ją. – Nie krzycz, on żyje.

Na podłodze leżał związany i zakneblowany człowiek w mundurze strażnika. Oczy miał zamknięte, z tyłu głowy sączyła się mu krew.

– Wyjmiemy mu knebel, a ta rana jest powierzchowna – powiedziałem uspokajająco do Joan.

Usunąłem knebel i rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś ostrego narzędzia, ale niczego nie dostrzegłem.

Z pomocą Joan zaciągnąłem nieprzytomnego człowieka do innego pokoju.

– Niestety, nie mogę go rozwiązać, ale tutaj mu się nic nie stanie. Nie jest ciężko ranny – odpowiedziałem na nieme pytanie dziewczyny. – Musimy już iść, nie ma chwili czasu do stracenia – popędziłem ją spoglądając znowu na zegarek.

Wychodząc z pokoju zamknąłem drzwi za sobą, mając tylko nadzieję, że strażnik nie dowie się nigdy, jak bezceremonialnie zostawiłem go bez opieki. Lecz teraz musiałem zająć się innymi, którymi także chciałem się zaopiekować. To znaczy w pewnym sensie.

Otworzyłem jeszcze po drodze kilka innych drzwi, ale dopiero ostatnie z kolei okazały się być tymi, których szukałem. Znajdowały się za nimi prowadzące w dół schody. Zacząłem schodzić ostrożnie, prowadząc za sobą Joan. Po minięciu czterech podestów zatrzymałem się. Z dołu dobiegał słaby, ale wyraźny odgłos kucia.

– Jo, jeżeli chcesz mi teraz naprawdę pomóc – powiedziałem gorąco do dziewczyny – to zostań tutaj i nie ruszaj się pod żadnym pozorem. Przyrzekasz mi to?

– Dobrze, ale... ale proszę, jeśli ty chcesz coś dla m n i e zrobić, to uważaj na siebie! – Joan patrzyła na mnie żarliwie.

Musnąłem wargami jej usta i wyminąwszy ją zacząłem szybko schodzić po schodach.

Odgłosy kucia dobiegały coraz wyraźniej. Wreszcie hałas stał się tak silny, że zwolniłem kroku i zacząłem schodzić, schodek po schodku. Przed kolejnym zakrętem zatrzymałem się i wyjrzałem ostrożnie spoza ściany. Zobaczyłem na pół uchylone drzwi, przy których tyłem do mnie, zaglądając do wnętrza, stał McIntosh. W ręce trzymał rewolwer.

Huk dobiegający mnie zza uchylonych drzwi był tak donośny, że mogłem swobodnie zrobić kilka kroków, nie

starając się nawet nadmiernie ściszać ich szelestu. Stanąłem tuż za McIntoshem i w uderzenie rękojeścią colta, jakie spadło na tył jego głowy, włożyłem maksimum swoich umiejętności i siły. Pochwyciłem upadającego, zanim jeszcze dotknął ziemi i ułożyłem go ostrożnie na podłodze. Była to chyba zbyteczna ostrożność, bo łoskot jego padającego ciała nie byłby większy od tego, jaki wydał colt przy uderzeniu. W każdym razie mogłem się nie kłopotać o McIntosha przez najbliższe kilka godzin, a to było znacznie więcej, niż potrzebowałem.

Uchyliłem nieco szerzej drzwi, przy których jeszcze przed chwilą stał McIntosh, i ostrożnie zajrzałem do wnętrza.

Zobaczyłem przed sobą ogromną prostokątną halę. Pośrodku stały rozmaite maszyny, których przeznaczenia mogłem się tylko domyślać – były to zapewne urządzenia do przetwarzania energii wodnej. Na drugim końcu hali znajdowały się drzwi. Były one uchylone i widziałem przez nie wiodące na górę schody.

Mniej więcej po przekątnej od miejsca, w którym stałem, przy jednej ze ścian dostrzegłem Smitha i inżyniera. Obydwaj byli zajęci wykuwaniem w podłodze otworu. Kończyli już pracę – dziura była bardzo duża i obydwaj obtłukiwali tylko mniejsze kawałki dla wyrównania kształtu otworu.

Zrezygnowałem ze stanowiska obserwatora przy drzwiach i zacząłem iść w ich kierunku. Kryjąc się za maszynami i stojącymi co kilka metrów filarami zbliżyłem się do nich na odległość dwóch metrów.

– Koniec zabawy, panowie. Ręce do góry! – powiedziałem głośno.

Rozdział dziesiąty

Smith patrzył na mnie w kompletnym osłupieniu. Z ręki wypadł mu kilof i uderzył o beton z głośnym brzękiem. Bill nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni, ale znieruchomiał, kiedv kula odprysnęła kawałek betonu u jego stóp.

– Nie rób tego, inżynierze – ostrzegłem go.

Obydwaj pozostali w bezruchu.

– Wyjmijcie powoli broń i rzućcie ją na podłogę. Po kolei. Najpierw Smith, a potem ty – zakomenderowałem.

Wciąż jeszcze nie otrząsnęli się z osłupienia, bo wykonali polecone im czynności wręcz mechanicznie.

– Odsuńcie sie od broni na trzy metry – podałem kolejną komendę.

Smith zawahał się na sekundę, ale znaczące podniesienie lufy colta o kilka centymetrów ponagliło go. Nie spuszczając z nich wzroku podszedłem do broni i przykucając podniosłem kolejno oba rewolwery. Odsunąłem lewą ręką wieko stojącej obok skrzyni i wrzuciłem tam broń.

– Skąd się tu wziąłeś?! – wybuchnął Smith. – Gdzie jest Mike? Co się stało z Trevorem, przecież miał pilnować drzwi?

– Ale nie upilnował – odparłem spokojnie. – Obawiam się, że jutro będzie go trochę bolała głowa. A jeżeli chodzi o Mike'a, to nie jesteś zbyt spostrzegawczy. Nie poznajesz tego colta? Nie zastanowiło cię, skąd go mam? Ty się w ogóle mało zastanawiasz, Smith. Czy przyszło ci na przykład do głowy, jak to się dzieje, że nikt cię nie zatrzymał podczas tej szaleńczej jazdy przez całą Polskę ani że wnętrze tamy jest takie opustoszałe?

– Nie rozumiem – wychrypiał z wysiłkiem.

– Ach tak, nie rozumiesz – uniosłem brwi. – Zróbmy więc tak. Ja ci powiem różne rzeczy, których ty nie

rozumiesz, a za to ty mi też odpowiesz na parę pytań. Zgoda?

Smith wytrzeszczył na mnie oczy i sapał ciężko.

– Zgoda? – zapytałem już ostrzej, robiąc jednocześnie niedwuznaczny ruch niezawodnym coltem Mike'a. Smith przełknął głośno ślinę i skinął głową.

– Ale skąd... – wtrącił nagle inżynier.

– Zaraz powiem wszystko „skąd" – przerwałem.

– Mogę nawet zacząć od samego początku – powiedziałem spojrzawszy na zegarek. – Przyjechałem do Londynu mając niewiele informacji. Wiedziałem właściwie na pewno tylko to, że gdzieś tam znajduje się morderca mojego brata i złodziej ikony. Miałem się dowiedzieć więcej od Nicka Dalloway'a, ale on został zabity przez Mike'a.

– Skąd wiesz, że to Mike? – przerwał Smith.

– Zdążył mi to wyznać przed śmiercią – odparłem zimno. – Słuchaj dalej. Nie udało mi się porozmawiać z Nickiem, ale dzięki jego notatkom dotarłem do dwóch osób. Pierwszą była Lorraine Southwell, która była oczywiście przygotowana na moją wizytę i jak ci opowiadałem, dość długo wodziła mnie za nos. Drugą był profesor Salt, konserwator, który poinformował, że na obrazie restaurowanym przez niego przed aukcją znalazł jakieś dziwne rysy. Mówiłem ci już – zwróciłem się do Smitha – że podsłuchałem w domu Southwellów rozmowę Lorraine z McIntoshem. Nawiasem mówiąc tego, że był to właśnie on, domyśliłem się dopiero w Polsce. W każdym razie poszedłem tam wtedy oczywiście w innym celu. Obejrzałem dokładnie ikonę i sprawdziłem prawdziwość słów Salta. Przed moją kolejną rozmową z Lorraine zadzwoniłem do Warszawy i skontaktowałem się z moim instytutem. Szukając ikony i jej złodzieja nie załatwiałem wyłącznie swoich prywatnych porachunków. Na odzyskaniu tego obrazu zależało moim władzom w Mi-

nisterstwie Kultury i Sztuki oraz w instytucie. Kiedy opowiedziałem szefowi o swoich odkryciach w sprawie ikony stwierdził, że obrazem interesują się władze. Poproszono mnie o współpracę, gdyż istniało podejrzenie, że sprawa nie dotyczy jedynie przemytu dzieł sztuki. Słuchaj uważnie, Smith, to, co powiem, powinno ci być dobrze znane. „Pod koniec wojny uciekające wojska hitlerowskie ukryły w okolicach miejscowości Bereh transport kokainy przeznaczony dla niemieckich szpitali polowych. Transport został zakopany bądź zamurowany przez dwóch oficerów i kilku żołnierzy niemieckich. Wszyscy oni zginęli niedługo potem, ale istnieją podejrzenia, że został sporządzony plan tego miejsca". Koniec cytatu. Co ty na to, Smith? – spojrzałem na niego uważnie, ale ten milczał, ocierając jedynie spływający z czoła pot.

– Milczysz. To nic, wrócimy jeszcze do tego – stwierdziłem obojętnie. Następne wydarzenia znasz dosyć dobrze, bo rozgrywały się w Hampton Court. Nie wiesz jednak o wszystkim. Twój Mike był zawsze marnym strażnikiem. Wydawało mu się, że wtedy w piwnicy związał mnie bardzo dokładnie, okazało się jednak, że niedostatecznie. Udało mi się uwolnić tej nocy.

– Niemożliwe! – wybuchnął Smith.

– Oczywiście, zupełnie niemożliwe – zgodziłem się. – Opowiadam ci tylko bajeczkę na dobranoc. Wydaje mi się, Smith, że zbyt mocno wierzyłeś w umiejętności swoich podwładnych i... miłość córki.

– Joan? – Smith spojrzał na mnie zdumiony.

– Tak, Joan. To ona pomogła mi wtedy przedostać się do telefonu po uwolnieniu. Zadzwoniłem po raz drugi do Warszawy i poinformowałem o wypadkach, jakie zaszły. Opowiedziałem o tym, jaką wspaniałą posiadłością jest Hampton Court, że nie wspomnę o właścicielu. Dzięki twojej córce dowiedziałem się, że masz zamiar wybrać się

do Polski, i to jak najszybciej, żeby zdążyć przed jakąś wielką powodzią. Poprosiłem więc o informacje, gdzie w Polsce jest miejsce, które może zostać w najbliższym czasie zalane wodą. Umówiłem się także, że wiadomości o tym, co się dzieje w Hampton Court i kim jest naprawdę McIntosh, dotrą do inspektora Robsona via Warszawa dopiero po naszym odjeździe do Polski.

Smith sapał głośno i wpatrywał się we mnie otumanionym wzrokiem.

– Teraz muszę przyznać wam punkt. Zresztą jedyny w tej sprawie. Porwanie Adama skrępowało mi ruchy. Ja oczywiście miałem jak najbardziej zamiar jechać z wami do Polski i zrobiłbym to udając przestrach i posłuszeństwo, nawet gdybyście używali do trzymania mnie w szachu dziecinnego straszaka. Ty, Smith, nie chciałeś jednak ryzykować niczego i w ten sposób bardzo pomieszałeś mi szyki. Kiedy pojechaliśmy do hotelu odwołać mój udział w wycieczce, spotkałem tam Monikę, dziewczynę mojego bratanka. Dałem jej ukradkiem kartkę, przygotowaną uprzednio dla Kurowskiego, ale Monika nawet lepiej nadawała się do tego celu. W kartce tej prosiłem Robsona o skontaktowanie się z odpowiednimi polskimi władzami i uwolnienie Adama. Ustaliłem także, że wszystkie polskie przejścia graniczne będą obstawione, ponieważ nie było wiadomo, którędy będziemy przejeżdżać, a ja musiałem mieć kontakt z władzami w Polsce. Nie zwracasz uwagi na drobiazgi, Smith – zwróciłem się do niego. – Widziałeś przecież, że w Zgorzelcu zabrano mnie na kontrolę dokumentów do innego budynku. Nie wydała ci się podejrzana taka skrupulatność? Co dzień przez granicę przejeżdża kilkadziesiąt samochodów, których pasażerowie sprawdzani są pobieżnie, gdy tymczasem nas trzymano na przejściu ponad pół godziny. Twój pech, Smith, że cię to nie zdziwiło.

W budynku na granicy czekał na mnie porucznik

Polański. Poinformował mnie, że Robson otrzymał wiadomość i Adam jest już całkowicie bezpieczny, a z Hampton Court nie wychodzi dzień i noc cały legion policji. Właściwie mój udział był już skończony, ale wciąż jeszcze nie znaliśmy dokładnego celu waszej pospiesznej jazdy. Zdecydowaliśmy więc, że lepiej będzie, jeżeli pozostanę z wami i w ten sposób będziemy bez przerwy kontrolować wasze ruchy. Poza tym Polański wręczył mi pistolet. Ukryłem go w bucie, a wam nie przyszło do głowy, by mnie zrewidować po przybyciu do Polski. Kolejne niedopatrzenie, Smith.

Smith żachnął się i zaczął prezentować swój ulubiony niecenzuralny repertuar.

– Zamknij się – powiedziałem twardo. – Ten twój słownik znosili tylko twoi podwładni, a tych już nie masz. Ani w Anglii, ani tutaj. Polański poinformował mnie, że miejscem, do którego jedziemy, jest najprawdopodobniej Bereh nad Wetliną. Tama, którą tu zbudowano, ma być oddana do użytku dziś wieczorem i dlatego tak bardzo się spieszyliście. Oczywiście, cały teren został obstawiony, ale tylko ty miałeś dostęp do planu i dokładne ustalenie miejsca nie było możliwe bez waszego działania. Dlatego właśnie mogliście jechać tak zupełnie bez przeszkód przez pół Polski i dlatego usunięto strażników z budynków tamy. Miałeś wolną drogę, Smith, po to, żebyś zaprowadził nas prościutko do tego miejsca. To nie ja wam, ale wy mnie byliście potrzebni – zakonkludowałem.

– Jesteś największym draniem na świecie, Skolimowski – wycedził wściekle Smith.

– Możliwe. Z twojego punktu widzenia – zgodziłem się spokojnie. – A teraz przysługa za przysługę, Smith. Skąd wiedziałeś o planie i ikonie? Skąd ją miałeś?

– Przecież ci powiedziałem – odburknął Smith. – Od Maurice'a Cady'ego, który ukradł ją w Polsce.

– Radzę ci, mów prawdę, Smith – uniosłem nieco

colta. Prawa ręka piekła mnie żywym ogniem, colt był cholernie ciężki i zaczynało we mnie rosnąć zniecierpliwienie. – Nie doceniasz stopnia mojego poinformowania, Smith – westchnąłem. – Maurice Cady był twoim przyjacielem, to prawda. Tyle że dwadzieścia pięć lat temu. Jeszcze zanim mój brat odnalazł ikonę. Cady zmarł na zapalenie płuc ćwierć wieku temu i nigdy nie parał się nieuczciwą sprzedażą obrazów. Kalasz pamięć przyjaciela, Smith – pokręciłem głową. – No więc, jak było z tą ikoną?

Smith milczał, oblizując wargi.

– Mam ci pomóc? – Podniosłem colta jeszcze wyżej. – Mnie w końcu jest obojętne, co mi powiesz, bo to i tak nie wskrzesi mojego brata Ale chciałbym znać prawdę. Natomiast zupełnie nie zależy mi na twoim życiu, Smith. No więc? – zapytałem z groźbą w głosie.

– Dobrze – zdecydował się Smith. – I tak kiedyś do tego dojdziesz. Powiedział mi o tym jeden z tych oficerów. Mówił o planie i o tym, że skrzynia z kokainą została zamurowana w fundamentach tamy, jaką tu miano kiedyś budować. Ten oficer chciał sobie zaznaczyć miejsce, gdzie to było, ale nie miał niczego pod ręką. Następnej nocy stał z oddziałem w małej, zrujnowanej cerkiewce. Znalazł tam ikonę i na jej odwrocie wydrapał gwoździem plan. Tej samej nocy zaatakowali ich partyzanci i oczywiście ikona została w cerkwi ukryta za ołtarzem. Oficer wyszedł z tego ataku cało, ale w dwa miesiące później dostał się do niewoli.

Słuchałem gładkiego opowiadania Smitha i nagle zrodziło się we mnie podejrzenie.

– A kiedy on ci to powiedział? – rzuciłem mimochodem.

– Byliśmy w jednym obozie, był ciężko ranny, więc... – Smith urwał nagle.

– Czyli powiedział ci o tym jako najbliższemu wojen-

nemu koledze. Jesteś Niemcem, Smith. A właściwie Szmidt. Po wojnie udało ci się przedostać do Anglii, i to w roli Anglika. Żyłeś więc sobie spokojnie i dostatnio jako Mr Andrew Smith, prawda? A w kilkanaście lat po wojnie wybrałeś się do Polski w poszukiwaniu ikony. Znalazłeś cerkiewkę, o której opowiadał oficer, ale nie miałeś szczęścia. Mój brat zabrał już stamtąd ikonę. Ukradłeś więc ten obraz zabijając mojego brata. Czy tak było, Smith? No? – mimo woli zrobiłem gwałtowny ruch rewolwerem i Smith z przerażeniem zasłonił się rękami.

Z trudem się opanowałem. Cofnąłem się o krok i stwierdziłem:

– Nie zaprzeczasz. Słusznie. Twoja kariera skończona. W tej chwili łącznicy, którzy mieli odebrać ten ładunek – wskazałem nogą na pracowicie przez nich wyrąbany otwór – i wywieźć go z Polski przez Przełęcz Dukielską, są już aresztowani. Ty także nie ujdziesz kary. Interpol bardzo chętnie rozpatrzy twoją działalność jako długoletniego bossa od narkotyków, natomiast polskie władze mają przygotowany cały rejestr przestępstw, jakie popełniłeś. Począwszy od tego, którego dokonałeś dwadzieścia lat temu, kiedy przyjechałeś po ikonę. Być może inne, wcześniejsze zbrodnie, popełnione w czasie wojny, nie dadzą się już udowodnić, ale kara za morderstwo mojego brata nie uległa przedawnieniu. Koniec z tobą, Smith.

– Nic z tego – wychrypiał Smith. – Nie udowodnisz mi tego. Nie ma żadnych dowodów na to, że ja zabiłem twojego brata, powiedziałem ci to przed chwilą, bez świadków. Bill tego nie potwierdzi, a ja zaprzeczę stanowczo. Wszyscy pomyślą, że wrabiasz mnie w to z zemsty.

– Tak sądzisz, Smith? – zapytałem. – Nie powiedziałem ci widać o jeszcze jednym drobiazgu, który dostałem od porucznika. Patrz – odchyliłem połę kurtki. – To jest bardzo silny i bardzo dobry nadajnik. Wszystkie moje

poruszenia, a więc zarazem i wasze, były rejestrowane przez stację odbiorczą. Aż do tej chwili wyglądało na to, że jesteśmy sami, bo chodziło o wydobycie od ciebie zeznania. Nie myślisz chyba jednak Smith, że takiego ważnego gościa jak ty pozostawiono bez opieki na obcym terenie? Twierdzisz, że nie ma świadków naszej rozmowy? Jesteś w grubym błędzie, Smith... – zakończyłem podnosząc głos.

W tym momencie halę zalało silne światło i w czterech jej rogach pojawiły się uzbrojone postacie.

– Andy, policja! – rozległ się nagle okrzyk.

Rzuciłem okiem w tamtą stronę. Bill trzymał mały, wydobyty chyba z jakiejś zapasowej kieszeni pistolet. Inżynier stał nieco poza Smithem i celując w niego mógłbym trafić w Smitha. Nie miałem zamiaru sam wymierzać sprawiedliwości – czekało na niego wiele władz i wiele sądów. Zrobiłem ćwierćobrót i dałem długiego nura za najbliżej stojącą maszynę.

Usłyszałem cichy świst i huk, a w sekundę później kula zabębniła po metalowej obudowie nad moją głową. Zaraz potem rozległo się kilka strzałów i okrzyki. Wychyliłem ostrożnie głowę spoza mojej osłony. Milicjanci pouskakiwali za filary, Smith znajdował się już przy przeciwległej ścianie, tuż przy schodach wiodących na górę. Billa nie widziałem nigdzie. Wysunąłem się zza maszyny w półskłonie i zacząłem drobnym truchtem przebiegać przestrzeń dzielącą mnie od uciekającego Smitha. Betonowa podłoga hali była nierówna i ze dwa razy potknąłem się. Za drugim razem fakt, że w maszynowniach na ogół nie umieszcza się gładkich jak lustro cyklinowanych parkietów, uratował mi życie. Potknąwszy się na sekundę pochyliłem się mocniej do przodu i ten niespodziewany ruch uchronił mnie przed trafieniem kulą prosto w pierś. Poczułem jednak palący ból w szczycie lewego ramienia. Upadłem na podłogę, przeturlałem się z półto-

ra metra, obracając się o sto osiemdziesiąt stopni. Kończąc półobrót rzuciłem okiem w stronę, skąd padł strzał. Zrobiłem to we właściwym momencie, bo właśnie dostrzegłem Billa w półprzysiadzie, w rozkroku, ze złożonymi obiema rękami, składającego się do strzału według najlepszych wzorów z amerykańskich filmów policyjnych. Ale ja też znałem te filmy, a poza tym nie miałem zamiaru wystąpić w roli tego, który kończy swój udział w piątej minucie projekcji.

Nacisnąłem spust i ponownie przetoczyłem się gwałtownie o metr dalej. Podskoczyłem do przysiadu, zerkając jednocześnie w stronę, gdzie przed chwilą stał Bill.

Już nie stał. Musiałem go chyba trafić w sam środek piersi, bo nawet na odległość tych kilku metrów widać było, jak na jego koszuli rozlewa się ciemnoczerwona plama.

Tej obserwacji poświęciłem tylko sekundę. Milicjanci podbiegli ku nam z kilku stron. Jeszcze w półprzysiadzie rozejrzałem się za Smithem. Nie było go nigdzie widać.

W czasie, kiedy ja odgrywałem kowbojską scenę z Billem, Smith musiał to wykorzystać i wydostał się na górę. Wyjścia nie były obstawione, nawet strażnicy mieli rozkaz usunąć się z pilnowanych zwykle stanowisk. Ten, którego znaleźliśmy z Joan związanego, nie zdążył bądź nie usłuchał rozkazu. I tak miał szczęście, bo byłem pewny, że gdyby McIntoshowi nie udało się go unieszkodliwić chwilowo, to zrobiłby to na stałe.

Słyszałem za sobą okrzyki, ale nie zatrzymałem się. Rzuciłem się ku schodom. Były identyczne jak te, którymi schodziłem do hali. W każdym ciągu było dziewięć schodów, oddzielonych od siebie małymi platformami. Na samą górę, na poziom drogi biegnącej u szczytu tamy, wiodło około siedemdziesięciu schodów. Przebiegałem te stopnie po kilka naraz, ale Smith miał nade mną znaczną przewagę. Gdzieś za mną, w oddaleniu, rozlegał się tupot

nóg. Przed drzwiami prowadzącymi na korytarzyk, identyczny jak ten w sąsiednim budynku, zatrzymałem się. Uchyliłem ostrożnie drzwi, ale Smith nie czatował za nimi z czymś ciężkim w ręku, żeby mnie ogłuszyć, gdy go będę ścigał. Otworzyłem więc je szerzej i wyjrzałem na korytarz. Nikogo. Zacząłem szybko, ale ostrożnie otwierać drzwi do kolejnych pomieszczeń. Zajrzałem wszędzie, lecz nigdzie nie było śladu Smitha. Wyjrzałem przez drzwi wyjściowe z budynku. Także nikogo. Wyszedłem na zewnątrz i rozejrzałem się. Droga biegnąca szczytem tamy była zupełnie pusta. Na przeciwległym końcu dostrzegłem zbliżające się niewyraźne w ciemności sylwetki. A więc Smith wpadł. Nie mógł się przedostać do lasu, gdyż droga, na którą się wydostał, była idealną pułapką. Z obu końców była obstawiona przez uzbrojonych ludzi, a po jej obu bokach były spadające kilkadziesiąt metrów w dół pionowe ściany tamy.

Jednakże Smitha nie było nigdzie widać.

Nagle przed oczyma stanął mi widok, jaki obserwowaliśmy dwie godziny temu na skraju lasu. Smith także to widział i wyciągnął wnioski znacznie szybciej niż ja.

Podbiegłem do prawego skraju drogi i przechyliłem się przez poręcz. Zapadły już prawie zupełne ciemności, ale na ciemnoszarej ścianie tamy mogłem odróżnić ciemniejszą pionową kreskę. Była to poprowadzona na całej wysokości ściany drabina. Mniej więcej w dwóch trzecich długości drabiny poruszał się ciemny kształt. Wsunąłem colta za pas, ściągając jednocześnie kurtkę. Chwyciłem oburącz poręcz i przeskoczyłem przez nią. Uchwyciłem się szczebli drabiny i spojrzałem w dół. Smith znajdował się teraz nisko pode mną, a na dworze było zbyt ciemno, bym dostrzegł jego sylwetkę, ale rytmiczne drżenie drabiny było dla mnie wystarczającym dowodem, że wciąż jeszcze schodzi w dół.

Zacząłem robić to i ja. Drabina była po prostu jednym

ciągiem stopni wiodących kilkadziesiąt metrów w dół, bez żadnej platformy ani dodatkowej poręczy. Po kilku pierwszych metrach wydawało mi się, że mam za sobą zejście z Mount Everestu. Moja lewa noga zesztywniała od razu, w związku z tym cały ciężar ciała przy stawianiu na kolejnym szczeblu przerzucałem na zdrową nogę. Jeżeli można w ogóle kuleć schodząc po drabinie, to ja to właśnie robiłem. Nie mogłem też jak małpa zwieszać się na rękach, bo moje prawe ramię absolutnie na to nie pozwalało.

Zajęty bolesnym, dosłownie i w przenośni, faktem, że moje ciało niezupełnie predysponuje mnie do roli Tarzana w najbardziej karkołomnych ewolucjach, nie zwróciłem uwagi na narastający w ciszy wieczoru dźwięk.

W końcu jednak stał się on tak donośny, że dotarł nawet do mojej przytępionej świadomości. Był to rosnący z minuty na minutę szum wody!

Była godzina 20.00.

O tej godzinie automatycznie sterowane i włączane urządzenia otwierały przepusty wodne u stóp tamy. Pogłębiona i umocniona niecka poniżej tamy miała być za chwilę zalana hektolitrami spiętrzonej, przelewającej się masy wodnej. Rozhuśtane, potężne fale obijały się już z hukiem o betonową podstawę tamy.

W momencie, w którym sobie to uprzytomniłem, znajdowałem się prawie w połowie wysokości drabiny. Smith musiał już być u jej końca.

– Wracaj na górę! Woda! – krzyknąłem z całych sił w dół.

Ale nieustanny, rosnący ryk wody zagłuszał moje słowa. Na dnie niecki zobaczyłem połyskujące w ciemności, spienione pierwsze fale.

To nieprawda, że człowiek, który ma zranioną nogę i rękę i kilka dni ogromnego wysiłku psychicznego i fizycznego poza sobą, nie jest w stanie wbiegać po śliskich

stopniach żelaznej drabiny. Ja mogłem.

Stopnie były rozstawione zbyt szeroko, żebym mógł chwytać je rękoma na przemian. Wspinałem się więc po jednym szczeblu, ale za to z podwójną szybkością. W pewnym momencie niechcący uderzyłem zranionym barkiem o pręty drabiny. Do gardła napłynęły mi fale bólu i mdłości na przemian. Chwyciłem następny szczebel, ale zdrętwiałe palce obsunęły się na śliskim pręcie. Moje stopy pod wpływem niespodziewanego szarpnięcia także ześlizgnęły się z dolnego szczebla i na sekundę zawisłem bezradnie na jednej ręce. W naprężonym nadgarstku poczułem ostry ból i przez moment myślałem w panice, że nie będę w stanie w ogóle wdrapać się na górę mając uszkodzone obie ręce.

Trafiłem jednak nogą na szczebel i zmusiłem się do kurczowego uchwycenia drabiny, mimo że teraz w obu rękach równomiernie straciłem czucie. Lub też raczej – równomiernie odczuwałem rozrywający ból.

Przypuszczalnie moje zmagania z oślizgłymi szczeblami drabiny nie trwały dłużej niż kilka sekund, ale mnie wydawało się wówczas, że mijają całe wieki. Toteż nie zdziwiłem się bardzo, kiedy dobiegł mnie szum burzliwie podnoszącej się tuż pode mną wody. Spojrzałem w dół, ale w ciemności nie mogłem dokonać żadnej oceny. Mogłem natomiast ocenić odległość patrząc w górę i nie omieszkałem tego zrobić.

Postąpiłem w najwyższym stopniu nieroztropnie, bo to, co zobaczyłem, odebrało mi na sekundę całą energię. Do szczytu tamy było jeszcze dobrych kilkanaście metrów. Wznosząca się nieustannie woda nie dotarła do mnie jeszcze, ale była to kwestia sekund.

Nawet gdybym był dobrze wytrenowaną małpą, nie zdążyłbym uciec przed nadchodzącym potopem. Niestety nie byłem małpą i po raz pierwszy w życiu pożałowałem, że ewolucja jest już faktem dokonanym.

„Raz maty rodyła!" – pomyślałem z rezygnacją i podjąłem swoją mozolną a beznadziejną wspinaczkę.

Od szczytu dzieliło mnie już tylko kilka metrów, kiedy poczułem wilgoć w butach. Zanim się zdążyłem zdziwić, skąd się wzięło to uczucie, poczułem niesamowite, paraliżujące zimno, które błyskawicznie pełzło w górę mego ciała.

Fala mnie dogoniła.

Usiłowałem wspinać się szybciej, ale teraz musiałem walczyć z łamiącymi się wokół mnie, wciąż podnoszącymi się falami. Wreszcie woda z bulgotem sięgnęła mi ust i po kilku sekundach zamknęła się nade mną. Wstrzymywałem oddech, ale zimna, napierająca ze wszystkich stron woda nieubłaganie wdzierała mi się do nosa, uderzała tysiącem drobnych kropel w moje zaciśnięte powieki.

Wciąż uparcie wdrapywałem się po kolejnych szczeblach, ale woda spychała mnie w dół, odrywała od drabiny, przelewała się nade mną uderzającymi jak taran falami.

Wraz z podnoszącą się wodą wznosiły się zebrane z dna niecki kawałki drewna, porwane w górę wytworzonym wirem wodnym gałęzie, drobny żwir i tysiące innych, nie zidentyfikowanych przeze mnie przedmiotów. Wszystkie te rzeczy miały jedną wspólną właściwość: siekły mnie po twarzy i rękach drobnymi, ostrymi jak szpilki ukłuciami, uderzały bezwładnie po plecach, zbijały z nóg.

Desperacko chwytałem każdy szczebel drabiny, dokładnie tak, jak tonący chwyta się brzytwy. Szanse uratowania wydawały mi się zresztą takie same. W mej świadomości kołatała się jedynie uparta myśl – nie wolno mi puścić zbawczych szczebli, bo przelewające się masy wodne uderzą mnie o ścianę z taką samą siłą, jak czyniły to miotanymi wokół kawałkami drewna. A na samodzielne walczenie z żywiołem nie miałem już po prostu siły.

Przelewająca się nade mną woda, uderzające we mnie gałęzie, wciskający się w oczy żwir – to wszystko nie było dla mnie taką torturą jak moje własne płuca.

To one atakowały mnie najmocniej, dopominając się o świeży zapas tlenu. Czułem w piersiach rozsadzający ból, przed oczyma latały mi czerwone ptaki, w uszach słyszałem jednostajne dzwonienie.

Wspinając się na kolejny szczebel wiedziałem, że już za sekundę otworzę usta i nabiorę oddechu. A wtedy woda z bulgotem wedrze się do moich ust i...

Sięgnąłem ręką po następny szczebel i... nie znalazłem go. Desperacko machnąłem ręką i uderzyłem dłonią o betonowy kant. Jednocześnie poczułem, że woda spływa mi po twarzy i nagle znajduje się już wokół moich ramion.

Otworzyłem gwałtownie oczy. Trzymałem się kurczowo betonowego obmurowania na szczycie tamy. Trzydzieści centymetrów nad moją głową znajdowała się dolna poręcz balustrady.

Przez kilka sekund, niepomny na zalewającą mnie do ramion wodę, trwałem w bezruchu i z zachwytem wciągałem do obolałych płuc zimne wieczorne powietrze. Wreszcie otrząsnąłem twarz ze spływającej strugami wody i mocniej uchwyciłem obramowanie. Podciągnąłem się na rękach, ale w tym samym momencie w nogi uderzyła mi szczególnie silna fala wody. Cofając się woda zaczęła odrywać mnie od krawędzi tamy. Zachwiałem się i opadłem w dół. Przytrzymałem się kurczowo drabiny, ale znowu zbawcza krawędź znalazła się powyżej mojej głowy.

Ponowiłem próbę, naprężając wszystkie mięśnie. Betonowa krawędź była oślizgła i przez chwilę bezradnie przesuwałem po niej rękami. W końcu podciągnąłem się na tyle, że zdołałem uchwycić dolną część balustrady. Przez chwilę leżałem na wpół wciągnięty na drogę

i dyszałem ciężko. Potem przesunąłem resztę ciała na górę i przytrzymując się balustrady chwiejnie się podniosłem. Cały świat wokół mnie wirował, w uszach miałem wciąż jeszcze ogłuszający huk wznoszącej się wody.

– Marcin!

Odwróciłem się powoli. O kilka kroków ode mnie stała Joan.

– Marcin, tak się bałam! – Joan przypadła do mnie zdyszana.

– Czego się bałaś? Jesteś już bezpieczna.

– No przecież o ciebie! – Uśmiech przez coś jakby łzy.

W ciemności odróżniłem za nami kilka sylwetek. Od grupy oderwała się jakaś postać. Kiedy spojrzałem uważniej, rozpoznałem porucznika Polańskiego.

– Ależ pan narozrabiał – zwrócił się do mnie surowo Polański. – Dlaczego nie został pan w hali?

– Poniosło mnie – wyjaśniłem sapiąc ciężko. – A poza tym ucieczka Smitha była zupełnie niespodziewana, a ja miałem nad waszymi ludźmi przewagę dobrych trzydziestu metrów. Nie moja wina, że to się skończyło tak tragicznie.

– Tak to jest, jak się wplątują amatorzy – skrzywił się porucznik.

– No, wy też nie musieliście mi zwalać tej Niagary na głowę – odparowałem.

– Przecież pan sam wie, że urządzenia w tamie są sterowane automatycznie. Nie było czasu nic zmieniać. Nie spuszczę już teraz z pana oka!

– Teraz? Teraz, drogi poruczniku, to ja bym wolał, żebyście mnie zostawili samego – odparłem spoglądając na przytuloną do mnie Joan.

Fotograficzny projekt okładki
Jan i Waldyna Fleischmannowie

Układ typograficzny okładki i karty tytułowej
Jan i Waldyna Fleischmannowie

Typograficzny projekt serii
Teresa Cichowicz-Porada

Redaktor techniczny
Andrzej Skibiński

Korektor
Irena Siemiątkowska

4H.SZ.until.E.of.T!

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1984

Wydanie 1. Objętość: ark. wyd. 9,75, ark. druk. 6,5
Papier offsetowy, kl. V, 70 g, rola 93 cm
Nr prod. XII-5/1850/78. Zakłady Graficzne
Dom Słowa Polskiego, Warszawa, ul. Miedziana 11
Zam. 3678/K. O-126. Nakład 100.000+350

ISBN 83-030062-4


KRAJOWA
AGENCJA
WYDAWNICZA

zł 75,-

A jednak niesłusznie posądzałem Nicka o niesłowność. A jednak spotkaliśmy się dzisiaj. Tyle że nie mógł mi już powiedzieć, dlaczego tak gwałtownie domagał się widzenia ze mną i cóż to były za rewelacje, których tajemnicza a nagląca zapowiedź skłoniła mnie do przyjazdu tutaj przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła.

Nick... Mój wieloletni przyjaciel. Udzielał mi fachowych porad, kiedy miałem kłopoty ze swoją pracą naukową. Pomagał mi na odległość opiekować się Adamem. Słał mi przyjazne, podtrzymujące na duchu listy przez wiele lat, począwszy od tamtego strasznego dnia, o którym chciałem z nim porozmawiać.

Ale Nick nie porozmawia już nigdy i z nikim.

ISBN 83-03-00062-4